AŻ 132 STRONY!
WYDANIE SPECJALNE NA ŚWIĘTA

MARSZAŁEK KUCHCIŃSKI PRZERYWA MILCZENIE W SPRAWIE POMÓWIEŃ URBANA

CZY TRUMP JEST NOWYM REAGANEM

LEONARDO DA VINCI: CO ZOSTAWIŁ NAM GENIUSZ WSZECH CZASÓW

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 15 (333) 2019
15–22 kwietnia
CENA: 7,90 zł
(w tym 8% VAT)



INNE SPOJRZENIE NA WIELKANOC

TRZY DNI, KTÓRE ZMIENIŁY HISTORIĘ ŚWIATA

W NUMERZE TAKŻE ŚLEDZTWO WS. TAJEMNICY CAŁUNU TURYŃSKIEGO ORAZ BARDZO WAŻNE PYTANIE: DLACZEGO TAK SŁABO WIERZYMY WE WŁASNE ZMARTWYCHWSTANIE?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

biasa.pl 17e0412b0

Już 23 kwietnia w tygodniku SIECI

284 wyjątkowe nagrody!

KONKURS plastyczny dla dzieci

POLSKA, MOJA OJCZYZNA



PARTNERZY:

GRANNA

KAISERHOF - Cesarski Dwór -

KOMPAS obozy i kolonie od 1998r.

Prószyński i S-ka

SŁODKI PARTNER:

Pszczółka od 1952

SKRZAT

WYDAWNICTWO ŚWIĘTEGO FILIPA APOSTOŁA

WYDAWNICTWO Słuks POPULARNONAUKOWE

PARTNER INSTYTUCJONALNY:

FUNDACJA NIEPODLEGŁOŚCI

eprasa.pl 17e0412b07





Na ławie oskarżonych

Nasza cywilizacja powstała na dwóch fundamentach: filozofii greckiej i religii chrześcijańskiej. Można powiedzieć, że jej aktami założycielskimi były dwa procesy: Sokratesa w Atenach i Jezusa w Jerozolimie. W obu przypadkach doszło de facto do zbrodni sądowej w majestacie prawa.

Do skazania Sokratesa doprowadzili zwolennicy demokracji, dla których nie liczyło się pojęcie prawdy, lecz przyjemności. Nie bez znaczenia było też to, że ich sprzeciw ideowy wobec ateńskiego mędrca łączył się z silnym urazem osobistym. Jego główni oponenci, czyli napędzani resentymentem sofiści w rodzaju Kritiasa, Pauzaniasza, Kalliklesa, Likona czy Anytosa, byli bowiem – jak to mówiono – paid erastes (miłośnikami chłopców). Nienawidzili filozofa, który uważał homoseksualizm za niegodziwy i sprzeczny z naturą człowieka, a także sprzeciwiał się planom wykorzystywania aktywności homoerotycznej do wychowania ateńskiej młodzieży (dziś powiedzielibyśmy, że był wrogiem edukacji seksualnej). Gdyby żył teraz, to z takimi poglądami również mógłby trafić na ławę oskarżonych.

Za śmiercią Jezusa stali z kolei przedstawiciele wszystkich trzech ustrojów: monarchii (namiestnik cesarza Poncjusz Piłat), oligarchii (Sanhedryn) i demokracji (tłum żądający ukrzyżowania). Nauczanie Chrystusa także było niewygodne dla zbyt wielu ludzi – podobnie jak dziś nie do przyjęcia jest postawa tych, którzy odwołują się do Jego przesłania. Dlatego chrześcijanie są obecnie najbardziej prześladowaną grupą religijną na świecie.

Tę oczywistą prawdę wypowiedział niedawno abp Marek Jędraszewski, za co runęła na niego zewsząd lawina hejtu. Najwięcej wzburzenia wywołało to, że metropolita krakowski jako przykład współczesnego prześladowania chrześcijan podał przypadek kard. George'a Pella z Sydney, skazanego na sześć lat więzienia za molestowanie nieletnich.

Nie ma wątpliwości, że pedofilia wśród duchownych jest zbrodnią, którą należy raz na zawsze bezwzględnie wytępić. Sprawa australijskiego purpurata budzi jednak zbyt wiele zastrzeżeń obrońców praw człowieka, zarówno wierzących, jak i niewierzących, którzy podważają uczciwość przeprowadzonego procesu, by można było przejść nad nią do porządku dziennego (pisałem o tym szerzej na portalu wPolityce.pl). W logikę naszej cywilizacji wpisana jest możliwość fałszywych oskarżeń, pomyłek sądowych i niesprawiedliwych wyroków. Niekiedy są one świadomie używane do niszczenia przeciwników. Dlatego zanim zacznie się ferować wyroki, dobrze jest poznać fakty.

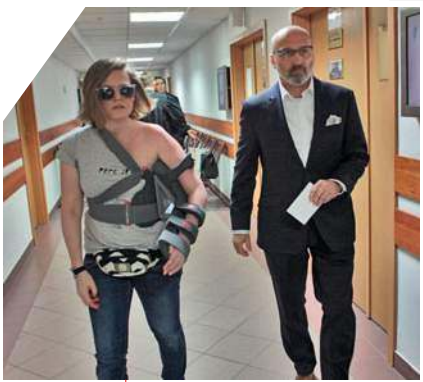
Grzegorz Górny

Autopromocja

eprasa.pl 17e0412b07

Następne wydanie tygodnika ukaże się we wtorek 23 kwietnia

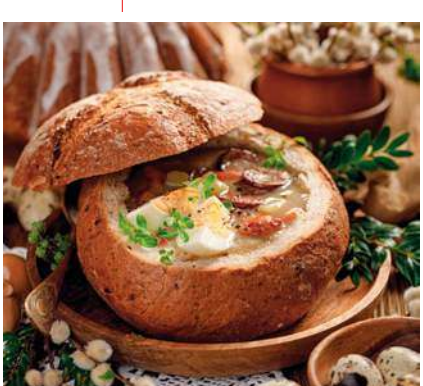
SIECI spis treści



72 *Maxi-dłużnik*
Dorota Łosiewicz



76 Piątek lepszy niż Ronaldo
Cezary Kowalski



94 Żur w dom
Anna Monicka

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
8 **ŚWIĘCENIE KREWETEK**
Krzysztof Feusette
12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
14 **„ROZTRZASKANE LUSTRO"**
Jan Pietrzak
15 **O SZTUCE, SĄDZIE I INKLUZYWNOŚCI**
Bronisław Wildstein
16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
17 **PRAWA TWÓRCÓW A WOLNOŚĆ SŁOWA**
Marta Kaczyńska-Zielińska
18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

WIELKANOC

20 **CAŁUN TURYŃSKI PRZED TRYBUNAŁEM NAUKI**
Grzegorz Górny
24 **TRZY DNI, KTÓRE ZMIENIŁY HISTORIĘ ŚWIATA**
Milena Kindziuk
28 **CIAŁA ZMARTWYCHWSTANIE**
Jan Rokita
28 **Z ROMANEM BIELECKIM OP**
rozmawia Marcin Fijołek

KRAJ

36 **Z MARKIEM KUCHCIŃSKIM**
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło
41 **DONALD ADAM SCHETYNA**
Stanisław Janecki
46 **ALFABET TYGODNIA**
Hanna Karp
46 **F-35 NA HORYZONCIE**
Konrad Kołodziejski

NA ŚWIĘTA

49 **O LEONARDZIE DA VINCI**
z Jerzym Miziołkiem rozmawia Aleksandra Jakubowska
55 **SEN ADAMA O WELONIE**
Wojciech Lada
60 **WOJOWNICY NA GÓRZE**
Stanisław Janecki
64 **CZY TRUMP JEST NOWYM REAGANEM?**
Łukasz Adamski
68 **PROROK ZAGŁADY Z SILICON VALLEY**
Aleksandra Rybińska
72 **MAXI-DŁUŻNIK**
Dorota Łosiewicz
76 **PIĄTEK LEPSZY NIŻ RONALDO**
Cezary Kowalski
80 **Z MIŁKĄ RAULIN**
rozmawia Jaromir Kwiatkowski
84 **UWAGA, SMARTFON!**
Dorota Łosiewicz
87 **Z ANDRZEJEM ZIÓŁKOWSKIM CM**
rozmawia Piotr Słabek
90 **TOŻSAMOŚĆ JAKSY**
Przemysław Barszcz
94 **ŻUR W DOM**
Anna Monicka
97 **Z GABRIELĄ MUSKAŁĄ**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna
100 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
102 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski
104 **POLECA**
Łukasz Adamski

GOSPODARKA

106 **HUAWEI JEST TECHNOLOGICZNYM SMOKIEM**
Michał Jędrzejkowski

KUCHNIA

119 **MOJE SMAKI: JAJO W ROLI GŁÓWNEJ**
Jolanta Gajda-Zadworna
120 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

121 **UPADEK I POWSTANIE**
Maciej Pawlicki
122 **LIKWIDACJA JAKO PROGRAM**
Wojciech Reszczyński
123 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki
124 **SZKOŁA ROZBITKÓW**
Aleksander Nalaskowski
125 **PUSTYNI NA ŚWIĘTA**
Wiktor Świetlik
126 **SZKOŁA BEZ KLAMEK I SZKOŁA BEZ KRZYŻA**
Jan Pospieszalski
127 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
128 **TECHNIKI ŻYCZENIOWE**
Ryszard Makowski
129 **POD WIELKANOCNĄ CHORĄGIEWKĄ**
Leszek Długosz
130 **BĄDŹ SOBĄ!**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

13/0419/F

partner działu gospodarka

Bank Pekao

eprasa.pl 17e0412b07



Zdrowych i pogodnych Świąt Wielkanocnych,
pełnych wiary, nadziei i miłości.
Serdecznych spotkań
w gronie rodziny i wśród przyjaciół.

Zarząd, Rada Nadzorcza
oraz Pracownicy Cedrob S.A.

CEDROB

eprasa.pl 17e0412b07



Sygnalista nadaje

W kwestiach dotyczących małżeństwa, „równości”, „różnorodności” i edukacji polityka torysów właściwie już się nie różni od polityki Partii Pracy – jest równie trockistowska. Czy akceptacja ideowej agendy lewicy zapewniła torysom przetrwanie? Więcej niż wątpliwe. „The Sunday Times” informuje o ciekawym badaniu: zdolność torysów do rządzenia staje pod znakiem zapytania, bo partię porzucają już osoby poniżej 50. roku życia. Torysi prowadzą wśród wyborców starszych, zwłaszcza powyżej 65. roku życia, już jednak wśród najmłodszych dominuje Labour Party (15 proc. wobec jedynie 4 proc. dla torysów).

Co na to liderzy Partii Konserwatywnej? Minister spraw wewnętrznych Sajid Javid ostrzega: „Jeśli nie będzie w stanie zdobyć poparcia młodszych wyborców oraz mniejszości etnicznych, nie będziemy w stanie wywalczyć większości w kolejnym parlamencie. To proste jak drut”. Matt Hancock, minister zdrowia, dodaje: „Musimy pokazać, że podzielamy wartości młodego pokolenia”. A więc jeszcze bardziej na lewo. Czy dopiero po swojej śmierci torysi zrozumieją, że mając do wyboru oryginał i podróbkę, wyborcy zawsze wybiorą to pierwsze?

Tymczasem w Polsce trwa wyjątkowo nudna kampania. Gdyby nie strajk nauczycieli, dziennikarze nie mieliby o czym pisać ani mówić. Ale weterani politycznych bitew zauważają drobne szczegóły. Np. to, że szeroko pojęty obóz PiS coraz częściej przegrywa różne sondy w internecie. Niby nic wielkiego, ale lepiej nie spać. Może warto pójść tropem Trumpa, który w nadchodzącej kampanii zamierza przeznaczyć na internet trzy razy więcej niż w 2016 r.? Billboardy są ważne, ale internet ważniejszy.

Brytyjski dziennik konserwatywny „The Daily Telegraph” donosi: „Amber Rudd, posłanka torysów z okręgu Hastings, wspiera kampanię na rzecz przeznaczenia lokalnego budżetu obywatelskiego na cele związane z miejscowym festiwalem LGBT Pride”. Fakt, że o sprawie poinformowano, dowodzi, iż to jeszcze nie jest zwyczajna norma wśród brytyjskich konserwatystów. Z drugiej strony wiadomości nie opatrzono żadnym komentarzem, a więc tego typu aktywność już raczej nie dziwi.

Co do strajku nauczycieli, to ***Sławomir Broniarz*** nie okazał się wybitnym wodzem. Zakładał, że skutecznie zablokuje egzaminy i zmusi rząd do kapitulacji. Tymczasem tę najtrudniejszą rafę rząd przeszedł właściwie suchą nogą. Teraz czas gra przeciwko szefowi ZNP, tym bardziej że reakcja społeczna na zamknięcie połowy szkół okazała się wyjątkowo umiarkowana. Kto wie, czy ta przygoda nie skończy się dla Broniarza tak, jak strajk górników dla Arthura Scargilla?

Przeprowadzenie egzaminów we wszystkich szkołach z wyjątkiem trzech placówek zabolało opozycję. Jej przedstawiciel, pełniący również funkcję rzecznika praw obywatelskich, Adam Bodnar wysłał nawet specjalne pismo do minister edukacji. Stwierdza w nim, że zaangażowanie do zespołów nadzorujących egzaminy osób, które jego zdaniem nie spełniają warunków ustawowych, może stanowić podstawę do unieważnienia procedury. Tak, tak, to nie pomyłka: rzecznika martwi to, że rząd uchronił dzieci i młodzież przed koszmarem chaosu i niepewności. On już nawet nie udaje.

PiS zapowiedziało wsparcie dla tych gospodarstw rolnych, które będą hodowały zwierzęta „z własnego chowu”, w oparciu o własną paszę i które będą zapewniały im tzw. dobrostan. Padły konkretne kwoty: najmniej 100 zł

eprasa.pl 17e0412b07

od jednego tucznika i 500 zł od jednej krowy. Pomysł bardzo dobry, bo Polska nie może stać wyłącznie produkcją roślinną, ale tzw. timing fatalny. Opozycja skorzystała z okazji, nie zabrakło szyderstw („Panie Kaczyński, krowy i tuczniki z obietnic pana nie rozliczą, ale nauczyciele i rolnicy rozliczą szybciej, niż pan myśli" – Marek Sawicki). Zgrabne, ale jest odwrotnie: na wsi można zdobyć głosy, a w wielu szkołach to niemożliwe, bez względu na skalę podwyżek.



O głosy wsi walczy także ***Kosiniak-Kamysz***. Jego zdaniem PiS „to zwykli nieudacznicy", których „trzeba odsunąć od władzy": „Kpią sobie ze środków europejskich. Oni oddają sprawy polskie walkowerem. Nie mają sojuszników. A jak ich szukają, to są to populiści albo nacjonaliści. Możemy wybrać tych, którzy wiedzą, jak to robić, którzy wiedzą, jak robić sojusz" – przekonywał lider PSL. Może i populiści, może i nacjonaliści, pewnie bardzo trudni, ale jednak sojusznicy, a nie protektorzy.



Lech Wałęsa nie zaskoczył i poparł strajk. Przedstawił też pomysł na rozwiązanie sytuacji: „Sprawę wynagrodzeń dla nauczycieli trzeba byłoby rozwiązać jednak systemowo. Uważam, że trzeba poszukać dobrego rozwiązania za granicą i zobaczyć, ile w danym kraju przeznacza się w procentach na naukę. Niech mądrzy ludzie wybiorą np. 20 zawodów i podzielą, ile przeznaczamy na każdy zawód" – zaproponował. Pomysł nawet ciekawy, ale co wówczas, gdy okaże się, że na rzeszę nauczycieli z 18-godzinnym pensum wydajemy więcej niż sąsiedzi?



Strajk nauczycieli przywołał także korespondent „Frankfurter Allgemeine Zeitung" Gerhard Gnauck, który skrytykował Mateusza Morawieckiego za jego zaangażowanie w rocznicę smoleńską: „Premier według planu spędzi cztery godziny na składaniu kwiatów, zniczy, wieńców, bukietów. Przy całym szacunku dla Zmarłych – czy akurat jutro Żywi w Polsce nie mają innych problemów do rozwiązania? #StrajkNauczycieli". Można długo mieszkać w Polsce i nadal jej nie rozumieć. Bo między pamięcią o 10/04 a naszą prosperity jest, wbrew pozorom, bardzo mocny związek.



Inny niemiecki dziennikarz Martin Gak, pracownik Deutsche Welle (oficjalne medium państwa niemieckiego), błysnął taką oto opinią: „Polska wyprodukowała więcej kolaborantów niż inne kraje Europy. W Polsce cywile zabijali Żydów jak nigdzie w Europie. Jak żaden inny kraj w Europie [Polska] trwa w średniowiecznym antysemityzmie". Tak, ten pomysł z reparacjami od Niemiec za zniszczenia i zbrodnie był więcej niż trafiony. Pod żadnym pozorem nie wolno tej sprawy zgasić.

Europosłanka ***Róża Thun***, liderka listy Koalicji Europejskiej w okręgu małopolsko-świętokrzyskim, wezwała do publicznej debaty w sprawie przyszłości Unii Europejskiej wicepremier Beatę Szydło – jedynkę na liście Zjednoczonej Prawicy. Proponuje dwa bloki tematyczne: pozycja Polski w Unii za lat pięć oraz konkretne plany każdej z pań na ten czas. To jednak dowód pewnej refleksji, bo w czasie gdy Beata Szydło była premierem, Thun opisywała w Polskę w niemieckiej telewizji jako kraj jęczący pod krwawym butem reżimu. A teraz chce merytorycznej debaty. Czy już wie, że nie tylko się ośmieszyła, lecz także zaszkodziła swojemu państwu?

Inna kandydatka Koalicji Europejskiej Danuta Hübner wciąż jednak boi się o demokrację. Według niej Jarosław Kaczyński „na pewno jest kimś, kto może bardzo zaszkodzić demokracji", ponieważ „zaczynamy coraz bardziej odstawać od tego, co jest wspólnotą europejską". W sumie, ocenia Hübner, „można to nazywać polexitem mentalnym, na raty". Chyba wiedzą, co mówią, bo przecież „mentalny polexit" to jest właśnie to, co przydarzyło się tak wielu salonowym gwiazdom.

Michał M. Lisiecki, wydawca dwóch tygodników, opuścił areszt i zabrał głos: „Szanowni Czytelnicy – na szczegóły przyjdzie czas. Cisną mi się na usta mocne słowa, ale groźby i ostrzeżenia, jakie słyszałem, a także obawa o życie moje i mojej rodziny mrożą moje usta skutecznie. W tej całej tragicznej dla mnie historii prawnego gwałtu mojej osoby, która sumienie ma czyste – jako wydawca, człowiek mediów, mediów, których rolą jest patrzenie na ręce władzy (każdej władzy) – zobaczyłem na własne oczy, jak niejedno jest do poprawki, niejedno do zmiany w naszej ukochanej Polsce. Jak sformułowania »kafkowski proces«, »dajcie człowieka, a paragraf się znajdzie« nie są już tylko książkowymi aforyzmami" – stwierdził na łamach „Wprost". A więc jednak klasyka.

Tymczasem, jak wieść niesie, „Rzeczpospolita" może być na sprzedaż. W każdym razie tak mówi się na mieście. Ciekawe, czy Agora znów się skusi? Co prawda biznesowo byłoby to bez sensu, ale skoro tak ochoczo i tak grubo przepłacili za Zetkę, to kto wie, czy i tym razem nie zaszaleją?

Fot. Andrzej Wiktor, Andrzej Skwarczyński (x2), praszkiewicz/Shutterstock.com

eprasa.pl 17e0412b07

Święcenie krewetek

Motto:
„Zamiast uroczystości w duchu jednej religii – zabawy, prezentacje, rozmowy przybliżające dzieciom różne wyznania i światopoglądy. Świąteczne dekorowanie szkoły i klasy – z umiarem, bez wyraźnie religijnych motywów" (bożonarodzeniowe zalecenia „Głosu Nauczycielskiego", organu ZNP, grudzień 2018)



KRZYSZTOF FEUSETTE

Azatem, kochani, skoro już przyswoiliście sobie podstawowe zagadnienia związane z tzw. świętami Bożego Narodzenia i wiecie już, że lepiej świętować w ich czasie „początek zimy", „obrzędy prasłowiańskie" albo „afrykańskie święto Kwanzaa" (o czym pisaliśmy w grudniu 2018 r.), nadszedł czas na przygotowania do świąt tzw. Wielkiejnocy. Bo oto znowu stajemy przed problemem, jak być wystarczająco nowoczesnymi i zlaicyzowanymi, a jednocześnie nie skazywać w tych dniach ludzi starszych na jeszcze większą samotność. Nie ulega wątpliwości, że w dzisiejszym świecie, a może nawet bardziej – w dzisiejszej Europie, wszelkie przejawy chrześcijaństwa trzeba wygaszać. Raz, że nie sprzyja ono wprowadzaniu skutecznej polityki na wielu polach, a dwa, że mamy dziś na Starym Kontynencie autentyczny renesans islamu. Kłóci się on być może z ekspansją homoseksualizmu, ale to temat na inną lekcję.

A zatem – jak świętować tzw. Wielkanoc, związaną z tzw. zmartwychwstaniem tzw. Jezusa z Nazaretu, by jednocześnie nie urazić uczuć żydów, muzułmanów, Eskimosów i wszystkich, którzy świętują kiedy indziej, tak jak chcą i lubią? Identycznie jak w przypadku Bożego Narodzenia, gdy staraliśmy się unikać wszelkich szopek, jasełek czy wizerunków tzw. Dzieciątka, tak i teraz musimy zachować wielką wstrzemięźliwość. A więc nie mówimy np., że „Chrystus zmartwychwstał", tylko że „tak naprawdę nie wiadomo, co tam się wydarzyło, był kamień, nie ma kamienia..." itp. Unikamy wątków związanych z tzw. Drogą Krzyżową, a przede wszystkim nie pozwalamy młodzieży na proste i bezrefleksyjne oceny dotyczące zachowania Judasza. W końcu nigdy nie wiadomo, kto na kogo wyrośnie. W ogóle – wszelkie wątki biblijne próbujmy zastąpić opowieścią o ulubionych książkach, to nie musi być od razu Harry Potter czy „Dzieła" Adama Michnika. Może coś o wampirach?

Oczywiście, święta Wielkiejnocy niosą z sobą zbyt wiele tradycji, by dało się je zastąpić np. powtórnym topieniem marzanny, ale tak jak w Boże Narodzenie świętowaliśmy głównie nadejście zimy, uznając bałwana za symbol pojemniejszy od Gwiazdy Betlejemskiej, tak i teraz powinniśmy akcentować nie tzw. powstanie z martwych (co już samo w sobie jest niemożliwe, jeśli nie jest się kolegą Diduszko), ale właśnie – nadejście Wiosny. Zwłaszcza że my, związek, nie możemy ani nie chcemy pozostać obojętnymi na próby zablokowania zajęć masturbacyjnych dla czterolatków, które zalecają europejskie organy. I nie pozostaniemy. Nie powtórzy się sytuacja z tęczowym piątkiem w przedszkolach, gdy w ostatniej chwili naczelne kierownictwo wycofało się z udzielenia mu poparcia na skutek źle pojmowanej przyzwoitości.

Co zaś się tyczy samych tradycji, weźmy takie jajeczko. Oczywiście, lepiej byłoby zjeść batonik, ale jeśli sytuacja od nas tego wymaga, spróbujmy nadać jajeczku jakieś ponadnormatywne walory. Niech to będzie jajo strusie obok przepiórczego, co może zaowocować rozmową o ptakach jako takich w ogóle. Postarajmy się już na początku wytłumaczyć najmłodszym, że całe te święta to są takie „jaja" właśnie. Zupełnie dosłownie, bo chodzi tutaj przecież głównie o ich ozdabianie oraz tłuczenie. Podsuńmy dzieciom farbki w kolorze niebieskim i żółtym, żeby mogły pomalować jajeczka na kolory Unii Europejskiej. Będzie to wspaniała okazja do przypomnienia rangi Parlamentu Europejskiego oraz osobiście pana Timmermansa. Pisanek unijnych, rzecz jasna, nie tłuczemy, ale zostawiamy do grudnia. Powiesimy je wtedy na rododendronie zastępującym choinkę w pokoju nauczycielskim. Uwaga: jajka przeznaczone do tłuczenia musimy ozdobić osobno. Mogą to być podobizny polityków, których nie było na manifestacjach z panem Broniarzem i panem Kijowskim. Tych jaj nie gotujemy. Upaćkane żółtkiem dziecko zrozumie nawet bez korepetycji, do czego prowadzi kultywowanie świątecznych zwyczajów z czasów, gdy nie było internetu.

Kolejny symbol – kurczaczek. Czy on musi być taki wesoły? Wydaje się, że jakaś refleksja nad ludzkim okrucieństwem, zwłaszcza w sytuacji, gdy tuż obok leżą zimne jak głaz jaja z wolnego wybiegu, powinna się kurczaczkowi na dziobie odcisnąć. Czy to nie może być np. kurczaczek po chińsku, z ryżem i surówką? Rozejrzyjmy się, w który z wielkanocnych zwyczajów da się tchnąć nowe, świeckie życie. Czy do koszyczka ze święconką zawsze trzeba wkładać chleb i sól? Niech to będzie feeria naszej inwencji, niech tam będą owoce morza i francuskie sery, których zapach skutecznie odstraszy dzieci od wyprawy do kościoła. Do tego troszkę tofu, kawałeczek arbuza – i już jest weselej! Nie mieści się? A od czego są przenośne lodóweczki? Na koniec wszystko polać keczupem i mamy śniadanie dla sześciu osób. Może mało wielkanocne, ale ostatecznie – po co w Polsce święta, skoro są już w Afryce? Aha, w te dni nie strajkujemy. Przekażcie dalej, żeby ktoś z naszych w odruchu sprzeciwu nie poszedł czasem w Wielkanoc do pracy. Bo całkiem nas już będą za komuchów brali.

18/0419/F

eprasa.pl 17e0412b07

Zdrowych, radosnych Świąt Wielkiej Nocy

życzą

POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE
Spółka Akcyjna



Rosja

Putin szuka nowej roli

Przewodniczący Dumy Wiaczesław Wołodin wywołał zamieszanie w Rosji. Zaproponował bowiem, aby Duma brała udział w konsultowaniu kandydatów na ministrów i zgłaszała prezydentowi swoje propozycje dotyczące składu rządu. „To plan minimum" – dodał, zaznaczając przy tym, że takie rozwiązanie sprzyjałoby równowadze między władzą wykonawczą a ustawodawczą.

W tej chwili faktyczny status Dumy nie jest zbyt wysoki. Od kilkunastu lat nie zmienia się jej kształt, obok mającej większość prezydenckiej Jednej Rosji w izbie niższej zasiadają jedynie przedstawiciele koncesjonowanej opozycji. Duma odgrywa więc głównie rolę „maszynki do głosowania". Propozycja Wołodina oznaczałaby zatem poważne wzmocnienie Dumy kosztem rządu. Nic dziwnego, że pomysł przewodniczącego Dumy został natychmiast skrytykowany przez premiera Dmitrija Miedwiediewa.

Trudno jednak wierzyć, że Wołodin – przez wiele lat zaufany współpracownik Władimira Putina – rzucił pomysł bez żadnej konsultacji lub przyzwolenia prezydenta. Tym bardziej że zmiana uprawnień Dumy wymagałaby nowelizacji konstytucji. Dziś, zgodnie z ustawą zasadniczą, prezydent przedstawia kandydata na premiera, a Duma wyraża zgodę na jego kandydaturę (bądź ją odrzuca). Deputowani nie mają jednak wpływu na kształt rządu.

Po co więc wzmacniać Dumę? Odpowiedź może tkwić w próbie rozwiązania Problemu 2024 – jak się określa kwestię następstwa po Putinie, któremu w 2024 r. kończy się ostatnia kadencja prezydencka. Zdaniem niektórych komentatorów, ewentualne rozszerzenie uprawnień Dumy może oznaczać, że Putin – po zakończeniu ostatniej kadencji – objąłby rolę lidera większości parlamentarnej, oczywiście nie jako deputowany, ale jako ktoś w rodzaju wodza partii. Sterując deputowanymi, zachowałby kluczowy wpływ na rosyjską politykę, w tym również na kształt rządu. Inaczej mówiąc, Wołodin, zgłaszając swoją propozycję, miał ją złożyć niejako w imieniu samego Putina.

Oczywiście taki scenariusz jest na razie wyłącznie spekulacją – Putin nie wypowiada się w tej sprawie – zakłada on jednak, że jego następca na Kremlu powinien być osobą lojalną i zarazem niezdolną do budowy własnego, konkurencyjnego zaplecza politycznego. W tym kontekście wymieniany jest Dmitrij Miedwiediew, którego pozycja jest słaba i który już raz pełnił funkcję prezydenta i – zdaniem niektórych, np. dziennikarki Julii Łatyninej – może ją objąć ponownie.

Czy to realny wariant? Tego nie wie dziś nikt, nawet Putin. Pewne jest jednak, że prezydent myśli już o swojej przyszłości.

Konrad Kołodziejski

Estonia

Koalicja prorosyjsko-antyrosyjska?

Od wyborów parlamentarnych w Estonii minął ponad miesiąc, a sytuacja robi się coraz dziwniejsza. Zwycięska liberalna Partia Reform, która zdobyła 34 miejsca w 101-osobowym Riigikogu, nie zdołała w ciągu trzech tygodni sformować koalicji rządowej. W związku z tym zadanie utworzenia nowego gabinetu przypadło dwóm innym ugrupowaniom, które rozpoczęły negocjacje w sprawie przyszłego rządu. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że trudno w Estonii o większych wrogów ideowych niż właśnie obie te formacje.

Z jednej strony mamy socjaldemokratyczną Partię Centrum, która jest polityczną reprezentacją mniejszości rosyjskiej, stanowiącej 25 proc. populacji państwa (zdobyła 26 mandatów), z drugiej zaś nacjonalistyczną i antyrosyjską EKRE – Konserwatywną Partię Ludową Estonii (wprowadziła do parlamentu 19 posłów). Między obu ugrupowaniami zawsze iskrzyło. Lider narodowców Martin Helme jeszcze niedawno się żalił, że podczas ulicznych walk z Rosjanami w trakcie tzw. brązowej nocy w 2007 r. udało mu się „uderzyć kijem tylko jednego kacapa, dzięki czemu jednak ten dzień nie był całkiem stracony".

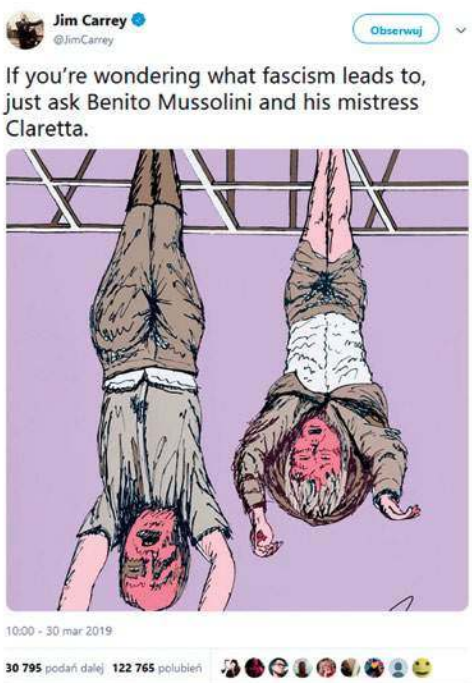
Komentatorzy przyjęli negocjacje ze zdziwieniem, tym bardziej że w czasie kampanii wyborczej wszystkie partie deklarowały, że nie będą prowadzić żadnych rozmów o stworzeniu przyszłego rządu z „prawicowymi radykałami" z EKRE. Pierwsi wyłamali się prorosyjscy socjaldemokraci. Dlaczego? W koalicji z Partią Reform byliby skazani na odgrywanie roli „młodszego brata", natomiast w aliansie z nacjonalistami mają szansę na dominację w obozie władzy i fotel premiera. Z kolei dla narodowców taki sojusz stanowi możliwość przełamania izolacji i wejścia do rządu. Obie strony skłonne są więc do daleko idących ustępstw, jednak wspólnie mają zbyt mało głosów w sejmie. Powodzenie rozmów zależeć będzie więc od trzeciego potencjalnego partnera – chadeckiej partii Pro Patria (Isamaa) mającej 12 posłów. O przyszłych rządach nie będzie więc decydował zwycięzca wyborów, lecz ten, kto zdobył najmniej mandatów.

Grzegorz Górny



Fot. Jaagurak/Shutterstock.com

eprasa.pl 17e0412b07



USA

Komik kontra Mussolini

Gwiazda „Głupiego i głupszego" Jim Carrey stał się dziś jedną z wyroczni na wojnie Hollywood z Donaldem Trumpem. Nie szydzę sobie z filmów, w jakich grał kanadyjski komik. Carrey jest mistrzem komedii i stworzył wybitne role dramatyczne u Petera Weira czy Miloša Formana. Wcielenie się w mrocznego komika Andy'ego Kauffmana wywołało u niego zresztą głęboką depresję. Carrey, niestety, łączy swój kiepski stan emocjonalny z wypowiedziami o polityce. Prezentuje też swoje rysunki o tematyce politycznej. W marcu zamieścił na Twitterze karykaturę rzeczniczki Białego Domu Sarah Sanders. Nie wymienił jej z nazwiska i podpisał obrazek zdaniem: „Jest to portret tzw. chrześcijanki, której jedynym celem w życiu jest kłamanie dla niegodziwych. Potworne!". W tym samym czasie namalował też Donalda Trumpa jako Babę Jagę. „Niegodziwa czarownica zachodniego skrzydła oraz latające małpy Putina" – podpisał obraz.

Mocno aktywny na Twitterze Carrey nie spodziewał się jednak, że za kolejnym razem trafi na odpowiedź godną prawdziwej czarownicy. „Jeżeli się zastanawiasz, do czego prowadzi faszyzm, to spójrz na Benita Mussoliniego i jego kochankę Clarette" – napisał Carrey, umieszczając obraz przedstawiający zwłoki Mussoliniego i jego kochanki Clary Petacci powieszone w 1945 r. głowami do dołu przez komunistów na Piazzale Loreto w Mediolanie. Komik nie spodziewał się chyba jednak, że na Twitterze przesiaduje wnuczka włoskiego dyktatora. Eurodeputowana Alessandra Mussolini w odpowiedzi nazwała Carreya „draniem". „Prezydent Trump nie musi się martwić marną polityką Jima Carreya. Jego rysunki to tylko brudny papier" – napisała.

Żyjemy w prawdziwym postmodernizmie. Bo oto jeden z czołowych hollywoodzkich hejterów odmienia słowo faszyzm przez kolejne przypadki, porównując każdego swojego wroga do faszysty. I nagle dostaje odpowiedź. Od wnuczki prawdziwego faszysty, która dała się już zresztą poznać jako obrończyni spuścizny po dziadku.

Łukasz Adamski

Algieria

Spóźniona wiosna w Algierze

3 kwietnia po 20 latach rządów podał się do dymisji prezydent Algierii Abd al-Aziz Buteflika. Algierczykom to jednak nie wystarcza. Domagają się bowiem wymiany całej klasy politycznej. Arabska Wiosna, która wybuchła w Tunezji w 2010 r. i ogarnęła Egipt, Jemen, Syrię i Libię, ominęła Algierię. Tym razem jednak może wybuchnąć tam rewolucja.

Algieria to kraj młody. Ponad połowa obywateli ma mniej niż 30 lat. A liczba ludności zwiększa się co roku o milion. Za wzrostem demograficznym nie nadążają ani system edukacji, ani rynek pracy. Dobrze wykształceni Algierczycy, gdy tylko mogą, uciekają do Europy. Ponad 60 proc. wpływów do budżetu pochodzi z eksportu ropy i gazu. Ale dochody z eksportu ropy spadają, a bezrobocie wśród młodych rośnie i sięga już 30 proc.

Winą za narastający kryzys obarczano powszechnie 82-letniego schorowanego Buteflikę. Przeciwnicy zarzucali mu korupcję, nepotyzm i fatalne zarządzanie gospodarką. Masowe protesty wybuchły pod koniec lutego, gdy Buteflika, który w 2013 r. doznał udaru i od tego czasu porusza się na wózku inwalidzkim, ogłosił, że zamierza ubiegać się o piątą kadencję w planowanych pierwotnie na kwiecień wyborach prezydenckich.

Początkowo prezydent usiłował załagodzić nastroje, obiecując reformy, potem jednak oskarżył bliżej nieokreślone siły zewnętrzne o „spiskowanie przeciwko Algierii". Ostatecznie na scenę wkroczyła armia, która zmusiła Buteflikę do rezygnacji. Opozycja jest przekonana, że generał Gaed Salah, szef sztabu algierskich sił zbrojnych i wiceminister obrony, poświęcił prezydenta, aby ratować reżim. Tym bardziej że tymczasowym prezydentem obwołano zaufanego człowieka Butefliki, przewodniczącego Rady Narodów, czyli wyższej izby parlamentu, 77-letniego Abd al-Kadira Bensalaha. Algierczycy nadal więc demonstrują, tym razem domagając się odejścia „całej klasy politycznej".

Bensalah ma 90 dni na przeprowadzenie wyborów. Ale mało kto wierzy, że będą one uczciwe. Zdaniem opozycji sytuacja w Algierii zmieni się na lepsze dopiero wtedy, gdy zostanie odrzucony „stary system" skupiony wokół partii rządzącej, armii, biznesu oraz weteranów wojny o niepodległość z lat 1954–1962.

Francja z dużym niepokojem obserwuje rozwój wydarzeń w swojej dawnej kolonii. „Nikt nie wie, czym to się skończy. Nowym rozdaniem politycznym czy chaosem? A jeśli chaosem, to ilu Algierczyków postanowi wówczas uciec do Francji?" – zastanawia się dziennik „Le Figaro".

Aleksandra Rybińska

eprasa.pl 17e0412b07

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

„Roztrzaskane lustro”



Jan Pietrzak

Nauczyciele strajkują, pora sięgnąć do mądrych książek, by cokolwiek zrozumieć z tego bałaganu umysłowego, w jakim się znaleźliśmy jako społeczeństwo, ale również jako Europa i – jeszcze szerzej – jako cywilizacja.

Jest taka książka Wojciecha Roszkowskiego, opublikowana niedawno przez wydawnictwo Biały Kruk, „Roztrzaskane lustro”, z podtytułem „Upadek cywilizacji zachodniej”. Nie mam stosownych kwalifikacji, by podjąć próbę recenzowania wybitnego dzieła profesora Roszkowskiego. W mojej kabaretowej szkole życia odwołujemy się raczej do optyki krzywego zwierciadła, do gabinetu krzywych luster, co całą skomplikowaną materię egzystencji jednostek i ludzkich mas czyni bardziej lekkostrawną, jak mniemam. Czy mam rację – nie wiem, bo od pierwszych występów licząc, dopiero sześćdziesiąt lat pobieram tę wiedzę, jak odróżniać karykaturę od kreatury, rację od kreacji, wielkie idee od złudnych nadziei, postępowców od postępaków... itp. Nieustanne pytania, na które szukamy odpowiedzi w mądrych księgach...

Proponuję zatem kilka cytatów. „Postęp techniczny i cywilizacyjny przy kryzysie wartości nie likwiduje problemów społecznych, a stwarza nowe. Co więcej, postęp naukowy przynosi tyleż odpowiedzi na dręczące ludzi pytania, ile nowych pytań”. „Ludzie Średniowiecza zabijali się z chciwości, żądzy władzy lub z powodów religijnych, lecz nie w imię postępu. Zabijanie w imię postępu stało się wynalazkiem ery nowożytnej”.

Z osobistej pamięci wyciągam zgrabne hasełko, jakim obwieszone były sale i korytarze koszar: „Postęp i pokój ze Związkiem Radzieckim na czele”, wiszące na ścianie zbrojowni, w której kompania trzymała karabiny. Na strzelnicach, poligonach, w transzejach uczono nas, jak tych karabinów używać, walcząc o pokój w imię postępu ludzkości.

Kolejny cytat z dzieła prof. Roszkowskiego: „Wielu intelektualistów zachodnich zadaje pytanie, jak we wspaniałej cywilizacji zachodniej mogło dojść do potworności, które zrodził komunizm i nazizm. Nie wiążą oni tych potworności z prądami umysłowymi, które otaczały zbrodnicze ideologie miękkim relatywizmem i wyrafinowanym intelektualnie przyzwoleniem na zło. Same pojęcia zła i prawdy zostały usunięte z tych refleksji filozoficznych”.

Zwyczajne szczęście

Z aktorem Arkadiuszem Janiczkiem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Od „Placu Zbawiciela” trochę czasu już upłynęło.

Arkadiusz Janiczek: 13 lat.

Zbudował pan w tym filmie tak przejmującą postać, że przykryła nawet długi komediowy związek z serialem „Złotopolscy”. Teraz znów oglądamy bardzo różne pana wcielenia – w „Leśniczówce” i „Stuleciu Winnych”.

Szczęśliwie się dla mnie składa, że trafiam w zawodowym życiu na reżyserów niebanalnych. Takich jak Krzysztof Krauze i Joanna Kos-Krauze czy Radosław Piwowarski, którego – gdy byłem młodym człowiekiem – czułem się dyżurnym aktorem. To on mnie odkrył, w 1995 r. na ulicy powiedział: „Będziesz długo grał u mnie”. I tak się stało. Piotr Trzaskalski, odpowiedzialny za „Stulecie Winnych”, jest reżyserem artystą. Na planie „Leśniczówki” znalazłem świetne porozumienie z Radosławem Dunaszewskim.

„Leśniczówka” to komediowo budowany mecenas...

Postać Artura Krawczyka dopiero się rozkręca. Uzależniony od rodziny Karczów, lokalny prawnik na posyłki. Niby słaby charakter, a jednak się go lubi.

A jaki jest bohater ze „Stulecia Winnych”?

Władysław to najstarszy syn Antoniego i Bronisławy. Z żoną Kazią (którą gra Katarzyna Kwiatkowska) przechodzimy przez 13 odcinków najmniej pokiereszowani. Jedyni nie mamy kłopotów małżeńskich. Ałbena Grabowska, autorka książki, na której podstawie powstał scenariusz, i reżyser podkreślali, byśmy – równoważąc bolesne doświadczenia, jakich nie brakuje w losach innych bohaterów – po prostu grali zwyczajne szczęście.



Fot. Gałązka/AKPA

eprasa.pl 17e0412b07

BRONISŁAW WILDSTEIN

O sztuce, sądzie i inkluzywności



Fot. Andrzej Wiktor

Ministerstwo Kultury na wiadomość, że kuratorem festiwalu teatralnego Malta w roku 2017 ma być Oliver Frljić, wycofało dotację w wysokości 300 tys. zł. Uzasadnienie wydawało się oczywiste. W wystąpieniu o dofinansowanie fundacja Malta pisała, że zostanie ono przeznaczone na: „inkluzywne wydarzenie społeczno-artystyczne, włączające odbiorcę w dialog i działanie, otwierające go na doświadczenie sztuki". Inkluzywność to jedno ze słów kluczy nowomowy. Ma oznaczać włączanie, ale ma ideologiczny podtekst. Jak Frljić rozumie „włączanie", mogliśmy się przekonać na spektaklu „Klątwa", którego elementem było wezwanie do zbiórki na zabicie Jarosława Kaczyńskiego. W ten sposób publiczność została włączona w akcję, a nawet uznać należy, że wprzęgnięty w działanie owej „sztuki" został także prezes PiS. Innym sposobem na inkluzywność było piłowanie i obalanie krzyża, co, jak rozumiemy, miało angażować katolików i do pewnego stopnia się nawet udało.

Frljić deklaruje, że interesuje go społeczny bunt, a nienawidzi m.in. wspólnoty narodowej, można więc uznać, że dotowanie go przez jej reprezentację, jaką stanowi państwo, jest pomysłem rzeczywiście transgresywnym, a o takie działania chodzi przecież chorwackiemu performerowi.

Pomimo wstrzymania dotacji na 2017 r. ministerstwo nie wycofało obiecanych na kolejne lata, co można uznać za nie do końca zrozumiały wyraz łagodności z jego strony. W odpowiedzi zostało pozwane przez Maltę wspieraną przez Fundację Helsińską. Celem tej międzynarodowej instytucji jest obrona praw człowieka, a więc wiemy już, że pośród nich znajduje się zachęcanie do zabójstwa nielubianego polityka, a także obowiązek wspierania przez państwo profanacji oraz obrażania religii – konkretnie chrześcijaństwa, gdyż agresja wobec innych, najprawdopodobniej, wywołałaby oburzenie u Helsińskich. Jako reprezentanci Malty przed sądem stanęli, podobno bezpłatnie, adwokaci jednej z bogatszych amerykańskich kancelarii.

Równocześnie ruszyła zbiórka na Maltę, która szybko przyniosła równowartość wycofanej dotacji. Podobną, równie skuteczną zbiórkę, przeprowadzono po wycofaniu dotacji dla ECS. Pokazuje to, że zwolennicy społecznego buntu i subwersji należą do lepiej sytuowanych mieszkańców naszego kraju i skutecznie mogą utrzymywać tego typu akty. Mam nadzieję, że ministerstwo wyciągnie z tego wnioski. Przedmioty na rzecz aukcji przekazali m.in.: Magdalena Cielecka, Krzysztof Penderecki, Janusz Gajos, Roman Gutek, Krystyna Janda, Adam Michnik, Danuta Stenka, a także prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak. Czy ma to oznaczać, że osoby te uczestniczą w zbiórce na zabójstwo prezesa PiS per procura? Więcej odwagi, szanowni państwo!

Sprawa powróciła, gdyż sąd pierwszej instancji przyznał rację Malcie i kazał ministerstwu wypłacić dotację wraz z odsetkami. – W ocenie Sądu Okręgowego zapisy umowy nie dawały podstawy do odmowy wypłaty świadczenia, do którego się zobowiązał minister, podpisując umowę o dofinansowanie festiwalu – powiedział sędzia Bajak.

Trzeba przyznać, że spora część sędziów w Polsce utrwala tak istotną dla istnienia prawa stabilność wyroków. Możemy być pewni, że jeśli stroną będzie instytucja czy osoba związana z obecną władzą, wygra jej przeciwnik. Wszystko jedno, czy będą to przejmujący kamienice na podstawie fikcyjnych zaświadczeń, blokujący legalne manifestacje czy uniemożliwiający liderowi PiS odwiedzenie grobu brata. Gdyby okazało się, że Ministerstwo Rolnictwa cofnęło dotację piekarni, która sprzedaje pieczywo z cementu, sędzia Bajak kazałby ją zwrócić, bo zapisy umowy nie precyzują, z czego chleb ma być zrobiony.

Wycofanie dotacji przez totalnych nazywane było „powrotem cenzury", „ręcznym sterowaniem" itp. Państwo ma płacić za prowokacje, których celem jest znieważanie uczuć i organizowanie zbiorowej nienawiści. Pod warunkiem że celem będzie większość, bo mniejszości należy bronić. No, ale przecież ci, którzy to głoszą, twierdzą również, że katolicyzm w Polsce radykalnie zanika, pewnie więc stał się już mniejszością. Może szybko sprawdzi to Komitet Helsiński, bo gdyby okazało się prawdą...

To oczywiście żart. Przecież wiemy, że prześladowanie chrześcijan, jeśli nawet jest ich niewielu, nie wzrusza postępowych i otwartych elit. Po tym właśnie można je poznać. Ich politycznym credo jest uznanie, że państwo polskie musi działać przeciwko swojemu interesowi. Jeśli zaczyna go wspierać, okazuje się ultranacjonalistyczne i autorytarne, żeby nie użyć ostrzejszych określeń.

eprasa.pl 17e0412b07

OGNIEM NA WPROST

Szariat i czastuszki



Sułtan Brunei Hassanal Bolkiah właśnie wprowadził nowe, twarde prawo zaostrzające i tak ostry szariat. Nie jest to dobra wiadomość dla społeczności LGBT, bowiem za samą przynależność do tego typu stowarzyszeń grozi teraz kara śmierci przez ukamienowanie. Lecz sułtanat Brunei nie jest dobrym wzorem do naśladowania (pomijam drakońskość kar) ze względu na postawę samego przywódcy. Oto krótka lista wyczynów władcy i jego dworu. Częste imprezy z udziałem tancerek rewiowych i ekskluzywnych „dam" do towarzystwa. Wydanie 27 mln dolarów na obchody pięćdziesiątki sułtana. Podczas gry w polo z księciem Wielkiej Brytanii Karolem Bolkiah kazał dostarczyć swoje buty helikopterem na boisko. Jego wizyta u fryzjera kosztuje zazwyczaj 21 tys. dolarów. Bracia sułtana podróżują ze stuosobową świtą i w ekskluzywnych butikach kupują na raz po sto garniturów tego samego koloru. Kiedy imprezowali, angażowali się praktycznie we wszystko, co jest zakazane w krajach muzułmańskich. Jakby tego było mało, wysyłali emisariuszy w celu przeczesywania świata w poszukiwaniu najbardziej seksownych kobiet, żeby stworzyć harem, jakiego jeszcze nie było. I to można nazwać dopiero Himalajami hipokryzji.

Towarzystwo z LGBT może się znaleźć w poważnych opałach. Otóż w Wielkiej Brytanii doszło do pierwszego tego typu coming outu. 37-letni Brytyjczyk Kaz James ogłosił, że nie czuje się ani mężczyzną, ani kobietą, ani czymś pośrednim tylko... psem. Dlatego też zachowuje się jak zwierzę. Zakłada specjalnie przygotowane maski z psim pyskiem, je z miski, szczeka na ludzi, a także nosi przedmioty w zębach. Poświęcił też czas na publicystykę, wydając książkę „How to train a human pup" (ang. „Jak wytresować ludzkie szczenię"). Kaz James zew krwi poczuł już w dzieciństwie, jednak tłumił swoje prawdziwe skłonności. „Po raz pierwszy usłyszałem termin »bycia szczenięciem« od szczeniaka, którego poznałem on-line – twierdzi. – Następnie poznałem inne szczenięta i nauczyłem się zupełnie nowego języka". Generalnie dziś jest „wyszkolony" i „radzi sobie z ludźmi" nawet w restauracjach, ale czuje się wśród nich nieswojo. Słynny rysunek Krauzego, na którym facet z kozą czeka przed parą gejów do urzędnika stanu cywilnego, mówiąc „Jeszcze tylko ci dwaj panowie, a potem my", zaczyna nabierać realnych kształtów.

Mało kto pamięta, jak Władimir Putin rozprawił się u siebie z homoseksualnym lobby. Najpierw podczas próby zorganizowania marszu w 2002 r., a następnie podczas podobnej imprezy w 2006 r. Wtedy to pod pomnikiem Nieznanego Żołnierza radykalni narodowcy wraz z Bractwem Prawosławnym przebili się przez milicyjny kordon i rozpędzili waginosceptycznych na cztery wiatry. Od tamtej pory nikt nie próbuje w Moskwie organizować parad równości. Po tym wydarzeniu prezydent Rosji został uznany przez „The Advocate", jeden z najważniejszych gejowskich magazynów na świecie, za największe zagrożenie . Ale myliłby się ten, kto sądziłby, że Putin walczy z lobby LGBT także poza Rosją. Wręcz przeciwnie. Ostatnio na rosyjskim, propagandowym portalu dla Polaków Sputnik ukazał się artykuł „Uniwersytet Warszawski: Tu się uczy, nie hajluje". Tekst ten był paszkwilem na polskich, patriotycznych studentów, którzy są przeciwni: szerzeniu na uniwersytetach lewicowej propagandy, szkalowaniu przez media polskich patriotów, a także agitowaniu w szkołach wyższych na rzecz homopatologii. Z drugiej strony w tym samym artykule Sputnik zachwalał zwolenników marksizmu, określanych mianem „studentów i nauczycieli akademickich". W rzeczywistości chodziło o trockistów z Pracowniczej Demokracji, Antify, komunistów oraz gejów wspieranych przez emerytów z KOD. Jednym słowem – co dobre dla nas, nie musi być wcale pozytywne dla naszych przeciwników. I kto tu podskakuje w rytm czastuszek na melodie wygrywane przez Putina?

Szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker bawił ostatnio w stolicy Rwandy – Kigali. Bawił dosłownie, ponieważ podczas oficjalnej uroczystości znów się zataczał. Okazja, żeby sobie golnąć, była przednia, albowiem obchodzono ćwierćwiecze masakry Tutsi przez ludzi z plemienia Hutu, w której wyrżnięto ponad milion ludzi.

Kiedy uczestnicy uroczystości stawili się przed masywnym zniczem w miejscu pochówku ofiar, by zapalić symboliczny ogień, dołączył do nich chwiejnym krokiem Juncker. Wymachiwał na lewo i prawo płonącą pochodnią. Nagle o włos nie dotknął jedwabnej szaty stojącej obok niego damy. Od poparzenia czy spłonięcia żywym ogniem uratowała ją urzędniczka, która w ostatniej chwili wyrwała szefowi KE pochodnię z ręki. Po tym incydencie nasuwa się tylko jedna, smutna konstatacja: jeżeli po wyborach do PE zastąpi go Manfred Weber, jeszcze będziemy tęsknić za Jeanem-Claude'em.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 17e0412b07

Prawa twórców a wolność słowa



Marta Kaczyńska-Zielińska

Kontrowersyjna dyrektywa Parlamentu Europejskiego i Rady w sprawie praw autorskich na jednolitym rynku cyfrowym to zbiór przepisów reformujących system ochrony praw autorskich i pokrewnych w poszczególnych państwach UE. Państwa mają dwa lata na ich implementację. Określa ona zasady, których celem jest harmonizacja przepisów mających zastosowanie do praw twórców w ramach rynku wewnętrznego, ze szczególnym uwzględnieniem cyfrowych i transgranicznych sposobów korzystania z utworów.

Nowe regulacje przewidują m.in. podział zysków między autorami i innymi podmiotami praw w odniesieniu do utworów i innych przedmiotów objętych ochroną a ich wydawcami. Państwa członkowskie są obowiązane zapewnić to, aby autorzy i wykonawcy otrzymywali regularnie aktualne, adekwatne i wystarczające informacje na temat eksploatacji swoich utworów oraz wykonań od podmiotów, którym udzielili licencji lub na które przenieśli swoje prawa, zwłaszcza w odniesieniu do sposobu eksploatacji, uzyskanych dochodów i należnego wynagrodzenia. Państwa członkowskie mają wprowadzić regulacje przyznające autorom i wykonawcom prawo zażądania dodatkowego odpowiedniego wynagrodzenia od strony, z którą zawarli umowę, jeżeli pierwotnie uzgodnione wynagrodzenie jest niewspółmiernie niskie w porównaniu z późniejszymi dochodami i korzyściami uzyskiwanymi z eksploatacji utworów lub wykonań. Opisane rozwiązanie przypomina swoją konstrukcją znane od lat droit de suite – stosowane w odniesieniu do utworów plastycznych i fotografii prawo do wynagrodzenia z tytułu zawodowej odsprzedaży. Prawo to rekompensuje twórcom wizualnym gorszą pozycję w porównaniu z takimi artystami jak pisarze czy kompozytorzy, którzy co do zasady mają zapewniony zysk stosownie do wzrostu sprzedaży ich dzieł. Trudno się zatem dziwić, że gros przedstawicieli środowisk twórczych entuzjastycznie przyjęło dyrektywę.

Jednak jej zapisy ustanawiają także po stronie dostawców usług społeczeństwa informacyjnego obowiązek stosowania mechanizmu sprawdzającego, czy publikowany utwór nie narusza praw autorskich. Platformy internetowe mają być bezpośrednio odpowiedzialne wobec twórców za wszystkie naruszające prawo autorskie treści zamieszczane przez użytkowników, nawet jeśli nie mają świadomości konkretnego naruszenia. Regulacje te ograniczą możliwość udostępniania treści na powszechnie używanych portalach społecznościowych, a także w innych serwisach służących dzieleniu się filmami, muzyką i innymi utworami. Platformy internetowe będą musiały nabyć odpowiednie licencje od twórców oraz usuwać utwory, które zostały zgłoszone przez posiadaczy praw jako nielegalne. Portale, które posiadają minimum 5 mln użytkowników miesięcznie, będą musiały zapobiegać ponownemu udostępnianiu usuniętych utworów. Platformy funkcjonujące co najmniej od trzech lat lub uzyskujące minimum 10 mln euro rocznych przychodów będą obowiązane z własnej inicjatywy usuwać niezgodnie z prawem zamieszczone utwory.

Zdaniem wielu ekspertów obowiązek usuwania treści, niezależnie od tego, czy te utwory zostaną platformom zgłoszone, czy nie, sprawi, że w istocie to właściciele platform będą decydowali o granicach wolności słowa w internecie. Stosowanie analogicznych rozwiązań przewidywały postanowienia umowy zwanej ACTA, która ostatecznie nie weszła w życie. Koszty wdrażania technicznych rozwiązań monitorowania treści mogą zaś skutkować umocnieniem istniejącego już dziś duopolu informacyjnego najbardziej popularnego portalu społecznościowego i najczęściej używanej wyszukiwarki, które będą arbitralnie kształtować zasady dostępu do wszelkich informacji. Prezes PiS Jarosław Kaczyński oraz premier Mateusz Morawiecki zadeklarowali, że dostosowanie polskich przepisów prawa do unijnych wymogów nastąpi w sposób zapewniający ochronę wolności słowa w krajowym internecie.

REKLAMA

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 27 marca 2019 roku zmarł w Krakowie

ŚP

PŁK STANISŁAW DĄBROWA-KOSTKA

PS. „ALEKSANDER”

urodzony 11 października 1924 roku w Przemyślu.
Od września 1939 roku współorganizator młodzieżowej grupy konspiracyjnej „Lipowica”. Od 1941 roku żołnierz Związku Walki Zbrojnej w Obwodzie Przemyśl.
Od sierpnia 1942 roku dowódca oddziału dywersyjno-wywiadowczego Komendy Obwodu na Placówce AK Przemyśl-Zasanie.
W maju 1943 roku awansowany na kaprala podchorążego.
Od lipca 1943 roku adiutant Szefa Podkarpackiego Ośrodka Kedywu.
Od grudnia 1944 roku oficer dywersji w Komendzie Obwodu AK Przemyśl.
Po wojnie działał w II Konspiracji Niepodległościowej.
Od marca 1946 do września 1949 roku więziony przez władze komunistyczne.

Uhonorowany Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari, Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Walecznych oraz wieloma innymi odznaczeniami. Laureat nagrody IPN Kustosz Pamięci Narodowej.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.
Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

14/0419/F

eprasa.pl 17e0412b07

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Uwięziony

Do niecodziennego wydarzenia doszło podczas gali bokserskiej w Liverpolu. Kash Ali w piątej rundzie starcia z Davidem Price'em... ugryzł rywala w brzuch. Na zachowanie Brytyjczyka zdecydowanie zareagowali sędziowie i zdyskwalifikowali zawodnika. Kash Ali został wygwizdany przez publiczność, a organizatorzy gali zadecydowali, że zawodnik nie otrzyma wynagrodzenia za walkę. Teraz Brytyjczyk powinien wytłumaczyć się z zajścia, wyjaśniając, że czuje się wilkiem uwięzionym w ludzkim ciele i akurat poczuł zew natury. Tym uwięzionym przez naturę wszystko teraz wolno.





ponad 800 tys. – tyle wniosków o przyznanie dochodu podstawowego, zwanego obywatelskim, wpłynęło we Włoszech po miesiącu przyjmowania formularzy. W kwietniu włoski rząd rozpoczął wypłacanie świadczenia.

780 euro – tyle na osobę wynosi maksymalna kwota miesięczna wypłacana w ramach dochodu obywatelskiego, przeznaczonego dla najuboższych, w tym poszukujących pracy.

54 proc. – tyle jest kobiet wśród wszystkich wnioskujących o przyznanie dochodu obywatelskiego. To oficjalne dane włoskiego Ministerstwa Pracy.



Stęsknieni

Wygląda na to, że mieszkańcom Wysp Brytyjskich przejadł się dotychczasowy system polityczny. „Brytyjczycy są sfrustrowani poczuciem braku wpływu na rzeczywistość i uważają, że parlament głównie utrudnia rozwiązywanie problemów; ponad połowa z nich mówi o potrzebie »silnego lidera, który jest gotowy do złamania zasad«" – cytuje badanie Hansard Society portal londynek.net. Widać każdy chciałby mieć swojego Kaczyńskiego...

Never ending brexit

Wielka Brytania chce wyjść z Unii Europejskiej, ale, jak się właśnie okazało, nie na ostro. Premier tego kraju Theresa May została zobowiązana przez parlament do wynegocjowania daty opóźnienia brexitu oraz do tego, by rozwód z Unią nie odbył się bez umowy, czyli by nie był to tzw. twardy brexit. Never ending brexit nam się po prostu z tego robi. Ciekawe, czy w 2050 r. Wielka Brytania już wyjdzie, czy wciąż będzie stała w drzwiach?



eprasa.pl/17e04f2b07

Średniowiecze

Według sondażu przeprowadzonego na zlecenie stowarzyszenia Deutsche Sprache wyraźna większość mieszkańców Niemiec nie chce wprowadzania tzw. neutralnych płciowo określeń do codziennego i urzędowego użytku. O sprawie informuje m.in. radioem.pl. Ależ zacofani ci Niemcy. Istne średniowiecze!



Fot. Andrzej Wiktor, YouTube.com, Shutterstock (x3), East News/AP Photo/Ben Curtis

> Nie zgadzamy się na związki partnerskie, liberalizację aborcji czy walkę z Kościołem" – stwierdził Marek Sawicki z PSL. A udział w Koalicji Europejskiej to wypadek przy pracy czy co?

Gorący chłopak

Przewodniczący Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker wpadł z wizytą do Rwandy, gdzie wspominano 25. rocznicę ludobójstwa, w którym zginęło blisko milion osób. I znów szefa Komisji Europejskiej dopadł syndrom „rwy kulszowej". Juncker miał podpalić znicz upamiętniający ofiary ludobójstwa. Jednak mogło dojść do tragedii. Kiedy już podpalono znicz, Juncker nie zwracając uwagi na to, że ma w ręku płonącą pochodnię, zaczął się wycofywać i zamaszystym ruchem skierował płonący koniec kija w stronę pozostałych gości biorących udział w uroczystości. Na szczęście jeden z gości był trzeźwy lub po prostu przytomny i odsunął pochodnię Junckera od stojącej obok kobiety, ratując jej twarz przed poparzeniami. O sprawie wspomniał m.in. portal najwyzszyczas.pl. Trzeba przyznać, że gorący facet z tego Junckera. I, jak się okazuje, rwa kulszowa może być poważnym zagrożeniem dla otoczenia.



PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

W psiej skórze



Dominik Zdort

Jest taki portal. Cele – deklarowane – wzniosłe. Chce „sprawdzać fakty", bo „potrzeba rzetelnej analizy słów i czynów w życiu publicznym staje się nagląca". Deklaruje „wiarygodne, sprawdzone informacje, rzeczowość, odwoływanie się do danych liczbowych i ekspertyz naukowych". Chce być psem pasterskim pilnującym społeczeństwa bezbronnych owieczek przed wilkami fake newsów.

A jak jest w praktyce? Weźmy niedawny przykład. W polskim internecie zawrzało, kiedy podano informację, że Kazimierz Pułaski był – biologicznie – kobietą. Wspomniany powyżej portal zareagował: „Miesiąc po ogłoszeniu przez PiS antygenderowej krucjaty okazuje się, że bohater narodowy jest ucieleśnieniem »ideologii gender«" – napisała pewna autorka w pierwszym zdaniu tekstu. Dalej było w tym samym tonie.

Gdyby tekst pojawił się gdzie indziej, można by przymknąć na to oko. Cóż, jest tyle agresji i hejtu w sieci. Ale pojawił się na portalu deklarującym walkę z fake newsami. Czy redaktorka sprawdziła fakty? Czy dowiedziała się, kim są autorzy sensacji? Czy zapytała o metody badawcze, o to, kto finansował badania? Dlaczego je podjęto?

I tu muszę się pochwalić. A właściwie nie siebie, tylko panią dr Magdalenę Kawalec-Segond, dziennikarkę naukową, biologa molekularnego i mikrobiologa. Pisywała m.in. w „Gazecie Wyborczej", „Newsweeku", „Gościu Niedzielnym" czy „Polityce", obecnie jest autorką Tygodnika TVP. Pani Magda zamiast unosić się ideologicznym wzmożeniem – zachwytu lub oburzenia – użyła szkiełka i oka, zaczęła sprawdzać fakty, skontaktowała się też z szefową zespołu badającego szczątki Pułaskiego.

Co się okazało? Że cała ta informacja, tak gorliwie propagowana przez wspomniany portal, jest delikatnie mówiąc, daleka od prawdy. To znaczy nadal nie wiadomo, na ile Pułaski był kobietą, ale na pewno nie wynika to z przeprowadzonych badań. Naukowcy niekoniecznie byli specjalistami w wymaganych dziedzinach, a testy zamówiono, aby zareklamować odcinek serialu dokumentalnego w pewnej telewizji.

No i rzecz najważniejsza. Badaczka odpowiedzialna za całe to zamieszanie nie ukrywała przed panią Magdą Segond swoich intencji: dzięki jej „sensacji" Pułaski „w sposób niezwykły może reprezentować środowisko interseksualne w historii".

Wszystko to można przeczytać na tygodnik.tvp.pl.

Jaki z tej historii wniosek? Uważajcie na psy pasterskie. Czasem to wilki przebrane w psie skóry.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

epresa.pl 17e0412b07

RZECZY POSPOLITE

Praca zbyt dojrzała!



Tomasz ***Łysiak***

Trwający przez ostatnie tygodnie „festiwal" nacisków nauczycieli pod wodzą pana Broniarza przypomniał mi, jak kilka lat temu, w rozkwicie rządów Tuska, mieliśmy z żoną do czynienia z systemem szkolnictwa. Właściwie miał do czynienia nasz syn, który zdawał wówczas egzamin gimnazjalny, a jego wyniki skutkowały przyjęciem do liceum. Byliśmy trochę zdziwieni, gdy za wypracowanie stanowiące część pracy pisemnej z języka polskiego dostał najniższą możliwą notę. Myśleliśmy początkowo, że zjadła go trema lub zrobił jakieś głupie błędy. Jakoś jednak nie dawało nam to spokoju, więc postanowiliśmy sprawdzić, co się stało, i napisaliśmy odwołanie.

Minęło kilka dni, w ciągu których rekrutacja została zakończona, a młodzież, jeśli wystarczyło jej punktów, trafiła do wybranych szkół. Wtedy w naszym domu zadzwonił telefon. W słuchawce pani z Centralnej Komisji Egzaminacyjnej najpierw zdenerwowanym głosem zapytała, czy syn dostał się do wybranej szkoły, a gdy się okazało, że tak, z ulgą poinformowała, że komisja przeanalizowała wypracowanie i przyznała maksymalną liczbę punktów. Okazało się, iż wcześniejsza niska ocena została wystawiona prawdopodobnie z tego względu, że „praca była zbyt dojrzała jak na ten wiek"! Pani zaprosiła nas na przeczytanie owej pracy. Co zobaczyliśmy? Syn w gimnazjum interesował się filozofią, więc w swym wypracowaniu używał terminów z teorii filozofii, które zostały podkreślone na czerwono jako błędne sformułowania! Pod punktacją nie było żadnego wyjaśnienia.

Panie w CKE przeprosiły osobiście nasze dziecko, a nam powiedziały, że osoba, która sprawdzała prace, mogła nie być do końca kompetentna. „Są braki kadrowe, może to był nauczyciel innego przedmiotu, rozumieją państwo...". Kiedy Tadek oddawał w liceum kartę z poprawionymi wynikami egzaminu, nauczycielka powiedziała ze śmiechem: „Będziesz przychodził do mnie po lekcjach przez rok, żebyś się nauczył pisać na niższym poziomie". Ale całą tę sytuację nasz syn bardzo przeżył. Już nigdy nie odzyskał zaufania do systemu oświaty. My także. Szczególnie że sytuacja powtórzyła się na maturze. Zaczęliśmy wtedy stawiać ważne pytania – o jakość i poziom wykształcenia kadry nauczycielskiej. To również powinno być przedmiotem troski w trakcie dokonywania reform systemu nauczania.

Kury w boju



Piotr ***Cywiński***

Co było pierwsze, jajo czy kura? Nie wiem i nawet nie myślę być jajem mądrzejszym od kury. Jeszcze tak nie było, żeby jajo kurę uczyło... O jajach można bez końca, bo okazji mnóstwo. W judaizmie jajo to symbol cykliczności życia i bezkresu trwania. Żydzi raczą się jajami na stypach, tzn. do konsumpcji za zmarłego, który gdzieś tam już w zaświatach, ale jest i będzie przez wieki wieków, w co wierzą. My zaś dzielimy się jajem przy wielkanocnym stole i życzymy sobie bardziej pragmatycznie, żeby nam się wiodło docześnie. Jaja bywają również elementem dekoracyjnym, jak te najsłynniejsze z kruszców i kamieni, powstałe w petersburskiej pracowni Carla Gustawowicza Fabergé na zamówienia carów. Wyprodukował ich dokładnie 54, pokazano je w 1900 r. na Expo w Paryżu, za co jej twórca został wyróżniony Legią Honorową, ale wraz z wybuchem rewolucji skończył się ten arystokratyczny zbytek, a zaczęły się inne jaja... W kwestii formalnej, złotnik Fabergé zmarł na emigracji.

I tak oto z obrzędów różnych kultur z jajem w roli głównej doszliśmy do kultury politycznej, gdzie jest odwrotnie – jaja są wyrazem niechęci i złości, a jeśli nadziei, to nie na wieczne życie, lecz rychły koniec któregoś ze znienawidzonych polityków. Nie będę wyliczał, kto gdzie dostał zbukami, ale lista wyróżnionych w ten sposób spośród sprawujących władzę jest długa. Chociaż wspomnieć warto, prezydenta Francji Nicolasa Sarkozy'ego, którego wyborcy potraktowali w Bayonne pod koniec urzędowania tuż przed Wielkanocą gradem jaj. „Sarko" omal nie spadł z obcasów, jako że mikry jest, a żonę ma dużą, więc fleczki ma dość grube, i huknął, że to „przejaw hańby ze strony cepów".

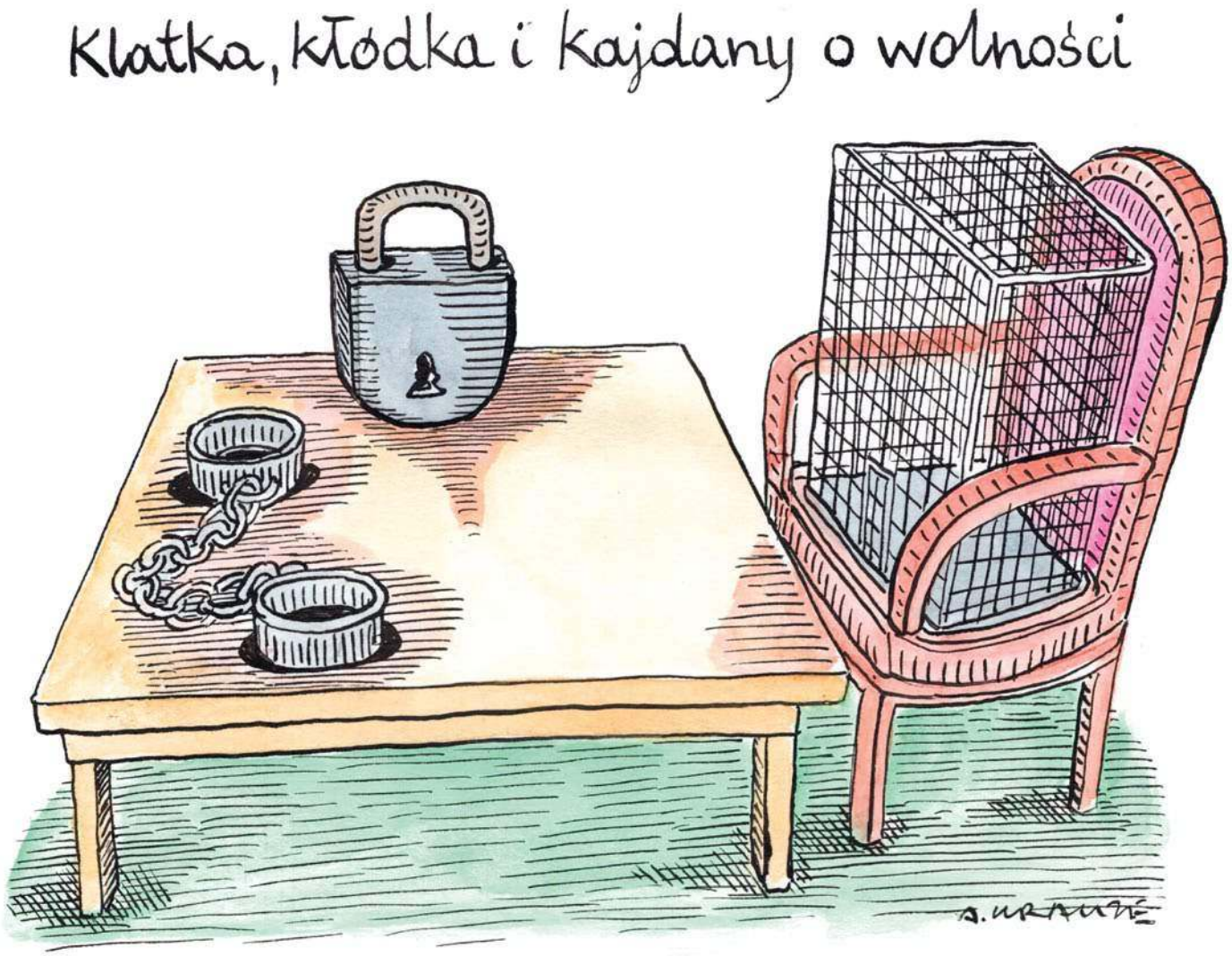
Nie wiem, jak to się ma do naszego porzekadła, że lepiej mieć jajo bez znoju niż kurę po ciężkim boju, dla „Sarko" chyba się nie sprawdziło, ale mamy inne przysłowie, które bardziej pasuje: nie stłukłszy, nie dowiesz się, czy jajo jest dobre. Swoją drogą, gdyby kwoka nie gdakała, ani by kto wiedział, że jajko zniosła. W tym kontekście da się nawet zrozumieć irlandzkie porzekadło: da ci jajko, jak przyrzekniesz nie rozbić skorupki... Albo: nie zabija się kury znoszącej złote jaja. A poza tym, lepsze jajo dziś niźli jutro kokoszka.

Skoro jednak zeszło na politykę, czego okołowielkanocnie starałem się uniknąć, to co poniektórzy mają ten choćby powód do radości, że w ich stronę nie lecą kacze, żelazne jaja z mitycznego, fińsko-estońskiego eposu Kalevali.

Wesołego jajka wszystkim!

eprasa.pl 17e0412b07

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK; OBRAZ NA OKŁADCE „POŻEGNANIE CHRYSTUSA ZE ŚWIĘTYMI KOBIETAMI" LUCASA CRANACHA STARSZEGO ZE ZBIORÓW MUZEUM HISTORII SZTUKI W WIEDNIU

eprasa.pl 17e0412b07



Całun Turyński przed trybunałem nauki

eprasa.pl 17e0412b07

Współczesna nauka – dzięki zastosowaniu najnowszych zdobyczy technologii – dochodzi dziś do tego samego wniosku, co starochrześcijańska tradycja: wizerunek na Całunie Turyńskim śmiało nazwać można „acheiropoietos", czyli „nie ludzką ręką uczyniony"



GRZEGORZ GÓRNY

13 października 1988 r. świat obiegła wiadomość, która wstrząsnęła milionami chrześcijan. Niezależnie od siebie trzy ośrodki naukowe ogłosiły, że Całun Turyński jest średniowiecznym fałszerstwem. Taki rezultat przyniosła datacja metodą izotopu węgla C-14 próbek pobranych z płótna. Według laboratoriów w Zurychu oraz w Tuscon w Arizonie relikwia powstała między rokiem 1262 a 1312, a według laboratorium w Oksfordzie – między 1353 a 1384 r.

SZOK I ROZCZAROWANIE

Oświadczenie stanowiło szok, ponieważ stało w sprzeczności ze wszystkimi dotychczasowymi wynikami badań. 10 lat wcześniej, w 1978 r., w Turynie zjawiła się ponad 20-osobowa grupa amerykańskich naukowców tworzących organizację o nazwie STURP (Shroud Of Turin Research Project). W ciągu kilku dni przeprowadzili oni najbardziej wnikliwe i szczegółowe badania Całunu w dziejach tego płótna.

Jeden z członków owej ekipy Barrie Schwortz opowiadał mi: „Po zgromadzeniu danych w Turynie wróciliśmy do USA. Następne trzy lata zajęła nam analiza wszystkich badań. Efektem stały się 24 prace naukowe opublikowane w znanych na całym świecie, renomowanych, specjalistycznych czasopismach naukowych. Każdy artykuł dotyczył konkretnego wycinka badań i charakteryzował się wysokim stopniem specjalizacji, np. w dziedzinie hematologii, spektrografii, chemii czy fizyki, a wnioski w nich zawarte dotyczyły konkretnej dziedziny. Konkluzja badań zawarta została w ogłoszonym przez nas komunikacie z 1981 r. Nie byliśmy w stanie udzielić odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób powstał wizerunek na Całunie. Byliśmy w stanie jedynie stwierdzić, czym nie jest ten obraz. Nie jest malowidłem, nie jest fotografią, nie jest obrazem wypalonym na tkaninie. Nie byliśmy natomiast w stanie określić mechanizmu, który spowodowałby powstanie obrazu o takich samych właściwościach fizycznych i chemicznych".

Wszyscy amerykańscy naukowcy należący do STURP stanowczo wykluczyli możliwość średniowiecznego fałszerstwa. Tym większym szokiem stała się dla nich ogłoszona w 1988 r. informacja o wynikach datacji węglem C-14. Rezultaty okazały się druzgocące także dla innych badaczy. Jeden z najbardziej zasłużonych popularyzatorów turyńskiej relikwii, Brytyjczyk Ian Wilson, wspominał: „To oświadczenie pozbawiło wartości całość moich studiów nad historią Całunu, nad którymi wówczas pracowałem od ponad 20 lat. Przeczyło ono także sporej ilości dowodów medycznych i innych, które w równym stopniu wywarły na mnie wrażenie. Całun po prostu nie mógł w żaden sposób być prawdziwym całunem historycznego Jezusa. Gdyż, jak stwierdzili jednogłośnie ci na podium, takie prawdopodobieństwo było teraz »astronomicznie« niewielkie".

Spośród członków STURP najbardziej zawiedziony był Ray Rogers – termochemik pracujący dla Laboratorium Narodowego Los Alamos (tam, gdzie wyprodukowano pierwszą na świecie bombę atomową). Był on zdeklarowanym ateistą i w 1978 r. wyjeżdżał do Turynu z przekonaniem, że szybko zdemaskuje relikwię jako falsyfikat. Po badaniach dokonanych na miejscu zmienił zdanie. Zagadka Całunu fascynowała go coraz bardziej. Zaczynał coraz więcej rozmyślać o chrześcijaństwie.

Kiedy jednak w 1988 r. trzy laboratoria ogłosiły wyniki swych badań, nie ukrywał złości na samego siebie. Był wściekły, że dał się nabrać jakiemuś średniowiecznemu fałszerzowi. Od tej



Włoscy naukowcy z Narodowej Agencji ds. Nowych Technologii, Energii i Środowiska (ENEA) w swym laboratorium we Frascati

eprasa.pl 17e0412b07

pory postanowił nigdy nie wracać do Całunu.

Także dla większości świata naukowego sprawa turyńskiej relikwii wydawała się raz na zawsze rozstrzygnięta. A jednak wszystko zmieniło się za sprawą pewnej dociekliwej amerykańskiej pielęgniarki.

UPÓR I NAWRÓCENIE

Sue Benford od lat zafascynowana była Całunem Turyńskim. Śledziła pilnie wszystkie publikacje naukowe na ten temat, gromadząc bogaty materiał fotograficzny i faktograficzny. Pewnego dnia na jednym ze specjalistycznych zdjęć zwróciła uwagę na różnicę w odcieniu płótna w jego środkowej części i na brzegach.

Przypomniała sobie, że w nocy z 3 na 4 grudnia 1532 r. w kaplicy w Chambéry, gdzie przechowywany był wówczas Całun, doszło do pożaru, który omal nie zniszczył relikwii. Znajdowała się ona, złożona na 48 warstw, wewnątrz skrzyni z litego srebra. Wysoka temperatura spowodowała, że kilka kropel rozżarzonego metalu wpadło do środka, powodując zwęglenie jednego z rogów oraz opalenie boku złożenia tkaniny.

Relikwia uratowana została przez czterech mężczyzn, którzy rzucili się w ogień, wiadrami wody schłodzili skrzynię i wyciągnęli ją na zewnątrz. Między 16 kwietnia a 2 maja 1534 r. Całun został poddany renowacji w klasztorze klarysek w Chambéry. Siostry dokonały naprawy tych części tkaniny, które zniszczyło płynne srebro.


Prof. Paolo di Lazzaro, szef zespołu naukowców z ENEA

Sue Benford doszła do wniosku, że próbka pobrana do datacji w 1988 r. mogła pochodzić nie z oryginalnej lnianej tkaniny, lecz z późniejszego naszycia dokonanego przez zakonnice. Dotarła do naukowców z ekipy STURP, którzy uznali jednak, że to niemożliwe, ponieważ Całun stanowił jedną integralną całość bez żadnych łat.

Mimo to pielęgniarka nie dawała za wygraną. Zaczęła studiować materiały dotyczące średniowiecznych technik renowacji tkanin. Wówczas natknęła się na informacje o tzw. cerze francuskim. Była to zapomniana dziś metoda cerowania polegająca na wypruwaniu zniszczonych nici z płótna i wplataniu na ich miejsce nowych, pofarbowanych w taki sposób, by nie odróżniały się od tła. W późniejszych czasach ten rodzaj naprawy zarzucono, ponieważ był on niezwykle pracochłonny.

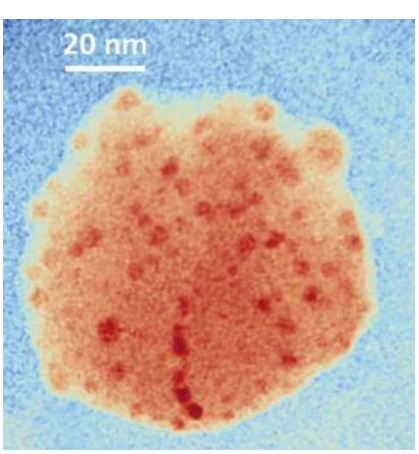
Sue Benford doszła do wniosku, że tej właśnie techniki mogły użyć klaryski z Chambéry. Pojechała więc do Raya Rogersa, by osobiście przekonać go do ponownych badań Całunu. Naukowiec odmówił, ale ona nie ustępowała. Zniecierpliwiony jej natręctwem zadzwonił do Barriego Schwortza, by zapytać, co ma robić z namolną pielęgniarką. Usłyszał, by dla świętego spokoju ulec kobiecie i udowodnić jej, że się myli.

W 2002 r. Rogers przeprowadził analizę opartą na tych samych odciętych fragmentach Całunu, z których pobrano próbki do datacji węglem C-14. Jakież było jego zdumienie, gdy odkrył, że obok lnianych nici znajdują się tam również bawełniane. Na dodatek okazało się, że te ostatnie zabarwione są na żółto, podczas gdy – jak wiadomo – oryginalne płótno nigdy nie było farbowane. Przypuszczenia Sue Benford potwierdziły się: wyniki uzyskane przez laboratoria w Zurychu, Tuscon i Oksfordzie nie mogły być wiarygodne, ponieważ pobrano z tkaniny niereprezentatywną próbkę. Teza o średniowiecznym fałszerstwie została więc obalona.

Ray Rogers był wówczas ciężko chory na raka. Pod wpływem swego odkrycia nawrócił się. Ostatnie lata życia poświęcił propagowaniu wiedzy, że Całun jest autentycznym płótnem pogrzebowym Jezusa. Zmarł w 2005 r. w wieku 78 lat.

WYNALAZEK Z PRZYSZŁOŚCI

Myliłby się ten, kto by przypuszczał, że badania nad Całunem Turyńskim ustały. Wraz z rozwojem nauki i techniki pojawiają się bowiem nowe metody badawcze, niedostępne dla specjalistów w minionych dziesięcioleciach. Są one wykorzystywane również do analizowania fenomenu najbardziej niezwykłej relikwii w dziejach chrześcijaństwa.



Kreatynina odkryta na Całunie Turyńskim

eprasa.pl 17e0412b07

Zbierając z Januszem Rosikoniem materiały do nowego wydania naszej książki „Świadkowie Tajemnicy”, natknęliśmy się na włoskich naukowców z Narodowej Agencji ds. Nowych Technologii, Energii i Środowiska (ENEA), na czele z prof. Paolo di Lazzaro. Po pięciu latach doświadczeń doszli oni do wniosku, że żadna znana technika sprzed XXI w. nie pozwoliłaby stworzyć takiego obrazu, jaki widnieje na Całunie Turyńskim. Głębokość zabarwienia tkaniny wynosi bowiem ok. 200 nanometrów, czyli odpowiada grubości ściany komórkowej pojedynczego włókna materiału. Już wcześniej Ray Rogers zauważył, że głębokość penetracji barw na wizerunku była krótsza niż widzialna długość fali światła (a więc mniej niż 0,4 mikrometra). Z tego powodu inny badacz Całunu, chemik Alan Adler, nazwał przebarwienie na turyńskiej tkaninie „powłoką duchem”.

Zdaniem włoskich badaczy tak płytkiego, mikroskopijnego, powierzchniowego efektu nie da się osiągnąć żadnymi znanymi technikami malarskimi. Można go jedynie uzyskać przez poddanie materiału promieniowaniu ultrafioletowym laserem ekscymerowym. Postanowiono wobec tego sprawdzić, jak duża energia musiała zostać użyta do powstania wizerunku.

W 2016 r. fizycy z ENEA opublikowali wyniki swego eksperymentu. Do badań użyli najbardziej energetycznego lasera marki Hercules, jaki posiadali, wysyłając impulsy laserowe o energii 5 dżuli w ciągu 120 nanosekund przy długości fali UV 0,308 mikrometra. Przez cztery miesiące bombardowali lniane tkaniny promieniowaniem ultrafioletowym, by uzyskać efekt zbliżony do tego, jaki widoczny jest na Całunie Turyńskim. Pierwsze widoczne rezultaty uzyskali, gdy zmniejszyli czas naświetlania do 30 nanosekund – chodzi o czas 2 mln razy krótszy niż mgnienie oka (pamiętajmy, że 1 nanosekunda to jedna miliardowa część sekundy). Dopiero wtedy zaobserwowano pierwszą koloryzację płótna, choć jeszcze niezadowalającą. Uzyskane zabarwienie było bowiem jasnobrązowe i powierzchniowe na poziomie nici, podczas gdy na relikwii turyńskiej jest ono żółte, i to na poziomie włókna (na jedną nić składa się zaś ok. 200 włókien).

By osiągnąć lepszy efekt, naukowcy użyli innego lasera ekscymerowego ArF, emitującego krótszą długość fali (0,171 mikrometra) w krótszym czasie (12 nanosekund). Dopiero wówczas uzyskali efekt zbliżony do tego, jaki widoczny jest na Całunie. Problem polega jednak na tym, że rezultat ich pracy był ograniczony jedynie do pojedynczych nici, w które uderzyła wiązka światła z lasera. Na Całunie Turyńskim natomiast analogiczne przebarwienie dotyczyło olbrzymiej powierzchni płótna, obejmującej postać ukrzyżowanego mężczyzny naturalnej wielkości. Wizerunek musiał więc powstać na skutek wyzwolenia się w ciele gigantycznej energii w niewyobrażalnie krótkim czasie. Tak potężnego lasera, który wywołałby analogiczny efekt, jeszcze nie wynaleziono. Uzyskanie takiego obrazu przekracza możliwości techniczne ludzkości w XXI stuleciu.

NIE LUDZKĄ RĘKĄ

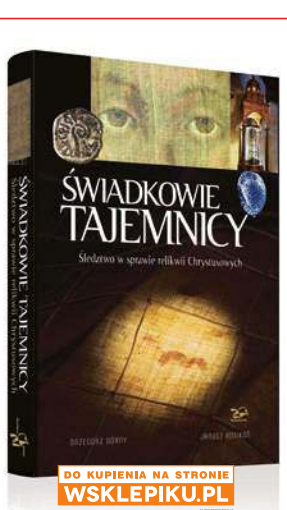
Najnowsze badania Całunu Turyńskiego przeprowadziła w 2017 r. grupa włoskich naukowców, wykorzystując opracowaną przez siebie metodę atomowej transmisyjnej mikroskopii elektronowej. W zespole znaleźli się: Elvio Carlino z Centrum Mikroskopii Elektronowej w Trieście, Liberato De Caro i Cinzia Giannini z Instytutu Krystalografii w Bari oraz Giulio Fanti z Uniwersytetu w Padwie. Jako próbka badawcza posłużyła im pobrana w 1978 r. lniana nić, którą poddano działaniu nowej technologii, by poznać strukturę najdrobniejszych cząsteczek zawartych w materiale. Wykorzystano przy tym elektronowy mikroskop transmisyjny oraz technikę szerokokątnego rozpraszania promieni rentgenowskich.



Barrie Schwortz i Ray Rogers – amerykańscy naukowcy z zespołu STURP

Na włóknie z Całunu naukowcy odkryli obecność drobin kreatyniny (o mikroskopowej wielkości 20–100 nanometrów) połączonej z jeszcze mniejszymi (liczącymi zaledwie 2–6 nanometrów) drobinkami tlenku żelaza. Kreatynina to związek chemiczny, który występuje w krwi i moczu człowieka jako wynik metabolizmu. Jej powiązanie z tlenkiem żelaza zachodzi w organizmie ludzkim w przypadku długotrwałego, intensywnego cierpienia, np. na skutek kaźni czy torturowania. Zaobserwowane nanocząsteczki są zbyt małe, by mogły posłużyć jako barwniki malarskie. Trudno też wyobrazić sobie malarza, który stworzyłby obraz, używając surowicy krwi torturowanego skazańca.

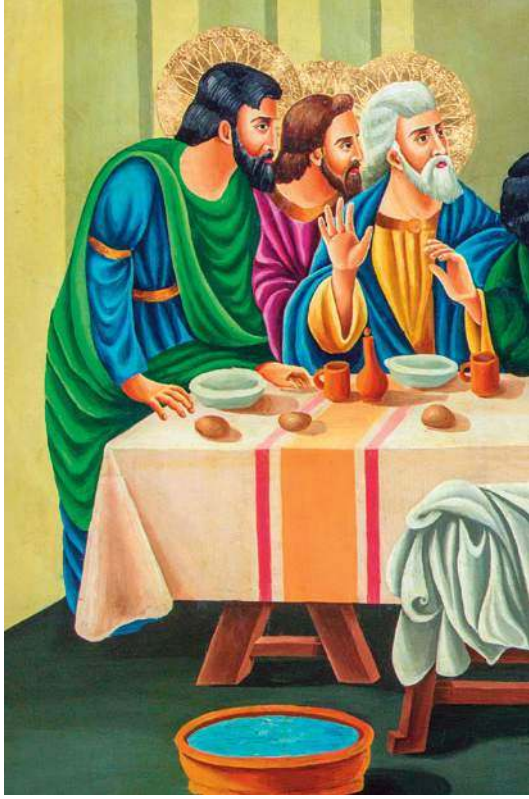
Oba odkrycia włoskich badaczy stanowią dowód na to, że podobizna mężczyzny na płótnie nie mogła być dziełem artysty. Korespondują natomiast idealnie z dostępną nam wiedzą biblijną, historyczną i archeologiczną na temat ukrzyżowania Jezusa. Tak więc współczesna nauka – dzięki zastosowaniu najnowszych zdobyczy technologii – dochodzi dziś do tego samego wniosku, co starochrześcijańska tradycja: wizerunek na Całunie Turyńskim śmiało nazwać można „acheiropoietos”, czyli „nie ludzką ręką uczyniony”.



Wykorzystane zdjęcia pochodzą z książki Grzegorza Górnego i Janusza Rosikonia „Świadkowie Tajemnicy. Śledztwo w sprawie relikwii Chrystusowych”, wyd. Rosikon-Press

eprasa.pl 17e0412b07

Trzy dni, które zmieniły historię świata



Te trzy dni całkowicie zmieniły świat. Jego historię. I losy człowieka. Odtąd nic już nie było takie samo



MILENA KINDZIUK

Jerozolima to jedyny zakątek na świecie, w którym tak wiele jest śladów Jezusa. To właśnie tutaj dwa tysiące lat temu rozegrały się wydarzenia od Wielkiego Czwartku wieczorem do niedzielnego poranka.

PRZEZ DOLINĘ CEDRONU

Tajemnicza dziś budowla na Syjonie, w której znajduje się grobowiec króla Dawida, ma na piętrze przestronne pomieszczenie o kamiennych ścianach z portykami, upamiętniające miejsce Ostatniej Wieczerzy. To tam przed prawie dwoma tysiącami lat, przed świętem Paschy, gromadzą się: Jezus z Nazaretu i dwunastu apostołów.

Wszyscy siadają najprawdopodobniej na podłodze, a nie przy stole, jak często przedstawia to ikonografia, by spożyć paschalną ucztę: przaśny chleb, jarzyny, pieczonego baranka. Uczniowie zaczynają się sprzeczać, kto ma zająć miejsce najbliżej Jezusa, ale szybko milkną. Bo Jezus przystępuje do rytualnego umycia im nóg – mimo sprzeciwu zakłopotanego Piotra.

Na wieczerzy jest obecny też Judasz, który siedzi po prawej stronie Jezusa, tuż za „umiłowanym uczniem" – Janem. Obmyśla szczegóły zdrady, której za chwilę dokona. Jezus, jak przyjaciel, podaje mu podczas posiłku kawałek chleba, a ten przełyka go pośpiesznie i nie zmienia wcale swego zamiaru. Nagle wstaje i opuszcza Wieczernik, by udać się do członków Sanhedrynu, którzy za zdradę nauczyciela z Nazaretu obiecali mu 30 srebrnych monet.

Tymczasem Jezus podczas Ostatniej Wieczerzy łamie chleb, podaje go uczniom, a następnie wypowiada znane dziś słowa: „To czyńcie na moją pamiątkę". To samo mówi, unosząc kielich z winem, ustanawiając w ten sposób sakramenty eucharystii i kapłaństwa. Uczta paschalna dobiega końca. Trwają ostatnie rozmowy, jeszcze Piotr szczerze się zarzeka, iż nigdy nie zaprze się Jezusa, po czym wszyscy opuszczają Syjon i stopniami w dół udają się nad potok w dolinie Cedronu, zwaną też w Biblii doliną Jozafata. To tędy, po wąskich, krętych ścieżkach, wśród skał, zieleni i drzew oliwnych wędruje Jezus z apostołami z Wieczernika na Górę Oliwną. Tak dobrze znana jest im ta droga, ta sama zresztą, która istnieje w Jerozolimie do dziś, nawet z tymi samymi grotami, w których nocował Jezus z uczniami, gdy chodził po mieście i nauczał. Obecnie znajduje się tu jedyne novum – cmentarz żydowski z kamieniami na grobach zmarłych kładzionymi na znak pamięci. Żydzi w Izraelu chętnie wykupują w tym miejscu groby, wierzą bowiem, że w dolinie Cedronu rozpocznie się Sąd Ostateczny.

TE SAME DRZEWA W OGRODZIE OLIWNYM

Późnym wieczorem apostołowie z Jezusem docierają do Ogrodu Oliwnego. To miejsce także nie jest im obce, lubili się tu zatrzymywać podczas swoich wędrówek z Jerozolimy do Betanii (ogród należał być może do Marka – jednego z uczniów). Nieraz spali tu nawet pod gołym niebem (Jezus po opuszczeniu domu w Nazarecie nie miał swego domu). Dziś jest to ten sam gaj oliwny, tyle że ogrodzony żelaznym parkanem, który pamięta czasy Jezusa. Nawet pozostało – pamiętających zapewne jeszcze tamte czasy – osiem potężnych, rozłożystych

eprasa.pl 17e0412b07



Ostania Wieczerza – obraz w kościele Grobu Maryi w Jerozolimie

Fot. Shutterstock

drzew oliwnych, niemych świadków wydarzeń Wielkiego Czwartku. Długość życia tych drzew to wprawdzie kilkaset lat, ale ich korzenie są dużo starsze i – jak się przypuszcza – mogą pamiętać czasy apostolskie. Przetrwały też skały, na których siedzieli w ogrodzie uczniowie z Jezusem. Na jednej z nich zbudowany został później kościół konania – obecnie Świątynia Narodów o niesamowitym nastrojowym wnętrzu.

Jest noc, dochodzi północ, w żydowskich domach kończą się sederowe uczty. Wokoło cisza. W Ogrodzie Oliwnym uczniowie zasypiają, a Jezus oddala się od nich kilka metrów, opiera się o skałę i zaczyna się modlić. To wtedy wypowiada dramatyczne słowa: „Ojcze, jeśli możliwe, oddal ode mnie ten kielich...". Jako człowiek, tak zwyczajnie, po ludzku, boi się cierpienia, które ma nadejść. Szuka wsparcia u przyjaciół – u apostołów. Ale na próżno. Nawet pytanie: „Szymonie, śpisz?", spotyka się tylko z głuchym milczeniem. Jezus trwa więc dalej na modlitwie. Sam.

Mija północ. Słychać gwar. Nadchodzi tłum, jak mówi Ewangelia, „z mieczami i kijami", a wraz z nim Judasz Iskariota. Dobrze znał to miejsce, wiele razy bywał tu przecież z Jezusem i mógł przypuszczać, że najpewniej tutaj uda się On po Ostatniej Wieczerzy na odpoczynek. Wszystko przebiega zgodnie z ustaleniami. Gdy widzi modlącego się Jezusa, podchodzi do Niego i słyszy pytanie: „Przyjacielu, po coś przyszedł?". Nie odpowiada, tylko całuje Jezusa w policzek, dając w ten sposób uzbrojonym żołnierzom znak, że mają Go aresztować. Po chwili Jezus zostaje pojmany, skuty kajdanami, łańcuchami i jak zbrodniarz wyprowadzony z Ogrójca. Apostołowie się budzą. Są przestraszeni. Nie idą za swoim Mistrzem. Nie idzie nawet jeden z nich. Czy bali się podzielić los Jezusa?



Ogród Oliwny

Fot. Milena Kindziuk

PRZED PIŁATEM W TWIERDZY ANTONIA

Jest już sporo po północy. Rozpoczął się Wielki Piątek. Świątynni strażnicy prowadzą Nazarejczyka do pałacu żydowskiego arcykapłana – seniora Annasza. Stawiają Go przed sądem. Annasz zadaje kilka pytań, bije więźnia po twarzy, po czym odsyła Go do aktualnego arcykapłana, Kajfasza. Tam, już nad ranem, zbierają się członkowie Sanhedrynu. Są też fałszywi świadkowie, którzy mieli złożyć zeznania potwierdzające winę Jezusa. Przytaczają Jego słowa, że „jest Synem Bożym". A więc jednak: uważa się za Mesjasza Izraela. Jako bluźnierca zasługuje zatem na wyrok śmierci. Zgodnie z prawem nie może on być jednak wykonany bez zatwierdzenia przez władzę cesarską, dlatego żołnierze prowadzą skazanego do centrum Jerozolimy, do siedziby prokuratora rzymskiego, którym jest Poncjusz Piłat. Po drodze znieważają Jezusa, policzkują i plują Mu

eprasa.pl 17e0412b07



Dolina Cedronu w Jerozolimie

Fot. Milena Kindziuk

w twarz, zasłaniają oczy, a potem mocno biją kijami po plecach, żądając – dla zabawy – by zgadywał, który z nich Go uderzył. A On stoi zbity. Przykurczony. Wije się z bólu.

Opuścili już go niemal wszyscy Apostołowie. Niektórzy uciekli od razu, zaraz po Jego aresztowaniu. Piotr dotarł aż na dziedziniec Kajfasza. Gdy jednak ktoś z tłumu zapytał go, czy przypadkiem nie zna tego skazańca i czy nie był z nim w Ogrodzie Oliwnym, ten zapiera się, że Go nigdy nie widział. W tym momencie, jak mówi Biblia, „kogut zapiał", a Piotr „gorzko zapłakał". A tak niedawno obiecywał Jezusowi, że nigdy Go nie zdradzi... Swoją tragedię przeżywa też Judasz. Czy nie spodziewał się, że zdrada będzie mieć aż tak drastyczne konsekwencje? Udaje się bowiem do arcykapłanów i chce im oddać srebrniki. „Zgrzeszyłem, wydając krew sprawiedliwego" – mówi. Ale słyszy jedną tylko odpowiedź: „To twoja rzecz!". A to oznacza, że nie da się odwrócić biegu zdarzeń. Jest już za późno. Judaszowi trudno to znieść. Biegnie do pobliskiej świątyni i tam rozrzuca srebrniki. Targany wyrzutami sumienia, nie przyjmuje nauki Jezusa o przebaczeniu i miłosierdziu, mimo że tak wiele razy ją słyszał i jeszcze tej samej nocy odbiera sobie życie, wieszając się na drzewie figowym.

Piątkowy poranek, dzień się już rozwidnił. Strażnicy doprowadzają Jezusa na teren jerozolimskiej twierdzy Antonia (dziś w jej ruinach jest m.in. szkoła muzułmańska), do pretorium, gdzie rezyduje Piłat. Rozpoczyna się kolejny, rzymski etap procesu Jezusa.

Na obszernym dziedzińcu z portykami zjawia się Piłat. Patrzy na pobitego więźnia i pyta Żydów, jaka jest jego wina. W odpowiedzi słyszy, że to złoczyńca, który zasługuje na karę śmierci. Oskarżyciele dostarczają dowodów: że podburza naród, uważa się za króla, podważa właściwą władzę cesarską. A więc to oskarżenie natury politycznej. Jezus jest przedstawiany jako samozwańczy władca, który spiskuje przeciwko rzymskiemu cesarzowi.

Jaka jest reakcja Piłata? Jak się okazuje, ma wątpliwości. I postanawia sam przesłuchać oskarżonego.

„Czy jesteś królem żydowskim?" – pyta Jezusa.

„Królestwo moje nie jest z tego świata" – słyszy w odpowiedzi.

Jezus dodaje po chwili: „Jam się na to narodził, by dać świadectwo prawdzie". Wtedy Piłat zadaje słynne pytanie: „Cóż to jest prawda?". Nie czeka na odpowiedź, przekonany, że oskarżony jest niewinny, wychodzi do zebranego rozkrzyczanego tłumu. Dostrzega, że jego nienawiść wobec Jezusa wynika z racji Jego przekonań religijnych, nie politycznych. „Ja żadnej winy w Nim nie znajduję" – rzuca pośpiesznie.

Właściwie na tym proces Jezusa mógł się zakończyć. Ale wzburzenie członków Sanhedrynu narasta. Piłat jeszcze może Go uwolnić, ale wpada na pomysł odesłania skazanego do władcy Galilei Heroda Antypasa, by ten podjął ostatecznie decyzję o wyroku.

Jezus staje więc przed Herodem, ale nie chce zeznawać. Herod Antypas kpi z niego i, chcąc upokorzyć, nakazuje, by założyć na niego szatę królewską, po czym odsyła Go z powrotem do Piłata.

I teraz ma się rozegrać cały dramat. Piłat nadal nie znajduje winy Jezusa. Ale widząc wzburzenie ludu, postanawia się odwołać do jego woli. Istniał bowiem zwyczaj, że w czasie święta Paschy prokurator rzymski mógł uwolnić jednego więźnia, jeśli zgodzi się na to lud. A że w więzieniu na wyrok czekał akurat morderca i złodziej o imieniu Barabasz, Piłat postawił publicznie pytanie: „Którego chcecie, abym wam wypuścił? Barabasza czy Jezusa?".

Na placu zapadła cisza. Po chwili przerwały ją okrzyki: „Barabasza!". „Cóż więc mam uczynić z Jezusem? – zapytał Piłat. – Ukrzyżuj Go! Ukrzyżuj!" – odpowiedział tłum.

Wtedy Piłat każe przynieść misę z wodą i w symbolicznym geście pozbycia się odpowiedzialności, umywa ręce. Jego gest dopełniają słowa: „Nie jestem winien krwi tego sprawiedliwego. Wasza to rzecz!". Następnie, zgodnie z pra-



Wieczernik

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 17e0412b07


Litostrotos w Jerozolimie

Fot. Milena Kindziuk


Golgota

Fot. Shutterstock

wem rzymskim, najpierw skazuje Jezusa na biczowanie. Kolejnym etapem ma być przybicie do krzyża.

Tak więc w twierdzy Antonia rozpoczyna się droga krzyżowa Jezusa. Obecnie, w tym miejscu, w samym centrum Jerozolimy, wśród muzułmańskich straganów i żydowskich oraz chrześcijańskich sklepików znajduje się pierwsza i druga jej stacja.

PRAWDZIWIE KRZYŻOWA DROGA

Męki Jezusa nie da się opisać. Bo jak przelać na papier wbijanie gwoździ w ręce człowieka? Albo uderzanie ciała zaostrzonym biczem? Biczowanie i ukrzyżowanie Chrystusa mogło wyglądać inaczej, łagodniej. Ale nie wyglądało. Bo to była prawdziwa krzyżowa droga.

Jest piątek. Dziedziniec rzymskiej twierdzy, gdzie rezydował prokurator Piłat. Zbliża się południe. Tłum gęstnieje. Żołnierze przywiązują Jezusa do słupa. Krępują ręce. I zaczynają bić. Smagają specjalnymi biczami zakończonymi ostrym metalem. Uderzają mocno. Raz po razie. Po plecach, twarzy, po karku. Z Jezusa leje się krew. Tłum krzyczy. Żołnierze biją Go po rękach i nogach, które pokrywają się sińcami, potem pręgami, w końcu opuchłymi guzami. Mięśnie zaczynają pękać. Krew toczy się strumieniami. Jezus momentami traci przytomność. Widowisko trwa w najlepsze. Kolejny etap to nałożenie na głowę wieńca z cierni. Spod nich też szybko cieknie krew. Żołnierze plują skazańcowi w twarz i, bijąc trzciną, szydzą: „Bądź pozdrowiony, królu żydowski!". Po biczowaniu tak umęczonego, ledwie trzymającego się na nogach Jezusa w „koronie cierniowej i szkarłatnej szacie" żołnierze znów prowadzą do Piłata. Ten zaś woła: „Oto człowiek!". I powtarza raz jeszcze: „...nie znajduję w nim żadnej winy!". Ale wyrok już zapadł. Rzymski prokurator wydaje Jezusa na śmierć krzyżową.

Teraz więc Jezus z poprzeczną belką krzyża na ramionach jest prowadzony za mury miasta, na skalne wzgórze zwane po hebrajsku Golgotą, a po łacinie Kalwarią. Tam ma być wykonany wyrok. Za Jezusem idą dwaj zbrodniarze, którzy też mają zostać ukrzyżowani.

Droga krzyżowa długości jednego kilometra wiedzie z Antonii zatłoczonymi ulicami starej Jerozolimy, co dzisiaj można dokładnie odtworzyć. Są stacje, przy których Jezus trzy razy upada. Jest miejsce upamiętniające spotkanie z Szymonem z Cyreny, który pomaga nieść krzyż. I stacja, przy której Weronika ociera Mu chustą pokrwawioną i spoconą twarz. Wreszcie miejsce, gdzie Jezus spotyka swą zbolałą Matkę.

Około południa krwawy orszak dociera na Golgotę. Tam żołnierze rozbierają Jezusa z szat. Wbijają w ziemię pionowy wysoki pal. A przyniesioną przez Jezusa belkę poprzeczną kładą na ziemi, na niej zaś zbolałego Jezusa. Mocują do niej rozkrzyżowane ramiona i przybijają dłonie. Wbijając gwoździe jeden po drugim. Następnie na pół ukrzyżowanego unoszą w górę na pal. I przybijają jeszcze gwoździami nogi Jezusa. W ten sposób zawisł On na krzyżu z wbitą tabliczką z napisem podyktowanym przez Piłata: „Jezus Nazareński Król Żydowski". Ma tam czekać na śmierć. Z głodu, pragnienia, z powodu upływu krwi. Po bokach Jezusa stoją krzyże dwóch łotrów. Jeden z nich prosi: „Panie, wspomnij na mnie, gdy przybędziesz do Królestwa Niebieskiego". „Jeszcze dziś będziesz ze mną w raju" – mówi Jezus.

POWSTANIE ZE ŚWIATA MARTWYCH

Pod krzyżem stoją: Matka Jezusa, jej kuzynka Maria, Maria Magdalena oraz Jan, umiłowany uczeń. Ale nie mogą Mu pomóc, gdyż krzyża cały czas pilnują żołnierze. Oni też wkładają mu w usta gąbkę nasączoną octem, gdy prosi o picie. Około godziny trzeciej Jezus woła: „Ojcze, w Twoje ręce oddaję ducha mego" i po tych słowach umiera. By sprawdzić, czy na pewno – żołnierze włócznią przebijają poraniony bok Jezusa. Gdy wypływa z niego woda i krew, nie ma już wątpliwości, że umarł.

Jeszcze przed zachodem słońca odbywa się pogrzeb Jezusa. Organizuje go Józef z Arymatei, który poprosił Piłata o wydanie zgody na pochowanie. To on zdejmuje umęczone ciało z krzyża i kładzie na ręce Jego Matki. Pomaga mu w tym Nikodem, który namaszcza ciało olejkiem i owija je płótnem. Obaj niosą Jezusa do pobliskiego grobowca, który Józef wykupił wprawdzie dla siebie, a teraz odstąpił swemu Mistrzowi. Tam składają ciało Jezusa. Zamykają grób, zataczając u wyjścia duży, okrągły kamień.

Sobota jest dniem radości dla członków Sanhedrynu i dla Rzymian. Galilejczyk umarł. A wraz z Nim Jego nauka. Uczniowie zaś, jak powszechnie się spodziewano, z pewnością teraz zapomną o żydowskim nauczycielu z Nazaretu i wszystko wróci do dawnego porządku.

Tymczasem, gdy w niedzielny poranek Maria Magdalena i Maria przyszły do grobu, by powtórnie namaścić ciało, zobaczyły, że jest on pusty.

* * *

Od niedzielnego poranka sprzed dwóch tysięcy lat, nic już nie było takie samo.

Jezus powstał ze świata martwych. Jako jedyny człowiek w dziejach ludzkości. Prawdziwie zmartwychwstał.

I zmienił bieg dziejów. I oblicze ziemi. Tej ziemi.

eprasa.pl 17e0412b07



Ciała zmartwychwstanie

Słabość wiary we własne zmartwychwstanie sprawia, że nasza Wielkanoc wygląda na jakieś święto wielkiego nieporozumienia

Pan hrabia słyszy gwar
i widzi błysk w tej dobie
trzynaście budzi mar
swych synów w rodzinnym grobie

I obu żonom z odległości
przez szacunku skłonił się wzgląd
i wszyscy pełni ufności
wstają na wieczny sąd

(fragment „Zmartwychwstania”
R.M. Rilkego, tłum. W. Hulewicz)



JAN ROKITA

W gruncie rzeczy słabo wierzymy w Zmartwychwstanie. To przecież zupełnie inna i o wiele bardziej niepojęta historia niźli wzruszające i przepojone liryzmem Boże Narodzenie, pozwalające nam ufać, że narodzone niegdyś w Betlejem Dziecko nie było li tylko zwyczajnym człowiekiem. Cud narodzin jest nam w końcu dobrze znany, a narodzenie się dziecka jest niemal dla każdego jedną z najbardziej pamiętnych chwil całego życia. Wielkanoc jest w naszej wyobraźni zdominowana raczej przez historię krzywdy, cierpienia i śmierci Jezusa, gdyż te wszystkie straszne rzeczy (podobnie jak narodziny) również są nam dobrze znane z życiowego doświadczenia. W takiej percepcji Wielkanocy umacnia nas także wielkotygodniowa liturgia – piękna, starodawna i uroczysta – skoncentrowana jednak na tych wszystkich okropieństwach, jakich doświadczył Jezus przed śmiercią, na samej Jego śmierci i złożeniu do grobu. Tak samo zresztą rzecz ma się z chrześcijańską ikonografią. Niezliczone obrazy męki Jezusa i złożenia do grobu są tak powszechne, że niemal każdy ma jakiś z nich przed oczami, choćby ze stacji Męki Pańskiej w którymś z pobliskich kościołów. Całkiem inaczej jest ze Zmartwychwstaniem. Obrazy w kościołach są rzadkie, a jeśli już są – to mało przekonujące, banalne zaś zazwyczaj figurki Zmartwychwstałego, niesione w rezurekcyjnej procesji wyróżnia tylko Jego podniesiona ręka i chorągiewka. Ale i w całej europejskiej

eprasa.pl 17e0412b07



„Zmartwychwstanie ciała”, fresk z serii „Sąd Ostateczny” Luki Signorellego w katedrze we włoskim Orvieto

sztuce na palcach można zliczyć obrazy Zmartwychwstania Chrystusa zdolne jakoś przemówić do naszej wyobraźni. Zwiastujący początki renesansu genialny fresk Piera della Francesca z Sansepolcro w Toskanii czy odrealniony wizerunek Matthiasa Grünewalda z Ołtarza z Isenheim, należą do tych nielicznych naprawdę wartych kontemplacji i pamięci.

NAUCZANIE APOSTOŁA PAWŁA

Przeświadczenie o nieodwracalności śmierci i rozkładu ciała tkwi bardzo głęboko, choć może skrycie, w każdym z nas. I to nawet jeśli współczesna zachodnia kultura nie tylko próbuje odsunąć od nas myśl o śmierci, ale chciałaby też zniechęcić nas do czynienia w tej mierze za życia jakichkolwiek przygotowań. Wśród katolików mało kto dzisiaj modli się o „dobrą śmierć”, a nawet Kościół w liturgii coraz rzadziej wspomina tak częstą dawniej suplikację: „Od nagłej i niespodziewanej śmierci zachowaj nas...”. Nie zmienia to jednak faktu, że groza śmierci najbliższych jest (albo nieuchronnie będzie) znana niemal każdemu. Ale nikt nie widział tego, aby rozkład martwego ciała nagle cofnął się i stało się ono na powrót nie tylko ciałem żywym, lecz już nigdy więcej niepoddanym przemijaniu i śmierci. No, poza tymi nielicznymi wybranymi wiernymi, którym Jezus objawił się przed odejściem z ziemi, jak mówi tradycja – ze szczytu Góry Oliwnej. Nie wyobrażamy sobie więc tego, jak mogło wyglądać Zmartwychwstanie, tak samo jak nie potrafili sobie tego przez wieki wyobrazić ani artyści, ani teologowie, choć czynili po temu liczne próby. Ale to – rzec by można – pół biedy. Bo ci z nas, którzy uwierzyli w bosko-ludzką naturę Jezusa, gotowi są nawet w imię tej wiary zignorować kłopoty własnej wyobraźni i przyjąć Jego powstanie z martwych jako fakt cudowny i jednorazowy w dziejach świata. Tyle tylko, że takie przyjęcie to jest dopiero początek, a nie istota wiary chrześcijanina w Zmartwychwstanie.

Istotę problemu jasno i – co tu dużo mówić – dość brutalnie ujmuje apostoł Paweł. Pisząc do gminy chrześcijan w Koryncie, pyta ich: „Jeżeli więc głosi się, że Chrystus zmartwychwstał, to dlaczego twierdzą niektórzy z was, że nie ma zmartwychwstania?”. Po czym właśnie padają te niesłychanie mocne zdania: „Jeżeli umarli nie zmartwychwstają, to i Chrystus nie zmartwychwstał. A jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, daremna jest wasza wiara [...] i jesteśmy bardziej od wszystkich ludzi godni politowania” (1 Kor 15). Wiemy, że Pawła mało zajmuje historia życia Jezusa i Jego cudów, a za swoją misję uważa on kluczowe nauczanie o Zmartwychwstaniu. To znaczy nie o jakimś jednorazowym, cudownym zdarzeniu z ziemskiego życia Syna Bożego, który cierpiał wraz z ludźmi, został okrutnie zabity, a potem niczym egipski Ozyrys albo grecki Dionizos ożył i na powrót zasiadł na tronie bogów. Ale o czymś zupełnie innym, nowym, nie do pomyślenia w gruncie rzeczy nie tylko dla ludzi antyku, lecz również dla współczesnych. O czymś, co przez ludzi każdego czasu może być potraktowane jako „głupstwo i zgorszenie”. O powszechnym zmartwychwstaniu umarłych, które jest powodem, celem i sensem Zmartwychwstania Chrystusa.

Dla Pawła te dwie rzeczy są z sobą tak bezwzględnie tożsame, że podważenie jednej automatycznie czyni bezsensowną drugą. Nie tylko zatem bez tamtego Zmartwychwstania sprzed dwu tysięcy lat my, ludzie, nie mielibyśmy nadziei na wskrzeszenie i życie wieczne. Lecz – co całkiem skądinąd logiczne – tamto Zmartwychwstanie byłoby tylko jeszcze jednym z licznych podobnych, stworzonych przez człowieka mitów, jeśli nie niosłoby z sobą żelaznej obietnicy powszechnego zmartwychwstania śmiertelnych ludzi. To Pawłowi

Fot. Svetlana Chekhlova/Shutterstock.com

eprasa.pl 17e0412b07

zawdzięczamy fakt, iż możemy tak jasno uchwycić sens Zmartwychwstania Pańskiego. Jest nim nie jakieś tam bliżej nieokreślone „życie po śmierci", w które ludzie wierzyli zawsze, niemal we wszystkich kulturach, także przed Chrystusem. Ale radykalnie sprzeczne z naturalnym ludzkim przeświadczeniem, konkretne i indywidualne przywołanie do życia każdego z naszych zmurszałych w grobach ciał, po to, byśmy jako ludzie (a nie jakieś tam wietrzne duszyczki), z całym bagażem naszego życia, mogli stanąć w dniu ostatecznym przed Sądem. Przywołanie, które nie bierze się z jakiejś (jak głosił choćby Sokrates) „naturalnej" nieśmiertelności wędrującej po śmierci duszy, ale (jak pisał Joseph Ratzinger) – „wynika ze zbawczego czynu Tego, który kocha i który ma władzę, by to uczynić" („Wprowadzenie w chrześcijaństwo" s. 369).

SENS WIELKANOCY

To z tej właśnie przyczyny tak słabo wierzymy dziś w zmartwychwstanie, albo zgoła w nie nawet nie wierzymy. Prędzej chyba gotowi byśmy byli uwierzyć Sokratesowi, który na kartach platońskiego „Fedona" najpierw rysuje sławny obraz wędrówki dusz nad rzekę smutku i ich powrotu na ziemię, ale tuż przed śmiercią dochodzi jednak do wniosku, iż spierać się o to, jak to jest z nieśmiertelną duszą po śmierci „nie wypada człowiekowi, który ma rozum w głowie". A może nawet łatwiej przekonaliby nas gnostycy, odrzucający zło i więzienie wszelkiej cielesności, więc traktujący myśl o powrocie ludzi do ich własnych ciał, z których śmierć przyniosła im dopiero co wyzwolenie, niby jakąś skrajną niedorzeczność. Owa słabość wiary we własne zmartwychwstanie sprawia, że nasza Wielkanoc wygląda na jakieś święto wielkiego nieporozumienia. Święto, które owszem, jest przez nas czczone jako swego rodzaju pamiątka tego, iż przed dwoma tysiącami lat Jezus zostawił po sobie pusty grób w Jerozolimie, do którego możemy teraz odbyć pielgrzymkę. Ale już bynajmniej nie jako przypomnienie o gwarancji tego, że najpóźniej w dniu ostatecznym tak samo po każdym z nas również musi pozostać pusty grób. Inaczej niż w nauczaniu Pawła te dwie rzeczywistości nam się niemal całkowicie rozjechały. Jesteśmy jak ewangeliczni saduceusze, którzy nie wierząc w powstanie z martwych własnych ciał, sarkastycznie przepytywali Jezusa, czyją żoną będzie w takim razie po swoim zmartwychwstaniu kobieta, która miała w życiu kilku mężów. Uderzający swą prostotą wiersz Rilkego jest świadectwem odrzucenia tego rodzaju sarkazmu. Podobnie jak wyjątkowo przejmująca scena powszechnego zmartwychwstania na fresku w katedrze w Orvieto, pędzla Luki Signorellego. Wydobywające się z ziemi chwiejne postaci wkładają tam na siebie swoje ciała tak, jakby zakładały swoje gruntownie odnowione i przygotowane dla nich ubrania. To genialna artystyczna metafora, za pomocą której wielki malarz wyraża wiarę w takie zmartwychwstanie, o jakim Apostoł Paweł nauczał mieszkańców Koryntu. Wiele lat temu Zbigniew Herbert pisał, iż fresk Signorellego oddziałał nań jako dzieło sztuki nawet silniej niźli sławny sykstyński „Sąd Ostateczny" Michała Anioła.

> Spośród kazań poświęconych problematyce ostatecznej ledwie 1,1 proc. wyraża, jak wykazały badania Wojciecha Klimskiego, „ogólne przekonanie, że człowiek zmartwychwstanie"

POGAŃSKIE „ŻYCIE PO ŚMIERCI"

Te intuicje co do naszej niewiary w zmartwychwstanie potwierdzają badania socjologiczne. W sondażu CBOS z roku 2005 na pytanie o zdarzenia, jakie spotkają mnie po śmierci, ledwie 2 proc. wymieniało zmartwychwstanie, podczas gdy odpowiedzi typu „życie po śmierci" albo „życie wieczne" miały odpowiednio wyniki 39 proc. i 23 proc.

Jeszcze ciekawsze są prowadzone w latach 1998–2005 przez kilkoro socjologów (S.H. Zaręba, J. Mariański) badania młodzieży. W różnych jej grupach i w kolejnych latach wiarę, iż naszym losem jest zmartwychwstanie z duszą i ciałem, wyrażało 25–29 proc. pytanych, podczas gdy przedchrześcijańskie przekonanie o nieśmiertelności dusz cieszyło się wsparciem 34–58 proc. młodych ludzi. Te liczby mają tu dla nas jedynie znaczenie poglądowe: jakkolwiek by interpretować, to nie zostawiają wątpliwości, że dominacja (nazwijmy ją tak) „postawy pogańskiej" nad „chrześcijańską" jest oczywista. Liczby te dotyczą czasu, w którym zeświecczenie postępowało w Polsce bardzo powoli, hamowane potęgą ówczesnego autorytetu Jana Pawła II. Można bezpiecznie przyjąć dowolny zakład, iż podobne wyniki z czasu dzisiejszego, gdy autorytet Kościoła jako instytucji leży w gruzach, musiałyby być jeszcze bardziej „zdechrystianizowane".

Ani biskupi, ani księża nie pomagają nam w odzyskaniu wiary w sens Wielkanocy. Już dawno bowiem porzucili oni nauczanie na ten temat, o czym dobitnie świadczą opublikowane w ubiegłym roku w Krakowie badania Wojciecha Klimskiego. Ów socjolog przeanalizował dużą liczbę homilii wygłaszanych przy różnych okazjach liturgicznych, a zwłaszcza tzw. homilii eschatologicznych, czyli tych, które dotyczyły kwestii ostatecznych – śmierci i wieczności. Wnioski wyciągnięte przezeń robią spore wrażenie (autor zebrał je w formie 300-stronicowej książki pt. „Eschatologia na ambonie"). Spośród kazań poświęconych problematyce ostatecznej ledwie 1,1 proc. wyraża (jak pisze autor) „ogólne przekonanie, że człowiek zmartwychwstanie". „W śladowych ilościach – pisze dalej Klimski – przypomina się, że zmartwychwstanie dokona się mocą Boga (0,3 proc.), jednak zupełnie opuszcza się szczegółowe twierdzenia, wedle których moc Boga zrekonstruuje ciało i połączy duszę z ciałem. Nadto autorzy homilii pomijają rozróżnienie, że

5/0419/F

eprasa.pl 17e0412b07

Zmartwychwstanie Chrystusa jest tylko wzorem dla uwielbienia ciał sprawiedliwych" (s. 216). Co ciekawe, socjolog zauważa, iż w ani jednym badanym przez niego kazaniu nie pojawił się w ogóle termin „zmartwychwstanie ciała", mimo że znajduje się on zarówno w treści wyznania wiary, jak również jest oficjalnie propagowany w dokumentach Kongregacji Nauki Wiary.

Klimski obszernie i szczegółowo bada przyczyny takiej „ucieczki" księży od absolutnie centralnego problemu wiary chrześcijańskiej, a jego diagnoza wskazuje na masowe uleganie przez duchownych trendowi do tzw. religii naturalnej. Czyli – mówiąc nieco kolokwialnie – oportunistycznej skłonności zarówno biskupów, jak i księży do powtarzania w kazaniach obiegowych komunałów na tematy religijne. Kościelna moda nakazuje raczej walczyć na kazaniach z „ideologią gender", aniżeli nauczać wiernych o tym, co w istocie oznacza niesamowita obietnica Zmartwychwstałego Chrystusa. Podczas gdy w listach biskupów i na kazaniach co rusz możemy usłyszeć biadania nad zanikaniem naszej wiedzy o nauczaniu Jana Pawła II, warto przywołać jeszcze jedną konkluzję badań Klimskiego, która w tym kontekście zabrzmieć musi niestety jak ironia. Pisze on: „Nawet w najmniejszym stopniu homilie nie reprezentują elementarnych informacji eschatologicznych oraz metod ich interpretacji, które Urząd Nauczycielski Kościoła zawarł w katechizmie ogłoszonym przez Jana Pawła II w 1992 r." (s. 231).

WIARA W WIELKĄ OBIETNICĘ

Wielkanoc jest religijnie pusta bez wiary w odzyskanie mocą Boga mojego ciała, które wcześniej zmurszeje w grobie. Bez oczekiwania na Sąd, na którym stanę jako pełny człowiek, z duszą i ciałem, a tym samym – z całym bagażem dobra i zła uczynionego w życiu. I bez nadziei na cielesną nieśmiertelność, taką samą jak ta, którą uczniowie Jezusa oglądali po Jego Zmartwychwstaniu, a niewierny Tomasz „weryfikował", wkładając rękę w przebity bok oraz palec w dziury po gwoździach. Nikt przed Chrystusem ani nikt po Nim nie dał ani nie może dać takiej obietnicy. Jest to żelazna obietnica dana każdemu człowiekowi, a chrześcijanin różni się od owego „każdego" tym tylko, że w nią uwierzył.

Kiedy więc w noc z 20/21 kwietnia tego roku po raz kolejny uderzą dzwony na rezurekcję, a w kościołach zaśpiewamy: „Chrystus zmartwychwstan jest/ Nam na przykład dan jest/ Iż mamy zmartwychpowstać/ Z Panem Bogiem królować" – warto mieć pełną jasność, iż nie jest to tylko najstarszy znany nam utwór poetycki w języku polskim, zapisany w XIV-wiecznym „Graduale" katedry płockiej. Ale również, a raczej przede wszystkim – ubrane w staropolską formę literacką najgłębsze wyznanie wiary chrześcijańskiej naszych przodków. I nas samych.

REKLAMA



Pół minuty przytulenia do krzyża

Dobra nowina Zmartwychwstania jest taka, że wczoraj byłeś świnią, ale jutro nie musisz nią być. Możemy usłyszeć, że jesteśmy chciani, kochani, wcale nie beznadziejni. Mało? – mówi ojciec ***Roman Bielecki OP*** w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Często pytają ojca, jak przeżyć święta, by było lepiej niż wcześniej?

Roman Bielecki: Dobrze, że hasło „święta" kojarzy nam się z czasem innym niż codzienność. W wymiarze religijnym sprowadza się to do odpowiedzi na pytanie, czy chcemy, by minął on nam tylko na obiedzie, spacerze i filmie, czy jednak na czymś więcej.

I jeśli odpowiedź brzmi: „czymś więcej"?

Chodzi o zmianę podejścia. Przez wiele lat wydawało mi się, że Wielkanoc to Niedziela Zmartwychwstania i ewentualnie lany poniedziałek. Tymczasem wszystko, co najważniejsze dla liturgii, czyli tak naprawdę dla naszej wiary, dzieje się w Wielki Czwartek, w Wielki Piątek i w Wielką Sobotę. To centrum wszystkiego, co robimy potem w Kościele przez cały rok. I jeśli z tego zrezygnujemy, nie dziwmy się, że będziemy mówić – święta, święta i po świętach.



Tu zaczynają się schody: jak nie utopić tych trzech dni w rytuałach, które znamy od lat?

Dobrze przeżyta liturgia naprawdę wystarcza. Nie trzeba jej na siłę podkręcać. Ma w sobie wystarczająco dużo inspirujących elementów. Oczywiście możemy je wszystkie wykonać w godzinę i pójść do domu. Ale nie bez powodu trwają one dłużej.

Zanim jednak wejdziemy w triduum paschalne, to przy okazji Wielkiego Tygodnia niektórzy z przykrością stwierdzą, że niewiele udało się zrealizować z postanowień wielkopostnych.

To też jest jakaś odpowiedź, która pokazuje, że jest w życiu jakiś obszar, który być może traktujemy nie do końca serio. Bo z jednej strony mówimy – w moim życiu Pan Bóg jest ważny, ale z drugiej strony – okazuje się, że przez ostatnie kilka tygodni nie zrobiliśmy za wiele na potwierdzenie tej tezy. Spowiadam ludzi i nieraz słyszę historię o tym, że dla wielu osób post to najpiękniejszy czas w roku, bo widzą, że choć nie jest łatwo sobie czegoś odmówić, to nareszcie doświadczają życia w wolności.

Ojciec mówił kiedyś, że zderzył się z sobą samym za sprawą postu od... coca-coli. Brzmi kuriozalnie.

[śmiech] Po kilku dniach od Środy Popielcowej zorientowałem się, że gdybym miał taką możliwość, to wykąpałbym się w wannie wypełnionej colą. Niby prosta rzecz, a z człowieka wychodzą różne namiętności.

Przy tego rodzaju historiach okazuje się, że choć na co dzień mówimy, że jesteśmy niezależni i decydujemy o sobie, to z powodu błahostki merdamy ogonem, jak gdyby dzięki niej miały się otwierać nam bramy niebios. Kiedyś holenderski pomocnik Clarence Seedorf po

eprasa.pl 17e0412b07

jednym z przegranych piłkarskich meczów, atakowany przez dziennikarzy za brak zaangażowania, miał odpowiedzieć: „Panowie, przecież to tylko piłka nożna”. Chcieli go za to rozszarpać. A przecież to prawda, choć w praktyce się okazuje, że to „tylko” ma ogromną siłę rażenia. I zarówno Wielki Post, jak i Wielki Tydzień są po to, by się z tym zmierzyć.

Wróćmy do świąt, które zaczynamy od Wielkiego Czwartku. O ustanowieniu sakramentów Eucharystii i kapłaństwa usłyszymy nieraz...

...i dobrze, bo te wydarzenia nierozłącznie wiążą się z tym dniem. Nie zapominajmy jednak, że słuchamy tego wieczoru fragmentu Ewangelii św. Jana, w którym Jezus daje swoim uczniom nowe przykazanie: by się wzajemnie miłowali, tak jak On ich umiłował. Obrazowo wyraża się to w geście mandatum, czyli obmycia nóg. Każdy z nas ma tego wieczoru szansę uczestniczyć w nim nie tylko na zasadzie teatru.

Ale nie w każdym kościele tak się dzieje. A jak już, to często tego nie widać. A nawet jeśli widać, to dotyczy to 12 ministrantów, nie nas.

Coraz częściej są takie miejsca, gdzie proboszczowie zapraszają do tego znaku 12 przypadkowych osób, które przyszły do kościoła. I nagle się okazuje, że ich nogi nie są wcześniej wypucowane, a skarpetki wcale nie świeżo wyprane. Nie chodzi tylko o to, byśmy się przyglądali, ale byśmy w sobie przeżyli to, że Bóg klęknął z miednicą przed człowiekiem i powiedział: „Daj, bo jeśli cię nie umyję, to nie będziesz miał udziału ze mną”.

Nie za mocne słowa? Czy to tak wielka różnica, czy Chrystus umył Piotrowi te nogi, czy nie?

Muszą takie być. Bo każdy z nas ma takie nastawienie, że sam da sobie radę ze wszystkim. Jezus odwraca taką logikę, mówiąc: potrzebujesz mnie, bo sam z grzechu nie wyjdziesz. Poprzez ten gest pokazujemy Bogu naszą przestrzeń najbardziej wstydliwą, upokarzającą i taką, której w sobie nie lubimy. Chrystus obmywa nogi – to znaczy wyciąga nas z największego bagna. Gdy się to przeżyje, doświadczy we własnym „ja” miłosierdzia, to wtedy można przekazać je dalej.

Takie otwarcie na Boga wymaga dużego zaufania.

I dlatego triduum paschalne przeżywamy całe życie. Inaczej traktujemy je, gdy jesteśmy nastolatkami, inaczej gdy wchodzimy w kolejne dekady i zaczynamy zauważać, że ten obrazek obmycia nóg, dotyka także nas. Musimy wejść w tę rzeczywistość jak bezradne dziecko. Pomyślmy wtedy, jak się z tym czujemy, gdy niewiele od nas zależy.

Z takim nastawieniem wchodzimy w Wielki Piątek, w którego centrum jest krzyż i jego adoracja.

Często jestem pytany o to, jak doświadczyć Boga. Odpowiadam wtedy: przyjdź w Wielki Piątek, przytul się do krzyża – doświadczysz Go. Nie wstydź się tego. Może to odrobinę



Zdjęcia Andrzej Wiktor

proste, ale zamiast się tyle zastanawiać nad Bogiem, po prostu wykonaj ten gest. Ten krzyż jest trochę kanciasty, drewniany, niewygodny, ma gwoździe.

I co nam to powie?

Że Bóg, który objawił się w Chrystusie, nie patrzy zdystansowany na nasze życie, ale jest w nie zaangażowany na sto procent. Począwszy od tego, co piękne, a skończywszy na tym, co związane z cierpieniem.

Ktoś stwierdzi, że taki gest to emocje i tania psychologia.

W mówieniu o Bogu nie unikniemy emocji. Wiara jest także emocjonalna. Bardzo zachęcam do stworzenia sobie takiej intymnej chwili. Do zderzenia swojego niepoukładania, grzechu, słabości, znerwicowania, choroby i bezradności z rzeczywistością krzyża, który będziemy mieli przy swojej klatce piersiowej, głowie i ustach.

Ma ojciec takie doświadczenie przytulenia przez Boga?

Tak. Ja i krzyż to jest chwila jeden do jednego z Bogiem. Trwa może z pół minuty, może ciut więcej. Jeśli ktoś nie ma sił, by wystać w kolejce czasem i kilkadziesiąt minut w trakcie adoracji, niech przyjdzie później, kościoły są najczęściej otwarte do późna w nocy. To nie chodzi o to, by zaliczyć, dotknąć i wyjść. Jeśli ma to pomóc naszej wierze, to pozwólmy sobie na celebrację tego momentu.

Dużo trzeba siły, by otworzyć się na takie doświadczenie Boga?

Jesteśmy nauczeni, że musimy się porządnie zebrać w sobie, by je otrzymać. A tymczasem perspektywa jest inna: to Bóg daje nam łaskę. Nie musimy się spinać, by na nią zasłużyć. Długość wielkopiątkowej liturgii ma nam pomóc się zmęczyć, byśmy wewnętrznie odpuścili.

eprasa.pl 17e0412b07



Zmęczyć liturgią? Nie jest to przesadnie zachęcające.

Po tych kilku godzinach zmęczenia i niewygody jest szansa, że w końcu pomyślimy: „Po co ja tu właściwie jestem? Dlaczego spędziłem ten wieczór w taki sposób?". Wtedy, tak jak mówił Jezus, mamy szansę stać się jak dzieci, możemy zacząć przyjmować, a nie zasługiwać.

Zmęczeni wchodzimy w Wielką Sobotę. Dziwny dzień, pusty, jeśli nie liczyć święcenia pokarmów.

U mnie w domu w ciągu tego dnia nie oglądano telewizji ani nie słuchano radia. Myślę, że to dobra tradycja. Starożytny Kościół zachęcał tego dnia do postu, nie tyle ilościowego, jak w Wielki Piątek, ile jakościowego, w intencji katechumenów, czyli tych, którzy w noc paschalną mają przyjąć chrzest.

Dzisiaj mięso przestaje być strawą, której odmawianie sobie jest jakimś wyrzeczeniem.

To inny temat, do kościelnego przemyślenia. Ale można w tej intencji odmówić sobie czegoś innego.

Złośliwi mówią, że Wielka Sobota to jedyny dzień, w którym do kościoła przychodzą wszyscy, bo tradycja święconki jest w Polsce bardzo powszechna.

I nie trzeba się na to obrażać. Można wykorzystać tę obecność ludzi i powiedzieć dwa zdania wytłumaczenia, co my tu robimy. Mięso to przecież symbol baranka złożonego za nas w ofierze, a jajko to symbol nowego życia, które dzięki Niemu otrzymaliśmy. A nasze śniadanie wielkanocne jest nie tylko wydarzeniem budującym rodzinę, lecz w prostej linii bierze swój początek w tradycji obchodów żydowskiej Paschy, a to może budować naszą wiarę.

Cieszą ojca kolejki do spowiedzi?

To czasem jedyna okazja, by przeprowadzić choćby krótką katechezę.

Nawet gdy ktoś przychodzi raz do roku?

Tak, bo można go zwymyślać, że jest beznadziejny, co go w tym przekonaniu tylko utwierdzi. Ale można też powiedzieć: „Dobrze, że tu jesteś". Nawet jeśli jedyną motywacją było to, że za moment są chrzciny albo komunia, bo tak się akurat ułożył kalendarz.

Co może zrobić ksiądz w ciągu tych trzech, czterech minut obecności grzesznika w konfesjonale?

Dobra nowina Zmartwychwstania jest taka, że wczoraj byłeś świnią, ale jutro nie musisz nią być. Wczoraj kłamałeś i wydzierałeś się na swoje dzieci, ale jutro nie musisz.

To trudne.

Zgoda, ale jeśli myślimy o zmianie swojego życia, to od tego trzeba zacząć. Dostajesz łaskę sakramentu i wracasz do świata, który się nie zmienił – teściowa dalej jest niefajna, ludzie w pracy irytujący, ale ty możesz być inny. I nawet jeśli upadniesz i zgrzeszysz, to możesz wrócić i spróbować jeszcze raz. Możemy usłyszeć, że jesteśmy chciani, kochani, wcale nie beznadziejni. Mówię to wszystko panu w trzy minuty – więc tyle samo mogą usłyszeć ludzie w czasie nawet najkrótszej spowiedzi. Mało?

Triduum kończy Wigilia Paschalna w noc z soboty na niedzielę.

Właśnie, a nie rezurekcja o godz. 6 rano! Mamy spójną liturgię, która jest tak skonstruowana, że najpierw słuchamy dziewięciu czytań opowiadających o historii zbawienia i działaniu Boga. Potem odnawiamy przyrzeczenia chrzcielne, czyli odpowiadamy na pytanie, czy ja w to wszystko wierzę, a na końcu idziemy z procesją wokół kościoła, ogłaszając, że Chrystus pokonał śmierć. Jedno wynika z drugiego. Jeśli w środku tej celebracji chowamy ni stąd, ni zowąd Jezusa do grobu, tak żeby nam to pasowało do porannej mszy, to nie dziwmy się, że wszyscy są pogubieni.

Odnowienie przyrzeczeń chrzcielnych wybrzmiewa często jak formularz do wypełnienia.

Tymczasem są to podstawowe pytania o to, czy po tym wszystkim, co usłyszeliśmy i zobaczyliśmy przez dni triduum, jesteśmy w stanie powiedzieć, że to jest moje i ja w to wierzę?

A co potem, gdy wrócimy do domu i naszej szarej codzienności?

Na przykład to, że kiedy siądziemy do śniadania wielkanocnego, to po dziesięciu minutach chcemy sobie skoczyć do gardeł. Jeśli przezwyciężymy tę agresję, to będziemy świadkami Zmartwychwstania. Albo więcej, zaprosimy do stołu siostrę czy brata, z którymi nie rozmawialiśmy kilka lat, przełamując niechęć i zacięcie. To przecież Ewangelia w czystej postaci. Czego chcieć więcej?

Roman Bielecki – ur. 1977, dominikanin, absolwent prawa KUL oraz teologii PAT, od 2010 r. redaktor naczelny miesięcznika „W Drodze". Wraz z Katarzyną Kolską autor m.in. wywiadu rzeki: „Po co światu mnich" rozmowy z Michałem Ziołą, jedynym polskim trapistą. Mieszka w Poznaniu

16/0419/F

eprasa.pl 17e0412b07

Sztuczna inteligencja pomaga przy obsłudze szkód komunikacyjnych w PZU

PZU z sukcesem zakończyło pilotażowy projekt wykorzystania sztucznej inteligencji w obsłudze szkód komunikacyjnych. Innowacyjna technologia będzie wspierać pracowników i ekspertów ubezpieczyciela, co skróci czas obsługi zgłoszenia. PZU jako pierwszy ubezpieczyciel w Polsce, wdrożył tę unikalną technologię na taką skalę.



Sukcesem zakończyła się pilotażowa faza innowacyjnego projektu wykorzystania sztucznej inteligencji (artificial intelligence). Polegała ona na przetestowaniu i wdrożeniu uczenia maszynowego (machine learning) oraz automatycznej analizy obrazów (computer vision) w czasie rzeczywistym w procesie obsługi szkody komunikacyjnej. Ten innowacyjny projekt rozwijany jest przez PZU we współpracy z europejskim startupem.

W ramach pilotażowej fazy projektu poddano analizie kosztorysy oraz dokumentację zdjęciową z ponad 20 000 szkód komunikacyjnych. Dzięki temu algorytmy sztucznej inteligencji wdrożone przez PZU są w stanie teraz nie tylko samodzielnie dokonać analizy zdjęć dokumentujących szkodę, ale również nazwać konkretną część auta, określić zakres uszkodzenia oraz zakwalifikować do naprawy lub wymiany dany podzespół. Sztuczna inteligencja potrzebuje zaledwie 30 sekund na przeprowadzenie analizy dokumentacji technicznej. Ponadto zastosowane rozwiązanie pozwoli na wyselekcjonowanie 90 proc. dokumentacji, która spełnia wymagania niezbędne do zachowania wysokiej jakości obsługi szkody w PZU. Pozostałych 10 proc. dokumentacji wymagającej dodatkowej ekspertyzy, sztuczna inteligencja skieruje do analizy wykonywanej bezpośrednio przez pracowników PZU. Zakończenie pozytywnym wynikiem pilotażu i wdrożenie tej innowacji pozwoli na 10-krotne usprawnienie procesu weryfikacji dokumentacji technicznej oraz ograniczy czas potrzebny na obsługę zgłoszenia.

– Sztuczna inteligencja to już nie jest science fiction znane z filmów i książek. Znajduje ona szerokie zastosowanie w codziennym życiu, w tym w branży ubezpieczeniowej. Na bieżąco analizujemy możliwości wykorzystania najnowszych technologii, które pozwolą nam nie tylko na usprawnienie prowadzonych procesów, ale także podniosą jakość oferowanych przez nas usług. Już dziś wiemy, że dzięki sztucznej inteligencji i pracy tych samych osób dziesięciokrotnie podwyższamy efektywność danego elementu procesu przy obsłudze szkody – powiedział Grzegorz Goluch, dyrektor zarządzający ds. obsługi szkód i świadczeń.

– Wdrażany projekt to książkowy przykład skutecznej współpracy dużej organizacji ze startupem, który dysponuje fantastyczną technologią. Cieszymy się z tego, że wprowadzana innowacja przełoży się nie tylko na usprawnienie pracy naszych pracowników ale także poprawę jakości obsługi z punktu widzenia klientów – powiedział Marcin Kurczab, dyrektor ds. innowacji z Laboratorium Innowacji PZU.

– Wykorzystanie sztucznej inteligencji w likwidacji szkód komunikacyjnych jest jednym z innowacyjnych projektów, jakie obecnie prowadzimy. W ramach Grupy PZU funkcjonuje Laboratorium Innowacji, którego celem jest wdrażanie nowoczesnych technologii w naszych spółkach. Sztuczna inteligencja, big data oraz rozwiązania mobilne to innowacje, które będą kształtować branżę ubezpieczeniową w najbliższej przyszłości – dodaje Marek Baran, dyrektor Biura Komunikacji Korporacyjnej w PZU.

Grupa PZU jest zainteresowana współpracą i poszukuje startupów oferujących rozwiązania z trzech obszarów obejmujących wykorzystanie dużych zbiorów danych, cyfryzację procesów oraz nowych interakcji z klientami.

Grupa PZU to lider branży ubezpieczeniowej w Polsce z ponad 37 proc. udziałem w rynkach ubezpieczeń majątkowych oraz komunikacyjnych* i 46 proc. udziałem w rynku ubezpieczeń na życie. W roku 2018 Grupa PZU zanotowała najwyższy od 5 lat roczny zysk netto 5,4 mld zł a składka przypisana brutto wyniosła 23,5 mld zł.

* Łączny wynik PZU SA oraz Link 4

eprasa.pl 17e0412b07



Mówią, że jestem zbyt liberalny

Fot. Anna Ababo/East News

Z ***Markiem Kuchcińskim***, marszałkiem Sejmu, o oszczerstwach gazety Urbana, najtrudniejszej od lat kadencji Sejmu, granicach wolności i hipisowskiej przeszłości, rozmawiają Marcin Wikło i Marek Pyza

eprasa.pl 17e0412b07

Były funkcjonariusz CBA Wojciech J., a za nim tygodnik „Nie" Jerzego Urbana stawiają panu ciężkie zarzuty obyczajowe. Czy cokolwiek w tych rewelacjach jest prawdziwe?

Marek Kuchciński: To kłamstwo od początku do końca. Nie ma w tym ziarna prawdy. To okropne pomówienia, w najgorszym – chciałoby się użyć słów nieparlamentarnych – wydaniu.

Czy zna pan Daniela Ś., byłego ważnego policjanta CBŚ z Podkarpacia, dziś rzekomo mającego sieć agencji towarzyskich w regionie? Jest przedstawiany jako gospodarz wielu imprez, na których mieli bywać politycy różnych partii.

Nie znam tej osoby. W ogóle personalia pojawiające się w tych doniesieniach są mi zupełnie obce.

A czy był pan kiedykolwiek w zamku w Dubiecku? To tam miało dojść do nagrania taśm, o których pisze „Nie".

Jeden raz w restauracji na obiedzie z żoną i dziećmi. Przejazdem.

Dopytujemy o szczegóły, bo sprawa nabrała rozgłosu i dotyczy drugiej osoby w państwie. Intryga jest rozpisana szeroko i bezpośrednio wskazuje na pana. Aż trudno uwierzyć, że ktoś – niczym kamikadze – idzie na czołowe zderzenie z marszałkiem Sejmu, nie mając żadnych dowodów.

W przypadku tego środowiska to nie pierwszy raz, więc niespecjalnie mnie to zaskakuje. Natomiast ordynarna formuła i przedstawione pseudozarzuty mnie zirytowały. Uważam, że instytucje państwa polskiego, odpowiedzialne za bezpieczeństwo funkcjonariuszy publicznych, powinny energicznie się zajmować takimi sprawami i szybko je wyjaśniać. A pomawiający i rozpowszechniający oszczerstwa powinni być równie szybko pociągani do odpowiedzialności karnej.

Dlatego złożył pan zawiadomienie do prokuratury dotyczące przestępstw gazety i byłego funkcjonariusza? To chyba jedyne, co można zrobić, by bronić się przed takimi zarzutami, niepopartymi żadnymi dowodami...

...bo żadnych dowodów nie ma. Nie jestem pierwszym pomówionym w ten sposób. I zwykle różne oskarżenia puszcza się mimo uszu. Mówi się, że polityk powinien mieć grubą skórę. Ale z roku na rok jest coraz gorzej. Osoby publiczne są atakowane w coraz mniej wybredny sposób. Uważam, że trzeba reagować. Ludzie, którzy mają wpływ na kształtowanie opinii publicznej, muszą szanować słowo. Jeżeli stawiane są publicznie takie zarzuty, muszą być poważne dowody. W tym przypadku to wyssana z palca insynuacja. Tak obraźliwa, że nie można było milczeć, uznając to za żart primaaprilisowy lub wybryk niewiarygodnej gazety.

Ale to, co się rozlało, zwłaszcza w mediach społecznościowych, już trudno odwrócić.

To jest kłopot. Dlatego postanowiłem stanowczo zareagować, domagając się nie tylko przeprosin, lecz również zadośćuczynienia na rzecz jednej z organizacji charytatywnych. Natomiast sprawa ma szerszy kontekst, z którym państwo polskie powinno sobie jakoś poradzić. Mam na myśli choćby rozwiązania, które gwarantowałyby większą odpowiedzialność za słowo. Szczególnie wtedy, gdy godzi się w dobro instytucji publicznych, a jedną z najważniejszych jest przecież Sejm.

Na ile ta sprawa dotknęła pana rodzinę? Czy to mogło zaważyć na skierowaniu sprawy do prokuratury?

A która rodzina przyjęłaby to ze zrozumieniem? Od dziesiątków lat jestem narażony na różne pomówienia. Polityka bywa niełatwa, niekiedy konfliktowa, prowokująca różne zachowania. Tym razem jednak zostały przekroczone wszelkie granice, które w przypadku polityków i tak są znacznie bardziej elastyczne. Czym innym są ostre – nawet bardzo ostre – polemiki, a zupełnie czym innym są kłamstwa i oszczerstwa tego rodzaju, którymi mnie obrzucono. Uznałem, że nie mogę tego puścić płazem i ze względu na rodzinę, i instytucję, którą kieruję.

Jakie znaczenie miało to, że autorem artykułu, pod przykrywką dziennikarską, jest czynny polityk, przedstawiciel Koalicji Europejskiej, Andrzej Rozenek? Reprezentant SLD, obrońca funkcjonariuszy komunistycznych służb, kandydat w ubiegłorocznych wyborach samorządowych w Warszawie.

Chodziło nie tylko o uderzenie w konkretną osobę, lecz także o osłabienie prestiżu instytucji. A to element walki politycznej – i kampanii do europarlamentu, i przygotowania gruntu przed kluczowymi wyborami krajowymi. Spójrzmy szerzej: różni ważni politycy prawicy są atakowani pomówieniami – od szefa służb Mariusza Kamińskiego, po prezesa partii Jarosława Kaczyńskiego – do ataku na którego wykorzystuje się austriackiego biznesmena. Gdy mimo wielkiego zaangażowania to nie wychodzi, atakujący obierają sobie kolejny cel. To wszystko ma obniżyć wiarygodność PiS, a w konsekwencji doprowadzić do porażki wyborczej. Kłamstwo, dezinformacja, cyberataki – to się dzieje w mediach społecznościowych. Przeciwnicy używają i będą używać wszelkich metod, także tych najbardziej podłych i brudnych. Najbliższe miesiące to rywalizacja o przyszłość Polski. Mówimy tu o wyborze pomiędzy Polską nierówności, establishmentu, kast a Polską sprawiedliwą, nowoczesną, solidarną, realizującą testament Lecha Kaczyńskiego. Z jednej strony są ci, którzy dużo mówią, a następnie robią coś zupełnie innego. Z drugiej – politycy wywiązujący się ze swoich obietnic, programu, konsekwentnie realizujący plan dla Polski. Gdy nie ma realnych argumentów, zaczynają się te wirtualne – czyli kampania kłamstw, obelg i paskudnych insynuacji. To też najpewniej wyraz bezradności tej drugiej strony.

I w imię tej walki warto zaatakować człowieka, który nie jest „pisowskim jastrzębiem", nie jest na pierwszej linii codziennego politycznego frontu?

Kieruję Prawem i Sprawiedliwością na Podkarpaciu od ponad 15 lat. Od tego czasu PiS wygrywa w moim regionie wszystkie wybory – parlamentarne,

eprasa.pl 17e0412b07

samorządowe, prezydenckie. W konsekwencji konkurencja słabnie coraz bardziej i sporo osób przechodzi z innych ugrupowań do nas. Być może to też miało jakieś znaczenie. Ale wydaje mi się, że ważniejszym celem było osłabienie pozycji polskiego Sejmu. Jeżeli praca w parlamencie zostanie zdezorganizowana lub jego autorytet zostanie umniejszony, to korzyści z tego będą czerpać nasi przeciwnicy w kraju i za granicą, którzy nie chcą, byśmy przeprowadzali w Polsce zmiany.

To rzeczywiście jest pierwsza pełna kadencja rządów obozu, który chce zmienić porządek III RP. Można powiedzieć, że to kadencja przełomu. Jako marszałek bierze pan na siebie prowadzenie obrad w kluczowych momentach. Która debata była najtrudniejsza?

Na pewno te najważniejsze, czyli uchwalanie budżetu i debaty nad zadaniami polskiej polityki zagranicznej czy nad najistotniejszymi reformami: sądowymi, edukacji, administracji skarbowej, podatkowymi, w których CIT obniżyliśmy z 19 do 9 proc., programy prorodzinne z 500+ na czele, obniżony wiek emerytalny. Było ich bardzo dużo. Są też wnioski o wotum nieufności. W ostatnich latach te wnioski stały się rytualne, mniej merytoryczne. Ich uzasadnienia są dramatycznie słabe, zarzuty oparte nierzadko na doniesieniach prasowych.

Tak było od początku kadencji?

Nie. Zdarzały się ciekawe wnioski, uzasadniane innym rozwiązaniem jakiejś kwestii, niż proponował rząd, i można się było poważnie o nie pospierać.

Na przykład?

Wobec Krzysztofa Jurgiela. Opozycja miała inne zdanie np. w kwestii sprzedaży ziemi cudzoziemcom. Być może minister rolnictwa podjął zbyt zdecydowane działania, ale bronił własności polskiej na wsi i jednak doprowadził do wstrzymania spekulacji gruntami. To był sukces. Opozycja uważała, że należało wprowadzić wolny rynek. Jestem gorącym zwolennikiem zasady, że są obszary strategiczne, które muszą być wyłączone z wolnej gry rynkowej – edukacja, zdrowie, już nie mówiąc o energetyce czy infrastrukturze. Tak więc chętnie podejmujemy dyskusje na argumenty, ale takowe zdarzają się bardzo rzadko.

> Jeżeli stawiane są publicznie takie zarzuty, muszą być poważne dowody. W tym przypadku to wyssana z palca insynuacja. Tak obraźliwa, że nie można było milczeć, uznając to za wybryk niewiarygodnej gazety

Najbardziej spektakularnym konfliktem sejmowym była blokada z grudnia 2016 r., która zmusiła pana do przeniesienia obrad do Sali Kolumnowej. Później też wielokrotnie przy Wiejskiej było niespokojnie. Pod tym względem to wyjątkowa kadencja, która bije na głowę nawet to, co działo się za czasów Samoobrony.

Jestem w Sejmie od 2001 r. i nie przypominam sobie, by w którejś kadencji opozycja głosowała przeciw niemal wszystkim ustawom zgłaszanym przez rząd. A tak się dziś dzieje. PiS, gdy nie sprawowało władzy, to w przypadku sporej części ustaw dotyczących najważniejszych interesów państwa wspierało projekty rządowe. Dziś prawie wszystko, co wychodzi z Rady Ministrów, spotyka się z negacją.

W końcu sami zapowiedzieli, że będą totalną opozycją.

Ale niech nie sprowadzają dyskusji publicznej do najniższych poziomów, a co za tym idzie – łamania regulaminu Sejmu. Niech nie fałszują rzeczywistości, jak w przypadku reform wadliwie skonstruowanego wymiaru sprawiedliwości, które zostały wprowadzone zgodnie z Konstytucją RP, traktatami i podobnie jak w wielu państwach UE. Niech nie osłabiają Polski, godząc się na gorsze traktowanie nas od państw tzw. starej Unii.

Nie żałuje pan kary dla posła PO Michała Szczerby, który powiedział: „Panie marszałku kochany", i został wykluczony z obrad?

Warto uważnie prześledzić, co się wówczas działo w Sejmie od początku obrad. Opozycja postanowiła wprowadzić elementy destrukcyjnego happeningu do swoich wystąpień. Tego typu aktywności poselskie pod publiczkę miały tak naprawdę odwrócić uwagę od procedowanych ustaw. A chodziło m.in. o budżet i odebranie ubekom wysokich emerytur. Za to nas do dzisiaj atakują. W końcu zaczęło to przekraczać granice powagi sejmowej. To miało charakter celowego działania rozbijającego prace Izby, obstrukcji w momencie przyjmowania kluczowych z punktu widzenia interesu państwa ustaw. Marszałek Sejmu jest odpowiedzialny za nadzór i koordynację prac Izby. Nie można pozwalać na przekraczanie pewnych norm, bo za chwilę można się znaleźć na granicy, za którą jest tylko chaos.

Czyli poseł Szczerba został ukarany za kumulację win całej opozycji?

Tamtego dnia w Sali Plenarnej kilkunastu kolejnych posłów, wchodząc na mównicę, swoim zachowaniem starało się raczej paraliżować prace Sejmu. Myśląc dziś o tamtych wydarzeniach, wiem, że została podjęta słuszna decyzja. A że padło akurat na tego posła? Niewinny nie był, wcześniej także jemu zwracano uwagę, że zachowuje się niestosownie. Tego już media nie podawały i dlatego powstało takie uproszczenie, że kara była za powiedzenie „Panie marszałku kochany". A to w sumie były nawet miłe słowa.

Opozycja w ogóle się na pana skarży, że nie ma pan dla niej cierpliwości; że karze pan jej posłów za byle co, wyłącza mikrofon, nie pozwala przekraczać czasu nawet o sekundę.

eprasa.pl 17e0412b07

Z kolei moi koledzy z frakcji większościowej wciąż mi powtarzają, że jestem zbyt liberalny. I porównując z poprzednimi kadencjami, jest w tym trochę racji. Bardziej ulgowo traktował posłów chyba tylko marszałek Maciej Płażyński. On stosował zasadę solidarnościową, częste przerwy, długie negocjacje, studzenie nastrojów i potem kolejna debata. Też staram się „rozbrajać" nerwowe sytuacje.

Patrząc na kolejne kadencje, rzeczywiście można dojść do wniosku, że obserwujemy zdecydowane obniżenie kultury języka i coraz większy upadek obyczajów. Spodziewał się pan, że dojdziemy do momentu, w którym trzeba się będzie wręcz fizycznie bronić przed intruzami na terenie Sejmu, znosić sprejowanie po zabytkowych murach czy dyscyplinować posłów wwożących gości w bagażniku?

Muszę podkreślić, że sąd uniewinnił osoby, które wtargnęły na teren Sejmu. Można to oceniać jako przyzwolenie na tego typu działanie w przyszłości. Kuriozalna była też argumentacja sądu – mogli wejść na teren parlamentu, bo nie ma ogrodzenia. Zadziwiające odwrócenie sytuacji. Proszę sobie wyobrazić, jaka by się rozpętała awantura, gdyby zdecydowano się ogrodzić teren Sejmu. Opozycja już by zadbała o to, by cały świat usłyszał, jak odgradzamy się od obywateli, jak ograniczamy demokrację. Czytelnicy określonych gazet i widzowie określonych telewizji pewnie by to kupili.

Obecna kadencja to także np. protest opiekunów osób niepełnosprawnych. Okupacja głównego gmachu odbywała się w czasie, gdy gościliśmy Zgromadzenie Parlamentarne NATO.

Rozmawialiśmy o tej sytuacji z naszymi gośćmi. Byli zdziwieni tym, co zastali w głównym budynku parlamentu. Rozumieli, że ktoś może walczyć o słuszne sprawy, że forma tej walki może być stanowcza, ale blokada gmachu nie mieściła się w ramach ich szeroko pojętej demokracji. Pytali wprost, dlaczego pozwalamy na taką swobodę na swoim terenie.

W ich krajach to by nie przeszło? Usunięto by protestujących?

W wielu parlamentach to rzecz nie do pomyślenia. Są miejsca dla protestujących, specjalna strefa na zewnątrz. Są też parlamenty, gdzie jest określona strefa ochronna 100–150 metrów, w tej odległości nie mogą się odbywać demonstracje.

Zaproponujemy panu teraz małą podróż w czasie. Przeglądając pana fotografie w internecie, widzimy nie tylko dystyngowanego marszałka Sejmu, lecz także młodego chłopaka z długimi włosami, w kwiecistej koszuli. Czy z tego hipisowskiego czasu pozostały panu jakieś przyjaźnie?

Mam wielu przyjaciół z tamtych lat. Niektórzy już niestety odeszli, jak Andrzej Mitan, który zmarł w listopadzie zeszłego roku. Jego brat Piotr zmarł tragicznie kilkanaście lat temu. Wielu ludzi noszących kiedyś długie włosy, działających w różnych obszarach kontrkultury, dziś pełni ważne funkcje publiczne. Trzeba pamiętać, że takie społeczności były także formą protestu wobec opresyjnego systemu, który ograniczał myśli i czyny. Moi starsi koledzy z Przemyśla w Marcu '68 uruchamiali strajki solidaryzujące się ze studentami. Andrzej Mazur jest uznawany za najmłodszego w Polsce organizatora protestów Marca. Był wtedy licealistą. Damian Zegarski, słynny „Wskazówa", hipis, był również organizatorem wielu akcji. Rzecz nieznana, ale to m.in. on w 1968 r. uczestniczył w wyłamywaniu gwiazdy czerwonej z przemyskiego pomnika sowieckiego. Pół nocy nad tym pracowali, mocowali się, a ostatecznie wyrzucili ją do Sanu. „Sowieci do domu" to hasło późniejsze.



Fot. Rafał Zambrzycki/Kancelaria Sejmu

eprasa.pl 17e0412b07



Fot. Rafał Zambrzycki/Kancelaria Sejmu

> Jestem w Sejmie od 2001 r. i nie przypominam sobie, by w którejś kadencji opozycja głosowała przeciw niemal wszystkim ustawom zgłaszanym przez rząd. A tak się dziś dzieje

W „Polityce" znaleźliśmy taki fragment: „»Terlecki i Kuchciński byli w tym swoim antysystemowym podejściu naprawdę nieprzejednani« – mówi jeden z dawnych bliskich przyjaciół obu polityków. Może to zdecydowało, że dawni królowie hipisów znaleźli się akurat w PiS". Jest w tym coś?

„Król hipisów"... To określenie bardziej pasuje do Ryszarda Terleckiego. Ja byłem bardzo młodym, skromnym człowiekiem, który marzył, aby żyć w wolnym kraju. Prawo i Sprawiedliwość kojarzy się z obszarem wolności, umocowanym w systemie aksjologicznym, w którym człowiek jest głównym punktem odniesienia, ale dzięki sprawnie działającemu silnemu państwu. Każdy człowiek jest wartością, niezależnie od poglądów, chociaż za złe czyny ponosi odpowiedzialność. I to mnie przyciągnęło do Porozumienia Centrum, a późniejsze PiS było ciągiem dalszym. Ale także wielki mir, jaki roztaczali Lech i Jarosław Kaczyńscy, niezwykli ludzie, z wizją Polski. W tamtym czasie, przełomu lat 80. i 90., tego brakowało. Komitety Obywatelskie czy wcześniejsze różne podziemne formy działalności były bardzo ciekawe: na wsi OKOR, w miastach „Solidarność" podziemna, głównie na kontrze do opresyjnego systemu, i kultura niezależna, którą w Przemyślu organizowaliśmy w formie „Strychu kulturalnego" oraz wystaw i spotkań w podziemiach franciszkańskich, dawały poczucie wolności. Ale pozytywną wizję państwa przedstawili dopiero bracia Kaczyńscy. W ich koncepcji miało ono umożliwiać rozwój człowieka w solidarnym społeczeństwie, zapewniać mu poczucie bezpieczeństwa i umacniać poczucie godności Polaków. Bardzo mi się to podobało.

Wracając do hipisów, nie możemy nie zapytać o pana ksywę z tamtego czasu, „Penelopę".

Potwierdzam. Była taka. A wywodzi się ze spektaklu teatralno-muzycznego, który w pierwszej połowie lat 70. organizowaliśmy w amatorskim zespole Ptah – ciekawe czasy, wspaniali ludzie. Jeździliśmy z przedstawieniem na różne festiwale, koncerty i nawet zdobywaliśmy wyróżnienia. I zarówno w tym spektaklu, jak i w innych naszych scenkach rodzajowych funkcjonowała postać Penelopy przechadzającej się wzdłuż Sanu tam i z powrotem... Sięgają panowie do czasów, które darzę ogromnym sentymentem. Nieco później, w latach 80., rozwinęliśmy tę działalność kulturalną poza cenzurą i ściągaliśmy takie postacie jak Roger Scruton czy artystów z Europy Zachodniej, USA, RPA, Australii.

À propos Scrutona – jak sprowadził pan tego filozofa w latach 80. do Przemyśla?

Przez przyjaciół z KUL, którzy z Londynu przyjechali tam do pracy, przyjaźnili się ze Scrutonem, z zespołem Salisbury Review, z ludźmi z Fundacji Jagiellońskiej. Okazało się, że jego środowisko pomaga w Europie Środkowej, organizuje spotkania i przesyła niedostępne w Polsce wydawnictwa, a także małą poligrafię – od Albanii, przez Węgry i Czechosłowację. Stąd dziś wielu znajomych: Alexander Tomský z Pragi czy Zsolt Németh z Budapesztu. Zaczęliśmy rozwijać kontakty i nagle zaczęli do nas przyjeżdżać uczeni, artyści, filozofowie, jak Dawid Reagan, Helen Ganly, Margaret Steel Hunter, Edward Robinson czy Mark Lilla, który chyba w 1988 r. przedstawił w Przemyślu list do Josifa Brodskiego. W tamtym czasie politykę traktowałem bardziej jako aktywne poszerzanie obszarów wolności w socjalistycznym świecie, bo legalne tworzenie innych partii politycznych było niemożliwe. Angażowałem się w działalność bez schematów, bez narzucanych ograniczeń cenzorskich i w dyskusje wzorowane trochę na Sokratesie. Kiedyś z Ryszardem Legutką dyskusja trwała do rana, a nawet w drodze do pociągu. Zresztą Scruton będzie niebawem ponownie w Polsce, pojawi się na Szczycie Parlamentarnym Państw Europy Środkowej i Wschodniej. To wydarzenie po raz kolejny organizujemy w Sejmie i Senacie na początku czerwca.

eprasa.pl 17e0412b07

Donald Adam Schetyna

Żaden polityk III RP nie rehabilitował tak bardzo układu postkomunistycznego jak przewodniczący Platformy Obywatelskiej



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 17e0412b07



STANISŁAW JANECKI

Grzegorz Schetyna uparcie trenował, aż wreszcie zaliczył slalom niczym mistrzyni Lindsey Vonn. Był kiedyś niemal wzorcowym antykomunistą. Nie był zwolennikiem „okrągłego stołu" ani przyjętych wtedy ustaleń. „Gazety Wyborczej" ani jej ideologii nie lubił. Z wzajemnością, bowiem ludzie tej gazety uważali go za parweniusza, człowieka o gorszym statusie kulturowym, intelektualnym, towarzyskim. W Unii Wolności się mieścił, ale jej salon uważał go za barbarzyńcę. Z Donaldem Tuskiem współpracował, ale gdy ten go w 2009 r. przeżuł i wypluł, stał się największym wrogiem. „Ciepłą wodę w kranie" Tuska uważał za fatalną filozofię władzy. W 2014 r. zacisnął zęby, zatkał nos i postanowił przestać być tylko cieniem, zastępcą, pomocnikiem. Przez ponad rok przygotowywał się do funkcji lidera, by w styczniu 2016 r. wejść na odpowiednie schody. Ale musiały minąć trzy lata, żeby się okazało, iż te schody gdzieś prowadzą. Wspinając się, Schetyna musiał się upodobnić do Donalda Tuska i przyjąć polityczny program Adama Michnika. Tak narodził się nowy Schetyna, czyli hybryda składająca się z największego wroga i najodleglejszego ideologa – Donald Adam Schetyna.

DESCHETYNIZACJA SCHETYNY

Żeby w 2019 r. zaspokoić ambicje i zająć pozycję, z której bardzo trudno byłoby go usunąć, lider opozycji zrezygnował z tego, co było jego największym atutem w wewnętrznych rozgrywkach, czyli przestał być Grzegorzem „Zniszczę Cię" Schetyną. Nieaktualne stało się powiedzenie, które Schetynę wbijało w dumę: „Bóg wybacza, Schetyna nigdy". Przewodniczący PO poszedł na układy, które jeszcze kilka lat temu go brzydziły, czyli przede wszystkim z SLD i jego postkomunistycznymi dinozaurami: Włodzimierzem Cimoszewiczem, Leszkiem Millerem i Markiem Belką. Zmusił się do partnerskiego traktowania PSL i jego szefa Władysława Kosiniaka-Kamysza, choć wcześniej z nich tylko pokpiwał. Utrzymał przy życiu Nowoczesną, choć wcześniej chciał ją politycznie unicestwić. Przejął wiele elementów lewicowej ideologii, choć wcześniej uważał je za polityczną aberrację. Przyjął patronat „Gazety Wyborczej" z całym jej historycznym, ideologicznym i aksjologicznym brzemieniem, choć przez lata był przez ten ośrodek sekowany, a nawet upokarzany. W marcu 2019 r. oddał swego rodzaju hołd lenny swemu największemu wewnętrznemu wrogowi Donaldowi Tuskowi. Jednocześnie ułaskawił Radosława Sikorskiego, który w styczniu 2014 r. mówił Jackowi Rostowskiemu: „Boję się, że Grzesiu się odwinie". Nie tylko za przypisanie Schetyny do „żulii lwowskiej", lecz przede wszystkim za pomaganie Tuskowi w niszczeniu go i upokarzaniu.

Jeszcze w 2016 r. Schetyna miał na „liście śmierci" (politycznej) swoich obecnych sojuszników na równi z niegdysiejszym szefem struktur PO na Dolnym Śląsku (z woli Tuska) Jackiem Protasiewiczem oraz ówczesnym prezydentem Wrocławia Rafałem Dutkiewiczem. Jacka Protasiewicza, Stefana Niesiołowskiego i Stanisława Huskowskiego Schetyna „odstrzelił" bez litości. Jedynym, który wyszedł cało z akcji odwetu, był Władysław Frasyniuk, ale to dlatego, że usunął się z polityki. Ale i on kilka razy starł się z obecnym szefem PO. Raz było tak ostro, że niemal doszło do bójki. Gdyby nie przyjaciele obu, którzy musieli ich rozdzielać i trzymać, zrealizowane byłyby groźby typu: jak ci przyp..., to wylądujesz na dachu Hali Ludowej. Frasyniuk publicznie przypominał, że we Wrocławiu wszyscy się Schetyny bali. Już 11 lat temu, wychodząc z gabinetu prezydenta Rafała Dutkiewicza, Schetyna powiedział: „Masz prze... Zniszczę cię". Wcześniej usłyszał od Dutkiewicza, by „wyp...". Przeciwnicy Schetyny słyszeli od niego: „Zawsze oglądaj się za siebie, bo nie znasz dnia ani godziny". Patryk Wild, radny wojewódzki z ugrupowania Bezpartyjni Samorządowcy, stwierdził kilka lat temu w Radiu Wrocław: „Działacze Platformy, którzy wbili Schetynie nóż w plecy w Karpaczu [podczas wyborów szefa struktur wojewódzkich PO], mogą oglądać film »Rzeczy, które robisz w Denver, będąc martwym«, bo jest on o ich przyszłości". I w 2016 r. wydawało się, że następni do rozliczenia są Ewa Kopacz, Tomasz Siemoniak, Cezary Grabarczyk, Borys Budka i Rafał Trzaskowski. Ale wtedy Schetyna się zatrzymał, bo jednak nie mógł sobie pozwolić na kolejne czystki. A teraz z dawnymi wewnętrznymi wrogami się ułożył, nagradzając ich stanowiskami.

TUSK I MICHNIK W JEDNYM

Chcąc zrealizować swoje polityczne ambicje i cele, Schetyna stał się zakładnikiem tylu sił, grup interesów i ośrodków wpływu, które kiedyś uważał za „nietykalne" albo sam chciał zwasalizować, że stracił polityczną tożsamość i biograficzną integralność. Przez lata Schetyna wypominał Tuskowi całkowitą bezideowość, absolutny pragmatyzm i oportunizm. I teraz wszystkie te cechy Tuska przejął. A nawet więcej, gdyż Tusk nigdy tak szeroko jak Schetyna nie otworzył PO na postkomunistów. Tusk skorzystał w 2009 r. z Danuty Hübner w wyborach do Parlamentu Europejskiego, co Schetynę bardzo oburzyło, bo nie mógł się pogodzić z takim forowaniem „pie...j komunistki". Tusk zaprosił też w 2011 r. na listę PO do Sejmu Dariusza Rosatiego. Teraz Schetyna skorzystał nie tylko z wybranych postkomunistów, lecz z całych ich zasobów kadrowych. Bezideowość Schetyny tym się różni od tej w wydaniu Tuska, że obecny przewodniczący PO wszystkie ideologie od lewa do prawa pomieszał, z czego wyszła idealna „zupa nic". Schetyna wzbogacił stanowisko Lecha Wałęsy, że można być jednocześnie „za, a nawet przeciw" o „ani za, ani przeciw", „za przeciw za" czy „przeciw przeciw za". Co prowadzi do groteski, gdyż w jednym garnku są aborcjonizm, genderyzm, feminizm, libertynizm, antyklerykalizm, socjalizm, postkomunizm, liberalizm, centryzm, libertarianizm, syndykalizm, anarchizm i konserwatyzm. Schetyna dalece przelicytował zatem bezideowość, pragmatyzm i oportunizm Tuska. I w tym sensie stał się super-Tuskiem albo Tuskiem do kwadratu.

eprasa.pl 17e0412b07

Cokolwiek by mówić o Tusku, nie był on zwolennikiem zrealizowania przy pomocy PO idei Michnika, czyli tzw. wielkiego kompromisu historycznego. We wrześniu 1995 r. na łamach „Gazety Wyborczej" Adam Michnik i Włodzimierz Cimoszewicz w tekście „O prawdę i pojednanie" zarysowali perspektywę takiego wielkiego kompromisu historycznego. Najkrócej – miedzy sprawcami a ofiarami, między strażnikami a więźniami, między beneficjantami a pokrzywdzonymi, między dyskryminującymi a dyskryminowanymi. Tusk wchodził w różne układy z Michnikiem, ale nie w kwestii tzw. wielkiego kompromisu. Trzeba było dopiero Schetyny, żeby ideę Michnika i postkomunistów wcielić w życie. I gdy tylko zaczął ją realizować, „Gazeta Wyborcza" natychmiast zapomniała o jego salonowych brakach, o złym pochodzeniu, o kulturowej inności, o antyelitarności, o towarzyskim nieokrzesaniu. Faktyczny naczelny „Wyborczej" Jarosław Kurski stał się wręcz giermkiem Schetyny, spijającym wszelkie mądrości z jego ust i gotowym do wcielania ich w życie, zanim lider opozycji je w pełni wyartykułował.



W latach 90. mówiło się, że „Gazeta Wyborcza" założyła własną partię – Unię Demokratyczną, a potem Unię Wolności. Ale ta jej partia nigdy nie była w stanie zrealizować marzenia Michnika. Platforma Obywatelska, ani w wersji Tuska, ani w kształcie nadanym jej przez Schetynę, nie była tworem „Gazety Wyborczej", ale Koalicja Europejska pod patronatem Schetyny jest już tym politycznym tworem, o którym medium Michnika zawsze marzyło. Tym samym Schetyna stał się także Michnikiem. I to w lepszej, bo młodszej wersji. Nie ma chyba większej przewrotki, także moralnej, aksjologicznej i estetycznej, niż to, co zrobił Schetyna, zdradzając samego siebie (jako antykomunistę i przeciwnika układu okrągłostołowego) i wchodząc po uszy w to, co przez wiele lat zwalczał, a co uosabiali Donald Tusk oraz Adam Michnik.

RESTAURACJA SCHETYNY

Schetyna najwyraźniej uznał, że nie ma innego wyjścia, jak stać się jednocześnie Tuskiem i Michnikiem, gdyż w żadnym innym wariancie nie miałby szans na pokonanie Prawa i Sprawiedliwości, zostanie premierem, wyleczenie się z kompleksów i zyskanie aprobaty salonu III RP, czyli uznanie, że z barbarzyńcy stał się człowiekiem cywilizowanym. Żeby to wszystko osiągnąć, nie wahał się stać zakładnikiem filarów ustroju III RP: grup interesów i lobby, rekinów biznesu, ludzi tajnych służb i generalnie służb mundurowych, postkomunistycznych elit pieniądza, wpływów i prestiżu czy mainstreamowych mediów. Przy okazji stał się zakładnikiem ich zagranicznych mocodawców, współpracowników i consigliere, co zresztą już się zaczęło z falą donosów na Polskę oraz z pomaganiem ludziom typu Frans Timmermans w atakach na nasz kraj.

> Przez lata Schetyna wypominał Tuskowi bezideowość, absolutny pragmatyzm i oportunizm. I teraz wszystkie te cechy Tuska przejął

Schetyna doszedł do obecnego miejsca, wcześniej stając się zakładnikiem zakłamanej wersji najnowszej historii Polski, czyli mitologii „okrągłego stołu" i wyborów 4 czerwca 1989 r. oraz fałszywej legendy Lecha Wałęsy. To dlatego stał się gorącym przeciwnikiem deubekizacji oraz zwolennikiem likwidacji Instytutu Pamięci Narodowej. Żaden polityk III RP nie rehabilitował tak bardzo układu postkomunistycznego jak Schetyna, i to w 2019 r., gdy po tym układzie nie powinno być już śladu.

Trudno przypuszczać, że lider PO nie zdaje sobie sprawy z tego, jaką cenę płaci czy może zapłacić nie tylko on, lecz przede wszystkim Polska za to, że stał się Tuskiem i Michnikiem w jednym. Żądza władzy i chęć zaistnienia wreszcie w roli premiera obecnego na europejskich salonach reaktywowała i umocniła najgorsze elementy hybrydowego ustroju III RP. Gdyby Schetyna zrealizował swoje cele, Polska stałaby się dużo mniej suwerenna i samodzielna niż w czasach siedmioletnich rządów Tuska. A wszyscy obecni pomocnicy Schetyny, z Polski i zagranicy, prędzej niż później upomną się o swoje za to pomaganie. Schetyna z przeszłości chyba nie przypuszczał, że to on stanie się akuszerem restauracji starego porządku i starych zależności, trochę tylko przykrytych nową retoryką i uzasadnianych obroną demokracji przed „faszystami" z PiS. Jeśli Schetyna wygra, Polska będzie znowu postkomunistyczna i satelicka.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 17e0412b07



L – jak lekcja (niemiecka)

Ks. prof. Dariusz Oko w Telewizji Trwam w ubiegłym tygodniu przedstawił widzom podręcznik z zakresu pedagogiki seksualnej, którym posługują się nauczyciele na lekcjach gender w Niemczech. Napisał go cieszący się autorytetem profesor „genderologii". Książka miała już drugie wydanie, a więc duże wzięcie wśród zainteresowanych. Ks. prof. Oko, omawiając „dzieło", wskazał kilka jego fragmentów. Jedną z jednostek lekcyjnych stanowiło ćwiczenie-zadanie, jakie mieli wykonać uczniowie powyżej 15. roku życia. Było ono zatytułowane, ni mniej, ni więcej: „Nowy burdel dla wszystkich". Na czym polegało zadanie? Klasa otrzymuje plan domu publicznego, który jest właśnie po remoncie. Uczniowie mają się zabawić w projektantów wnętrz. W kilku pustych kwadratach imitujących pomieszczenia mają tak zaplanować poszczególne pokoje, żeby każda „orientacja" seksualna znalazła miejsce dla siebie i każda czuła się uwzględniona.

„Mają się zastanowić, jak przyciągnąć ludzi do tego miejsca, ile powinno się tam płacić itd." – informował ks. prof. Dariusz Oko. Oczywiście jak każde ćwiczenie i to miało odpowiednie cele edukacyjne oraz wychowawcze.

„Celem tego ćwiczenia jest to, żeby dzieci zdobyły osobistą wolność korzystania z usług seksualnych, a także ofiarowywania tych usług, czyli korzystać z domów publicznych, a nawet sami tam pracować" – tłumaczył ks. prof. Oko widzom.

Wydaje się jednak, że najważniejszy cel ćwiczenia stanowiło nie tyle planowanie pomieszczeń domu publicznego, ile brutalne wdarcie się do dusz młodych ludzi. Prymitywne meblowanie ich głów, uformowanie najbardziej wewnętrznych przekonań przez włamanie się do sumienia podczas szkolnej lekcji „Burdel dla wszystkich". Dlatego trudno się oprzeć wrażeniu, że państwo niemieckie już dawno postawiło sobie za przedziwny cel głęboką demoralizację własnego społeczeństwa. A dzieje się tak już od wielu lat. Są tego wymierne skutki. 1 października 2017 r. weszła w Niemczech w życie ustawa legalizująca tzw. małżeństwa homoseksualne. Daje ona homoseksualistom – mężczyznom i kobietom – tzw. pełne prawa małżeńskie, w tym prawo do adopcji dzieci. Do tej pory w Niemczech można było zawierać tzw. związki partnerskie i adoptować jedynie dziecko partnera.

Według niemieckiej agencji ds. równouprawnienia tzw. małżeństwa jednopłciowe popiera już 83 proc. Niemców.

* * *

Podobnie jest w całej Europie, gdzie tzw. małżeństwa osób tej samej płci można zawierać w Norwegii, Szwecji, Danii, Finlandii, na Islandii, w Holandii, Belgii, Hiszpanii, Portugalii,

eprasa.pl 17e0412b07

Luksemburgu, we Francji, w Irlandii oraz Wielkiej Brytanii (poza Irlandią Północną). W Austrii i we Włoszech homoseksualiści mogą zawierać tzw. związki partnerskie. Ale pewnie wkrótce i to się zmieni i będzie tak jak w Belgii czy Holandii.

Polska stanowi więc w Europie niezmiennie jedną z nielicznych oaz, gdzie jeszcze panuje normalność. A małżeństwo – jak definiuje je konstytucja – to związek mężczyzny i kobiety. Powinni to przyjąć na polskim gruncie do wiadomości ateiści oraz lewicowi obrońcy konstytucji, gdyż ich postulaty stanowią jawne naruszenie polskiej ustawy zasadniczej.

W tym kontekście konsekwentne wysiłki ks. prof. Dariusza Oko są bezcenne. Zwłaszcza gdy uświadamia on Polakom, że wpuszczanie genderystów do szkół jest równie groźne jak uchylanie drzwi dilerom narkotyków. Wszystko to brzmi dla wielu jak bluźnierstwo i zamach na europejskie wartości. Wielkie portale internetowe i komercyjne media regularnie przedstawiają postać uczonego jako tzw. kontrowersyjnego duchownego, głoszącego „kuriozalne wypowiedzi" – to portal wirtualna polska.pl. W innym miejscu dowiadujemy się, że „jako wykładowca katolickiej uczelni mógł bez konsekwencji uderzać w gejów, ateistów, kobiety czy właśnie gender. Skargi na niego trafiały m.in. do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Episkopat nigdy księdza nie ukarał" – ubolewał jeden z autorów tego samego portalu w tekście „Ks. Oko odpłynął w Radiu Maryja".

Internetowa „Encyklopedia LGBT" poświęciła księdzu profesorowi nawet oddzielne hasło, nazywając go jednym z czołowych polskich „aktywistów antygejowskich", który „na szerszą skalę jako prawicowy celebryta został wypromowany poprzez program Tomasza Lisa w TVP". Encyklopedia przytacza niektóre wypowiedzi duchownego, nazywając je „barwnymi". Cytuje się także określenie Katarzyny Wiśniewskiej, która w 2013 r. na łamach „Gazety Wyborczej" nazwała księdza „pierwszym gejożercą Kościoła katolickiego".

„Encyklopedia LGBT" zapewnia, że tezy ks. prof. Oko „zwykle stoją w całkowitej opozycji do rzetelnej wiedzy naukowej". Hasło opisujące duchownego cytuje obszerny fragment publikacji skrajnie antyklerykalnego, należącego do eksksiędza Romana Kotlińskiego, pisma „Fakty i Mity" w czasie, gdy pisywał w nim pod pseudonimami Grzegorz Piotrowski morderca ks. Jerzego Popiełuszki. Cytat porównuje pracę i działalność ks. prof. Oko do „antygejowskich krucjat" i działań nazistowskich.

* * *

Obrona dzieci przed demoralizacją i deprawacją niesie huraganową falę ataków i słownych napaści nie tylko na księdza prof. Oko. Ostatnio spotyka to małopolską kurator Barbarę Nowak i wojewodę lubelskiego, profesora KUL, dr. hab. Przemysława Czarnka. Ten ostatni miał rzekomo uchybić godności nauczyciela akademickiego, gdy jesienią ubiegłego roku krytykował organizowany przez środowiska LGBT tzw. marsz równości w Lublinie i w efekcie został pozwany przez tamtejszego działacza LGBT. Wniosek o wytoczenie postępowania dyscyplinarnego postawiła też grupa naukowców. W ubiegłym tygodniu rzecznik dyscyplinarny KUL umorzył całe postępowanie wyjaśniające, uznając, że nie kwalifikuje się do rozpatrzenia przez komisję dyscyplinarną. Komentując sprawę, dr hab. Przemysław Czarnek słusznie zauważył, że nie można pozwolić na narzucenie opinii publicznej zafałszowanego dyskursu ideologii homoseksualnej. Nie istnieje przecież ani tzw. małżeństwo homoseksualne, ani nie istnieją tzw. rodzice homoseksualni.

Inna odważna, a może wręcz heroiczna, kurator małopolska Barbara Nowak, krytykująca plany seksedukacji w warszawskich szkołach, nazwana została przez wiceprezydenta Warszawy Pawła Rabieja „bigotką, homofobką i antysemitką". Dziś żąda za to przeprosin. Mimo że spotkała się z nienawistnymi atakami, naruszającymi jej godność i zawodowe kompetencje, mającymi doprowadzić do zawodowego ostracyzmu i ostatecznie wykluczenia z publicznej debaty, nie myśli ulegać atakom.

Niedawno ulicami Warszawy przeszedł XIV Marsz Świętości Życia. Jego tegoroczne zawołanie brzmiało: „Tato, to ja!". Polacy i warszawiacy nie pozwalają się zastraszyć w przestrzeni publicznej. Szeroką ławą ruszyli od katedry warszawskiej i warszawsko-praskiej, łącząc się na pl. Zamkowym, by przejść pod bazylikę Świętego Krzyża. Podrzucam pomysł organizatorom na przyszły rok – zaprośmy na kolejny marsz uczniów i ich rodziców ze szkół z Berlina, Münster czy Bonn... Niech też odetchną polskim wiosennym powietrzem Marszu Świętości Życia...

Hanna Karp

Fot. Andrzej Wiktor

REKLAMA





53/0319/F

eprasa.pl 17e0412b07

F-35 na horyzoncie



W tej chwili myśliwcami piątej generacji dysponują jedynie Stany Zjednoczone i niewielka liczba państw, które przystąpiły do programu budowy F-35. Rosjanie i Chińczycy dopiero testują swoje maszyny tej klasy, a ich europejskie odpowiedniki są jeszcze w fazie projektowania. Zakup samolotów F-35 nie tylko wprowadziłby polskie lotnictwo do światowej ligi, lecz przede wszystkim przyczyniłby się do znaczącego podniesienia bezpieczeństwa państwa

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 17e0412b07

Na początku marca na Mazowszu rozbił się myśliwiec MiG-29 należący do eskadry z Mińska Mazowieckiego. Pilot zdołał się katapultować i przeżył wypadek. Rosyjskie maszyny tego typu, uważane dotąd za bardzo bezpieczne, nagle zaczęły się sypać. Ze starości. W krótkim czasie – od 2016 r. – nasze lotnictwo straciło jeszcze trzy inne samoloty MiG-29. W jednej z katastrof, która wydarzyła się w lipcu 2018 r. pod Pasłękiem, zginął pilot.

To wtedy przyśpieszono prace nad programem Harpia – jak określa się w MON plan zakupu nowych samolotów wielozadaniowych. Wcześniej Harpia, podobnie jak wiele innych programów modernizacyjnych o intrygujących nazwach (Orka – zakup okrętów podwodnych, Kruk – śmigłowce bojowe itd.), była przedmiotem niekończących się ekspertyz i analiz. Choć czas naglił, nie podejmowano żadnych decyzji, głównie z powodów finansowych, ale również ze względu na nieustannie zmieniające się koncepcje.

Dlatego gdy ruszono z Harpią, pojawiła się nadzieja, że polskie lotnictwo doczeka się wreszcie wymiany pozostających jeszcze na służbie starych rosyjskich samolotów (oprócz myśliwców MiG-29 mamy zupełnie dziś archaiczne Su-22) na nowe maszyny. Nikt się chyba jednak nie spodziewał, że mają to być najbardziej nowoczesne samoloty piątej generacji. A zakup takich właśnie samolotów wpisał do planu modernizacji technicznej na lata 2017–2026 minister obrony Mariusz Błaszczak.

SKOK W PRZYSZŁOŚĆ

W tej chwili jest tylko jeden samolot piątej generacji, który może wchodzić w rachubę jako nowy nabytek polskiego lotnictwa. To amerykański F-35 produkowany przez koncern Lockheed Martin. Samoloty tego typu należą do najnowocześniejszych maszyn na świecie. Myśliwce piątej generacji charakteryzują się wykorzystaniem technologii stealth (utrudniona wykrywalność przez radary), dużą manewrowością w powietrzu oraz – przede wszystkim – pełną zdolnością do działania na sieciocentrycznym polu walki. Oznacza to, że samoloty te są przystosowane do współpracy z innymi systemami uzbrojenia. Podczas misji bojowej mogą wykrywać cel i – w zależności od konkretnej sytuacji – przekazywać jego współrzędne bardziej efektywnym środkom niszczenia, np. artylerii rakietowej. Inaczej mówiąc, na sieciocentrycznym polu walki działania różnych rodzajów broni są zharmonizowane, akcję podejmuje ten, kto ma największą szansę zniszczyć cel, lub ten, kto dysponuje bardziej adekwatnymi środkami. Nie ma bowiem sensu, aby np. myśliwiec używał wartej miliony dolarów rakiety do strącenia nieprzyjacielskiego drona, jeśli może to zrobić żołnierz z wyrzutnią na ramieniu. F-35 jest zatem nie tylko samolotem, lecz także – mówiąc w przenośni – latającą bazą danych zbieranych podczas misji i wymienianych w czasie rzeczywistym dla zwiększenia siły bojowej własnych oddziałów.



KONRAD KOŁODZIEJSKI

W tej chwili myśliwcami piątej generacji dysponują jedynie Stany Zjednoczone i niewielka liczba państw, które przystąpiły do programu budowy F-35 (m.in. Wielka Brytania, Włochy, Holandia, Australia, Japonia, Norwegia, Izrael). Rosjanie i Chińczycy dopiero testują swoje maszyny tej klasy, a ich europejskie odpowiedniki (szykowane m.in. przez Airbusa oraz – niezależnie – przez brytyjski BAE) są jeszcze w fazie projektowania.

Zakup samolotów F-35 nie tylko wprowadziłby polskie lotnictwo do światowej ligi, lecz przede wszystkim przyczyniłby się do znaczącego podniesienia bezpieczeństwa państwa.

ZWROT AKCJI

Choć o planach kupna F-35 spekulowano od dawna, nikt dotąd nie traktował tego poważnie, głównie ze względów finansowych oraz dlatego, że na dostawy F-35 trzeba byłoby zbyt długo czekać. Pierwszeństwo dostaw mają bowiem państwa współfinansujące budowę tych samolotów, a Polska – mimo złożonego jej kiedyś zaproszenia – do programu F-35 nie przystąpiła.

Wydawało się więc, że będziemy szukać innych, tańszych rozwiązań. Jeszcze pod koniec 2018 r. MON złożył zapytania do różnych producentów w sprawie dostaw samolotów wielozadaniowych dla polskiego lotnictwa. Odpowiedzi przysłał Boeing – producent samolotów F-15 oraz F/A-18, szwedzki SAAB z kolejną wersją Gripena, włoskie Leonardo oferujące europejskiego Typhoona oraz Lockheed Martin proponujący – do wyboru – najnowszego F-35 lub nową odmianę znanego nam F-16. Choć do podjęcia decyzji była jeszcze długa droga, eksperci typowali możliwy zakup kolejnych samolotów F-16. Na ich korzyść przemawiały niższy koszt, doświadczenie w eksploatacji tych maszyn w polskim lotnictwie, posiadana przez nas infrastruktura oraz piloci przeszkoleni na ten typ samolotów. O zakupie F-35 mówiono, że – owszem – jest rozważany, ale dopiero w dalszej kolejności, gdy jego cena wraz z rozkręceniem produkcji znacząco spadnie.

Wydawało się więc, że będziemy odkurzać plan z 2003 r., gdy Polska podpisała umowę na zakup samolotów wielozadaniowych F-16. Była to jednak kropla w morzu potrzeb. Pierwotnie zakładano kupno 72 egzemplarzy F-16, potem zmniejszono tę liczbę do 60 sztuk, ostatecznie stanęło na 48 maszynach, które zaczęły przylatywać do Polski w 2006 r. Uniemożliwiło to wtedy całkowite przezbrojenie naszego lotnictwa na nowoczesne maszyny produkcji zachodniej, kompatybilne ze standardami natowskimi. Kupno kolejnych F-16 odłożono. Przyczyną zmniejszenia zamówienia były oczywiście pieniądze. Wyglądało na to, że dopiero teraz – po kilkunastu latach przerwy – powrócimy do kolejnych zakupów F-16.

Na początku marca doszło jednak do gwałtownego i dość nieoczekiwanego zwrotu akcji. Najpierw minister obrony, a potem również prezydent Duda ujawnili, że Polska prowadzi już rozmowy w sprawie dostaw F-35. „Chcemy zakupić 32 samoloty wielozadaniowe piątej generacji" – sprecyzował minister Błaszczak. „Oczekuję,

eprasa.pl 17e0412b07

zarówno od szefa Sztabu Generalnego, jak i od szefa Inspektoratu Uzbrojenia, natychmiastowych działań, aby zrealizować to priorytetowe zadanie. Ten samolot jest bardzo istotny, gdyż wzmacnia możliwości bojowe również obecnie posiadanych samolotów F-16. Jesteśmy zdeterminowani, aby zastąpić postsowieckie samoloty, które nie mają wartości bojowej, są wysłużone".

Oznacza to, że przetargu na nowe samoloty raczej nie będzie. Trudno jednak sobie wyobrazić taki przetarg, bo oprócz F-35 nie ma dziś na rynku innych maszyn piątej generacji. Taka decyzja ma jednak tę zaletę, że bardzo przyśpiesza procedury pozyskania nowego sprzętu.

SZYBCIEJ I TANIEJ

Czy jednak rzeczywiście deklaracja zakupu F-35 wynika tylko z pilnej potrzeby zastąpienia starzejących się maszyn rosyjskich? Niekoniecznie. Pewną podpowiedź daje tu ogłoszony w marcu raport amerykańskiego Ośrodka Analiz Strategicznych i Budżetowych (CSBA) poświęcony wzmocnieniu obrony wschodnich granic NATO. Raport ten – przygotowany przez ośrodek blisko związany z Pentagonem – przedstawia pożądaną, zdaniem jego autorów, strategię działań wobec zagrożenia rosyjskiego na wschodniej granicy Sojuszu Atlantyckiego. Wśród wielu zaleceń skierowanych zarówno do Stanów Zjednoczonych, jak i do ich sojuszników w regionie znalazły się m.in. rekomendacje dotyczące zakupów uzbrojenia, w tym samolotów bojowych. Analitycy z CSBA sugerują Polsce zakup maszyn piątej generacji, uzasadniając, że – choć są droższe od swoich poprzedników takich jak F-16 – stanowią znacznie bardziej efektywne narzędzie na polu walki. Umożliwiają też lepsze współdziałanie z siłami powietrznymi USA i są mniej narażone na straty.

Podobne sugestie wypłynęły również z samego Pentagonu (przypadek?), gdy 5 kwietnia przedstawiciel Departamentu Obrony wiceadmirał Mathias Winter poinformował Izbę Reprezentantów, że rząd amerykański rozważa możliwość sprzedaży myśliwców F-35 pięciu krajom sojuszniczym: Polsce, Rumunii, Grecji, Hiszpanii i Singapurowi.



Fot. materiały prasowe

Naszpikowany elektroniką kask pilota F-35 kosztuje – wedle różnych szacunków – od pół miliona do 800 tys. dolarów

Wydaje się więc, że na dostawie samolotów F-35 do Polski zależy nie tylko stronie polskiej, lecz również Amerykanom. Przyczyn może być kilka. Poza militarnymi, o których wspominał raport CSBA, w rachubę wchodzą czynniki gospodarcze. Jeszcze w 2001 r., a więc pięć lat przed oblotem pierwszego F-35, zakładano, że rynek na te maszyny wyniesie 6 tys. sztuk. Potem tę liczbę redukowano, ustalając ją w 2009 r. na 3 tys. samolotów. Jasne jest więc, że Amerykanie poszukują kupców. Tym bardziej że jeden z nabywców F-35 został właśnie ukarany wstrzymaniem dostaw. Chodzi o Turcję, która – choć pozostaje członkiem NATO – prowadzi politykę sprzeczną z interesami Sojuszu i angażuje się w ścisłą współpracę z Rosją. Bezpośrednią przyczyną zawieszenia dostaw F-35 do Turcji był zakup przez Ankarę rosyjskiego systemu przeciwlotniczego S-400. Kalibrując system przy użyciu tureckich F-35, Rosjanie mogliby – zdaniem Amerykanów – nauczyć się go zwalczać.

W rezultacie na linii produkcyjnej F-35 zwolniło się miejsce dla setki samolotów (tyle miała otrzymać Turcja). Niewykluczone, że mogą na tym skorzystać Polska i ewentualni inni nabywcy, w ten sposób można bowiem tłumaczyć deklaracje, że pierwsze samoloty mogłyby trafić nad Wisłę już za pięć lat.

Taki termin dostaw potwierdził przebywający na początku kwietnia w Polsce wiceprezes koncernu Lockheed Martin. Zdaniem Richarda H. Edwardsa Polska mogłaby otrzymać samoloty F-35 już w 2024 r., po 80 mln dol. za egzemplarz, a zatem co najmniej 10 mln dol. mniej, niż wynosi obecna cena jednego samolotu. Oznaczałoby to, że moglibyśmy pozyskać nowoczesne F-35 za cenę zbliżoną do samolotów wcześniejszej generacji. Oczywiście należałoby do tej ceny dorzucić koszty szkolenia pilotów i przede wszystkim budowy odpowiedniej infrastruktury, co mogłoby łącznie z maszynami kosztować 4–5 mld dol. Sam naszpikowany elektroniką kask pilota F-35 kosztuje – wedle różnych szacunków – od 500 do 800 tys. dol. Zakłada się jednak, że finansowanie zakupu myśliwców F-35 zostanie oparte o specjalną ustawę, a więc analogicznie jak w przypadku kupna samolotów F-16 w 2003 r.

Rzecz jasna samo pozyskanie samolotów i przystosowanie infrastruktury do ich obsługi to jeszcze nie wszystko. Kolejne wydatki wiązałyby się z zakupem różnych systemów uzbrojenia, samolot jest bowiem jedynie platformą przenoszącą broń. Warto przypomnieć, że uzbrojenie do F-16 kupowaliśmy stopniowo przez wiele lat i ciągle zamawiamy nowe, aby podnosić wartość bojową samolotu.

Dlatego mówi się o zakupie myśliwców F-35 w dwóch transzach. Najpierw mielibyśmy kupić pierwsze 16 maszyn, a dopiero potem kolejną partię. Docelowo jest nawet mowa o 48 samolotach, ale choć potrzeby uzasadniają taką liczbę, dziś wydaje się to mało prawdopodobne.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to wstępne porozumienie w sprawie F-35 może zostać zawarte jeszcze przed wyborami. Nie byłaby to umowa, ale początek procedury. Jeśli nic jej nie zakłóci, np. kolejna faza wojny politycznej w Polsce, byłby to ogromny krok na drodze do zapewnienia bezpieczeństwa państwu. Warto przy tej okazji dodać, że towarzyszą mu inne małe kroki, takie jak zakup śmigłowców Black Hawk dla Wojsk Specjalnych czy uzgodniony już kontrakt na dostawę czterech helikopterów Merlin dla lotnictwa Marynarki Wojennej. Na razie to niewiele, ale przynajmniej coś wreszcie drgnęło.

Wprawdzie wysokie koszty spowalniają modernizację armii, ale nie możemy jej odkładać na później. Nasze położenie geograficzne i doświadczenia z przeszłości pokazują, że każda zwłoka może nas potem kosztować znacznie więcej.

eprasa.pl 17e0412b07



O zmarłym 500 lat temu genialnym artyście opowiada prof. dr hab. Jerzy Miziołek

Leonardo da Vinci, czyli Steve Jobs do kwadratu

Fot. shutterstock



Przed Kopernikiem stwierdził, że Słońce się nie porusza, a Ziemia ma kształt kuli, przed Galileuszem myślał o koncepcji teleskopu, o grawitacji rozważał jeszcze przed Newtonem

Z prof. dr. hab. Jerzym Miziołkiem, dyrektorem Muzeum Narodowego w Warszawie, rozmawia Aleksandra Jakubowska

500 lat temu 2 maja zmarł we francuskim Amboise Leonardo da Vinci. Tycjan, Rafael Santi, Michał Anioł, Botticelli, Verrocchio – to tylko kilka nazwisk włoskich mistrzów Renesansu, ale Leonardo da Vinci to bez wątpienia ktoś wyjątkowy. Był nie tylko wielkim artystą, lecz także najwszechstronniej utalentowaną osobą w historii. Gdyby żył w naszych czasach, kim mógłby być?

Jerzy Miziołek: Zapewne byłby astronautą albo wybitnym informatykiem, kimś w rodzaju Steve'a Jobsa, ale do kwadratu czy sześcianu, bo jego pojmowanie świata było już wówczas tak niezwykłe, że nawet dzisiaj jego geniusz nie miałby sobie równych.

Nie kimś w rodzaju Billa Gatesa, który kupił w 1994 r. „Kodeks Leicester", 72-stronicowy zbiór notatek Leonarda da Vinci za kwotę ponad 30 mln dolarów? „Kodeks..." okrzyknięto najdroższą książką świata.

Gates jest geniuszem finansowym, a Jobs był wizjonerem, tak jak Leonardo, który był bardzo bliski dialogu z Kosmosem... Przed Kopernikiem stwierdził, że Słońce się nie porusza, a Ziemia ma kształt kuli, przed Galileuszem myślał o koncepcji teleskopu, o grawitacji rozważał jeszcze przed Newtonem. Był uosobieniem renesansowego zmysłu poszukiwania i odkrywania tajemnicy świata. Odkrył ją cząstkowo, nie opisał tego na tyle, choć zostało po nim 7 tys. stron rękopisów, żeby świat mu uwierzył, a poza tym... ile osób czytało jego teksty? Dopiero w XX w. je odkryliśmy. Ale najlepiej świadczy o jego wielkości to, że przy całym ogromie swoich dokonań miał jednocześnie świadomość niedoskonałości i pod koniec życia z goryczą stwierdził: w tak wielu rzeczach się pomyliłem... tyle wspaniałych rzeczy zaplanowałem, tak niewiele mi się udało.

W masowej kulturze jednak da Vinci jest przede wszystkim autorem wielkich dzieł malarskich, w tym „Mony Lisy", „Ostatniej wieczerzy", „Damy z gronostajem", „Św. Anny Samotrzeciej", „Jana Chrzciciela". Gdzieś w sferze anegdoty mieszczą się te opowieści o jego wynalazkach, wyprzedzających epokę machinach, nielegalnych sekcjach zwłok mających odsłonić tajemnicę życia.

W przypadku Leonarda mamy do czynienia z człowiekiem, dla którego malarstwo było istotnym, ale nie najważniejszym, elementem funkcjonowania. W słynnym tekście – dzisiaj nazwalibyśmy go swoistym listem autopromocyjnym – który napisał do władcy Mediolanu, Lodovica Sforzy, oferując swoje usługi, o sztuce malowania wspomina w jednym punkcie spośród kilkunastu. Przede wszystkim przedstawia się jako inżynier, wyna-

Fot. Andrzej Wiktor

lazca, muzyk, matematyk. A przecież artyści cieszyli się wówczas wielką sławą. Kiedy w Spoleto zmarł malarz Fra Filippo Lippi, straże całe miesiące strzegły jego ciała, żeby mieszkańcy Florencji, w której się urodził, go nie wykradli. Artysta jest emanacją człowieka renesansowego.

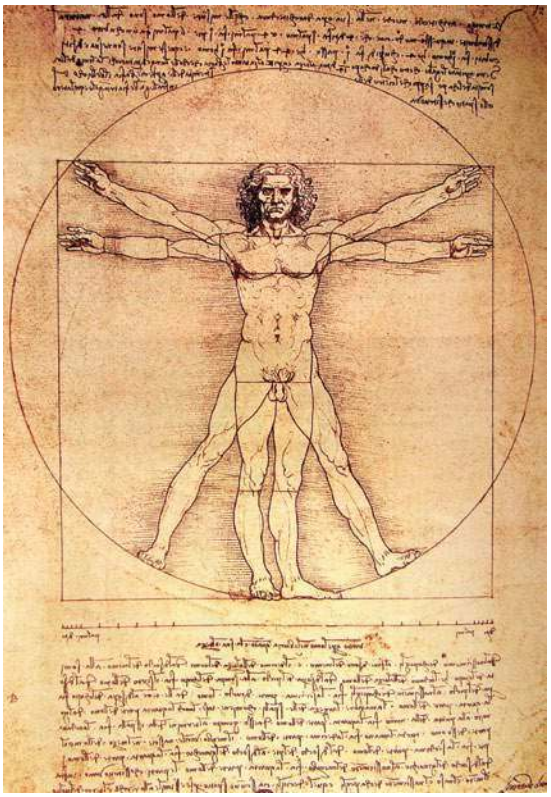
Bardzo mało wiemy o dzieciństwie Leonarda, był nieślubnym synem chłopki i notariusza.

Matka miała na imię Catarina. Wiemy, że pojawiła się też w jego dorosłym życiu, kiedy już mieszkał w Mediolanie, właściwie zmarła w jego ramionach. Ale wychowała go Albiera, żona notariusza Piotra, w miejscowości Vinci położonej na długim wzniesieniu skalnym o wysokości 30–40 m. I tam wśród winnic oraz ogrodów oliwnych Leonardo wyrastał.

Zygmunt Freud napisał jego studium psychologiczne, posiłkując się wydarzeniami z dzieciństwa artysty.

Tak, dzieło nosi tytuł „Leonarda da Vinci wspomnienia z dzieciństwa". Freud niezwykle ciekawie ukazał osobowość geniusza, ale zanalizował i zinterpretował ją zupełnie nieprawdopodobnie. Punktem wyjścia stało się wychowanie przez niebiologiczną matkę, ciągła nieobecność ojca i sen, opisany przez Leonarda w końcowej fazie życia. W tym śnie kania siada na brzegu kołyski i muska skrzydłem jego wargi. Freud, który czytał niezbyt dobre tłumaczenie, widział w ptaku sępa i po licznych wywodach wskazał na inklinacje homoseksualne Leonarda.

Coś w tym jest, bo przecież młody Leonardo wraz z trzema innymi florentyńczykami został oskarżony przez organ policji moralności o „niemoralne kontakty z młodzieńcem oferującym usługi męskiej prostytutki". Nie udowodniono im winy i ograniczono się do oficjalnej reprymendy wobec oskarżonych.



W przypadku geniusza, który był w stanie wymyślić tyle wspaniałych rzeczy, popełnienie błędu przy takim arcydziele, jakim jest „Ostatnia wieczerza", jest niewyobrażalne

W tamtych czasach za udowodniony homoseksualizm groziła śmierć. Nie tylko Leonarda posądzono o inklinacje do tej samej płci. Był wprawdzie otoczony chłopcami, którzy byli jego asystentami, ale z drugiej strony, gdyby preferował towarzystwo młodych dziewcząt, posądzono by go o lubieżność i rozpustę. Prawda jest taka, że on, który znał tak doskonale tajniki ciała mężczyzny i kobiety, uważał, że stosunek płciowy ma w sobie aspekt obrzydliwości, i że gdyby nie piękne twarze kobiet, to dzieci w ogóle by się nie rodziły.

Nie miał żony, dzieci, a po tym oskarżeniu o homoseksualizm był bardzo dyskretny w sprawach swojego osobistego życia. Czy to, że był nieślubnym dzieckiem i w tamtych czasach – przepraszam za to słowo, ale takich określeń wtedy używano – bękarty nie miały prawa wstępu na uniwersytety, jakoś zaważyło na jego przyszłym życiu?

Ceniony artysta, architekt, inżynier, a w notatkach pisze: „powiedz, czy kiedykolwiek czegoś dokonałem?" [...], „chcę czynić cuda". Z tych słów wyziera ogromna niepewność... Kiedy umiera – odwołajmy się do Vasariego, który o tym wspomina – mówi do Franciszka I, który przybył do jego łoża śmierci „o popełnionych błędach [i że] na polu sztuki nie dokonał tego, co było jego obowiązkiem". Prawda jest taka, że mimo genialnych pomysłów człowiek, któremu przyprawił skrzydła, upadł i się połamał. Leonardo, przy całym swoim geniuszu, wiedział o swoich ograniczeniach, ale może właśnie dlatego jest uosobieniem potęgi wyobraźni.

Podobno był mężczyzną rosłym i pięknym, ale niektórzy historycy sztuki twierdzą, że nie zachował się żaden portretowy wizerunek artysty ani dokładny opis jego wyglądu. Zresztą pisał w notatkach z pewną nutą krytyki: „Znałem takich, którzy we wszystkich swych postaciach portretowali jakby siebie samych i w postaciach widzi się ruchy i gesty ich twórców".

Każdy artysta – i tu znowu sięgam do Freuda – jest nie tylko neurotykiem, lecz również narcyzem. Podzielam też przekonanie licznych historyków sztuki, że znamy co najmniej kilka autoportretów Leonarda. Jeden z nich jest w „Pokłonie Trzech Króli", znajdującym się w Galerii Uffizi we Florencji. Młodzieniec stojący po prawej stronie to zapewne Leonardo. Także „Człowiek witruwiański" – wpisany w koło i kwadrat – jest rodzajem

Fot. shutterstock

autoportretu. I wreszcie mamy słynny rysunek w Bibliotece Reale w Turynie – ten nobliwy starzec ze wspaniałymi, obfitymi włosami i długą brodą to bez wątpienia autoportret artysty.

Dwa najsłynniejsze dzieła Leonarda malarza to „Mona Lisa" i „Ostatnia Wieczerza". Ale w naszej kulturze szczególne miejsce zajmuje jedyny w polskich zbiorach obraz Leonarda – „Dama z gronostajem". Poświęćmy zatem chwilę tym dwóm kobietom – jedna jest przeciętnej urody mieszczką, przykładną żoną i matką, druga – piękną, młodą i wykształconą dziewczyną, kochanką księcia Ludwika Sforzy.

Lisa Gherardini, czyli „Mona Lisa", zwana Giocondą od nazwiska męża, bogatego florenckiego kupca Franciszka del Giocondo, i Cecylia Gallerani, czyli „Dama z gronostajem". Pierwszy portret zamówiony przez męża Lisy nigdy nie został mu dostarczony. Mistrz malował go przez cztery lata i nie rozstawał się z nim aż do śmierci. Do „naszego" portretu nie miał być może takiego sentymentu, Cecylia zabrała go z dworu Sforzów, kiedy została odprawiona przez księcia Ludwika przed jego ślubem z Beatrice d'Este.

Ale słynna na cały świat stała się przeciętnej urody kupcowa, a nie piękna kochanka księcia. Uśmiech Giocondy od wieków fascynuje, jest zagadką, niezgłębioną tajemnicą.

Pięknie opisał tę twarz i uśmiech Vasari: „Ktokolwiek chce widzieć, jak sztuka zdolna jest naśladować naturę, tutaj dojrzy to bez trudności. Albowiem najmniejsze szczegóły oddane są z możliwą delikatnością. Oczy mają blask i wilgotność żywych. Wokół oczu dają się zauważyć czerwono-niebieskie żyłki i brwi, jakie tylko z największą lekkością można wykonać. Widać rzęsy wyrastające z powiek, rzadkie i wygięte, które nie mogą być namalowane naturalniej. Nos, ze wszystkimi pięknymi swymi cieniami, różowymi i miękkimi, zdaje się być żywy. Usta w kątach i w zaokrągleniu, tam gdzie czerwień warg łączy się kolorem twarzy, wydają się prawdziwe,



Fot. Mirosław Żak/MNK

jak ciało i krew. Kto dobrze przypatrzy się wgłębieniu szyi, zobaczy uderzenie pulsu".

Opis piękny, ale nie wyjaśnia magii tego uśmiechu.

Niektórzy widzą w tym portrecie twarz Leonarda... Odnoszę wrażenie, że on zawarł w „Monie Lisie" marzenie o androgenicznej doskonałości. Leonardo ukazał naturalność uśmiechu, który nie rozkwita, on się rodzi. Zawsze coś, co jest wczesne, co jest narodzinami, jest tajemnicą. „Mona Lisa" jest najbardziej dojrzałym efektem jego twórczości. Wszakże ja osobiście uwielbiam Cecylię Gallerani. Gdybym miał wybrać między tymi dwoma obrazami, wybrałbym naszą „Damę z gronostajem". Ona jest bardziej naturalnie kobieca. To piękna kobieta...

...ale zimna, nie przyciąga tak jak Mona Lisa.

Raczej nieco smutna, zapewne brzemienna. Wie, że prawdopodobnie będzie oddalona z dworu swojego kochanka, a ma 17–18 lat. Leonardo umiał malować prawdziwe odczucia ludzi. Poza tym jak cudownie jest namalowana jej prawa ręka, a ta pu-

szystość futerka zwierzątka, która sprawia wrażenie, że możemy je pogłaskać, jak kota siedzącego na naszych kolanach. Takie malarstwo było marzeniem wielu artystów. A z drugiej strony – uśmiech Mony Lisy jest tak czarowny, że nikt nie jest w stanie namalować czegoś, co choćby się zbliżało do oryginału. Żaden z uczniów Leonarda, mimo że przebywali z nim niekiedy całe lata, nie był w stanie powtórzyć nawet cienia urody tego uśmiechu.

„Mona Lisa" stała się sławna dopiero po kradzieży w 1911 r. Ale jak to się stało? Wisi sobie ten obraz w Luwrze, przychodzi szklarz, zdejmuje portret ze ściany i dwa lata trzyma go pod łóżkiem...

Włoski imigrant myślał, że Francuzi ją ukradli Włochom. „Moim marzeniem jest zwrócenie arcydzieła ziemi, z której pochodzi, i krajowi, który był jego natchnieniem" – napisał do marszanda. Ale to nie do końca prawda, bo – jak twierdzą niektórzy badacze – bezskutecznie usiłował ją sprzedać.

Przecież francuski król Franciszek I podobno kupił ten obraz za równowartość dzisiejszych prawie 10 mln dolarów. Leonardo tak kochał ten obraz, wszędzie go z sobą zabierał i sprzedał?

To tylko jedna z wersji. W moim głębokim przekonaniu obraz dostał się w ręce Franciszka I po śmierci artysty. Leonarda nigdy nie interesowały pieniądze. Posiadał piękne konie, bo koń był jego ulubionym zwierzęciem, choć zachwycał się też ptakami, które kupował u ulicznych sprzedawców tylko po to, by je wypuścić na wolność. Nigdy nie zgromadził majątku. Nie sprzedał „Mony Lisy", ten obraz był częścią jego jestestwa. A co do sławy portretu pędzla Leonarda, to proszę pamiętać, że jako artysta został on odkryty w pełni dopiero w XX w. Wcześniej wzorem doskonałości w malarstwie był nie Leonardo, tylko Rafael Santi. Leonardo we wszystkich dokonaniach, tych dotyczących projektów ze świata techniki i malarstwa, uzyskiwał jednak doskonałość. Dziś, kiedy wiemy tyle o Leonardzie jako inżynierze, rysowniku, architekcie, organizatorze renesansowych eventów dworskich, które kosztowały krocie, zdajemy sobie sprawę z tego, że wyprzedził wszystkich.

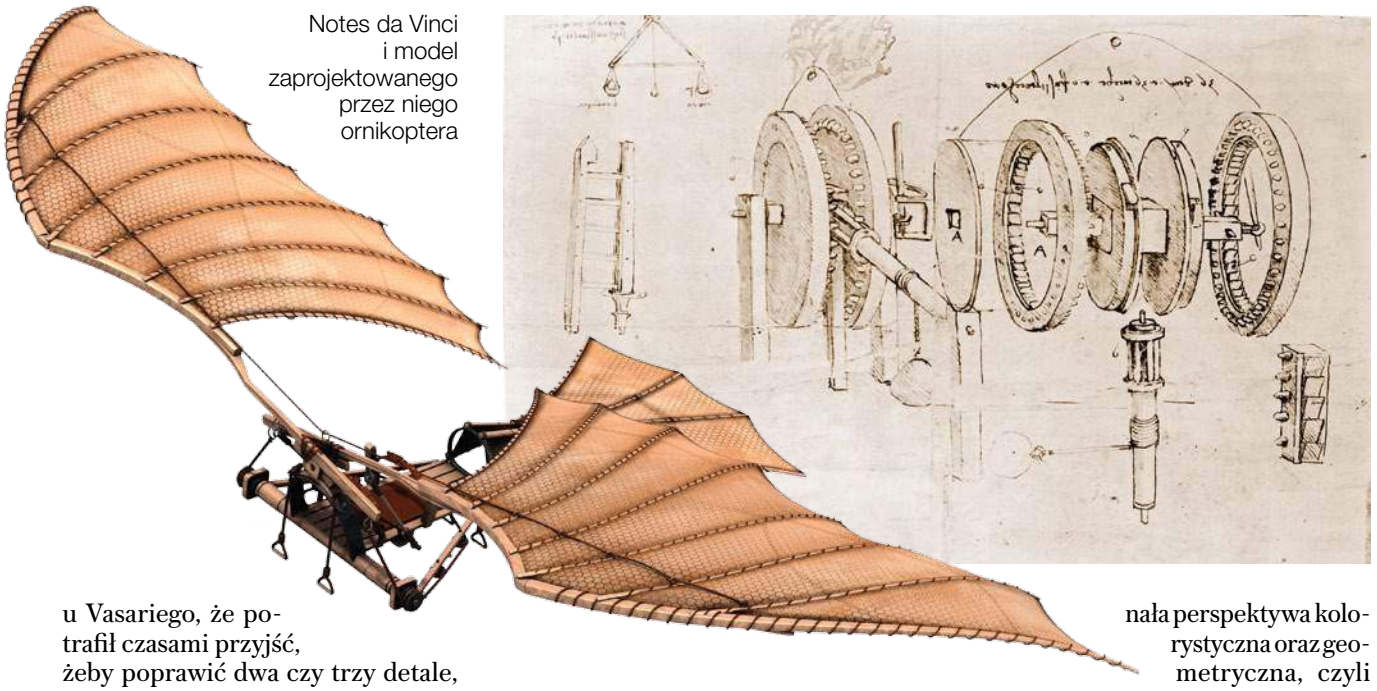


Fot. S-F/Shutterstock.com

„Monę Lisę" mistrz malował przez cztery lata i nie rozstawał się z tym obrazem aż do śmierci. Do „naszego" portretu „Damy z gronostajem" nie miał takiego sentymentu

Jak to się stało, że człowiek, który był w wielu dziedzinach perfekcjonistą, zastosował przy malowaniu „Ostatniej wieczerzy" metodę, która z góry była skazana na niepowodzenie? Zamiast wykorzystać znaną technikę malowania fresków wymyślił coś swojego, co spowodowało, że to dzieło zaczęło niszczeć już za jego życia.

Tak naprawdę jest to dla nas tajemnicą. To nie jest ani technika al fresco, ani al secco, to malowidło w dużym stopniu olejne na tynku. Leonardo nie był zadowolony z efektu namalowania tego dzieła farbami olejnymi i poprawiał je bez końca. Czytamy



Notes da Vinci i model zaprojektowanego przez niego ornikoptera

Fot. Shutterstock x2

u Vasariego, że potrafił czasami przyjść, żeby poprawić dwa czy trzy detale, odejść i nie wracać przez kilka dni. I te uzupełnienia całkowicie się wykruszyły. W przypadku geniusza, który był w stanie wymyślić tyle wspaniałych rzeczy, popełnienie takiego błędu przy takim arcydziele jest niewyobrażalne, ale być może po prostu był przekonany, że znajdzie możliwość położenia ostatecznego werniksu, zakonserwowania malowidła. Ale to było niewłaściwe myślenie, bo fresk musi oddychać.

Może to wynikało z tego, że tradycyjna technika nakładania fresku nie odpowiadała Leonardowi...

W przypadku fresku tynk kładzie się na taką powierzchnię, jaką artysta jest w stanie zamalować w ciągu pięciu–sześciu godzin. Musi nastąpić proces karbonizacji, czyli powiązania pigmentu z wapnem. Gdy do tego dojdzie, to fresk może przetrwać wieki. A on to malował cztery lata – przychodził, dotykał pędzlem w kilku miejscach i odchodził. To, że „Ostatnia Wieczerza" jest dzisiaj cieniem dawnego malowidła, tworzy niesłychaną atmosferę. Leonardo każe nam się domyślać i mówi tak: „Człowieku, widzisz tylko cień mego dzieła, pomyśl, jakie by było wspaniałe, gdyby było freskiem". Pośpieszne malowanie nie leżało w jego naturze.

Okres świąt Wielkanocy to dobry moment, by opowiedzieć o wspaniałości tego dzieła. Przecież Leonardo nie był pierwszym malarzem, który uwiecznił moment ostatniego posiłku Jezusa z jego Apostołami.

Jeśli porównamy tę kompozycję z wcześniejszymi przedstawieniami ostatniej wieczerzy, to zauważymy, że Apostołowie siedzą obok Chrystusa, a winowajca, czyli Judasz, znajduje się po drugiej stronie stołu. Brzydki, odstający, wręcz wulgarnie wyobcowany. U Leonarda mamy genialny układ – cztery trójkąty, w każdym trzech Apostołów, i w środku samotny Jezus. Wszyscy usłyszeli słowa „Jeden z was mnie zdradził" i zbijają się jak kuropatwy w te cztery grupki. Na twarzach każdego z Apostołów malują się silne przeżycia, mamy portrety duchowe 13 osób, każda z postaci wykonuje inny gest, charakteryzujący jej stan emocjonalny. Widzimy nawet nóż w ręku Judasza... To malowidło jest emanacją perfekcji, geometrii, jest tam i doskonała perspektywa kolorystyczna oraz geometryczna, czyli są dwa wymiary, które tworzą tę niesamowitą iluzję przestrzeni.

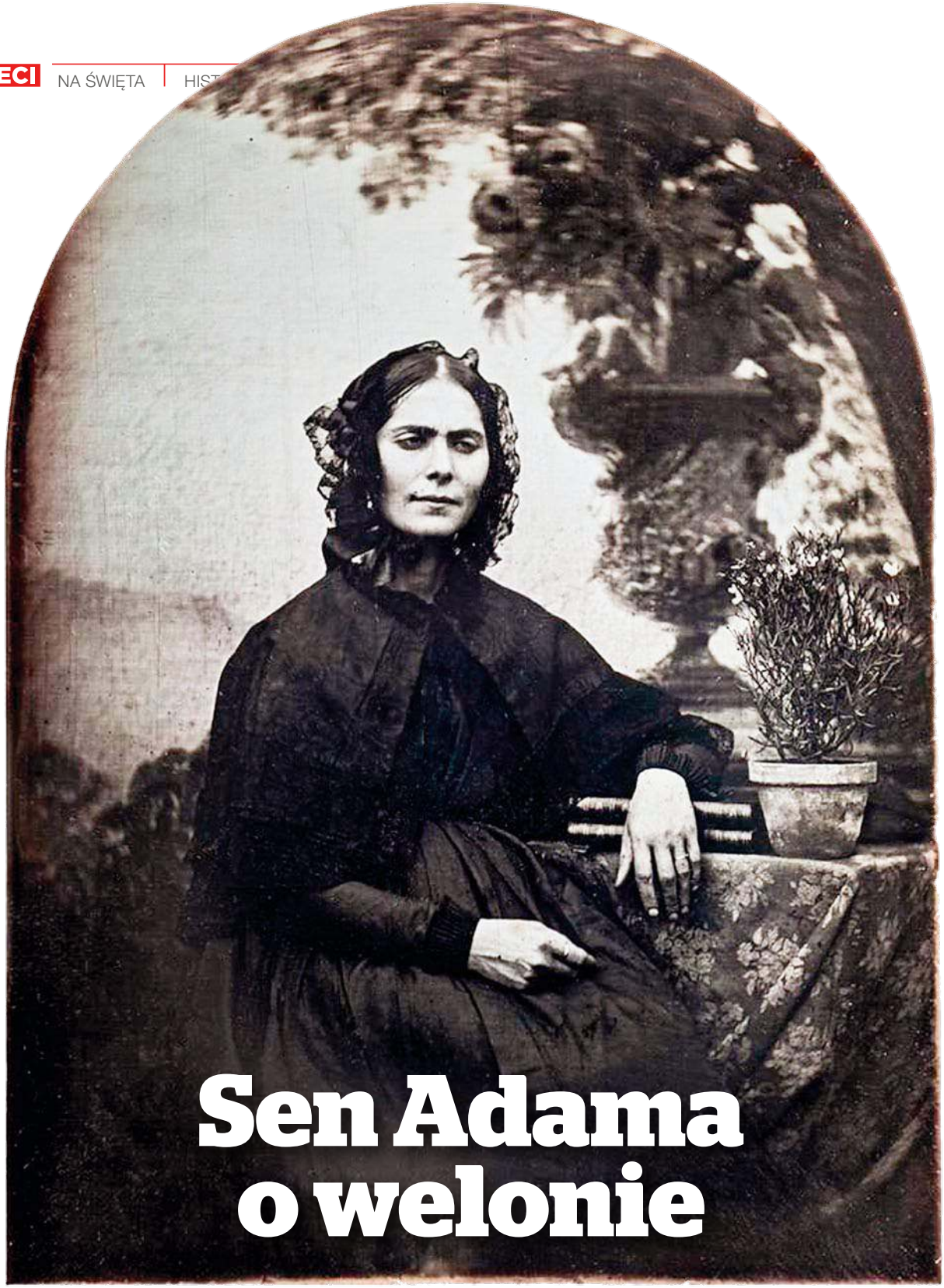
W Muzeum Narodowym w Warszawie od 9 maja do końca czerwca br. odbywać się będą pokazy multimedialne wszystkich dzieł malarskich Leonarda da Vinci, w tym „Ostatniej Wieczerzy".

Wydawać by się mogło, iż sporo wiemy o życiu i twórczości Leonarda, ale odnoszę wrażenie, że im więcej wiemy, tym więcej zadajemy sobie pytań.

Leonardo jest jedną wielką legendą – unika autobiograficznych wypowiedzi, na tych ocalałych 7 tys. stron, które napisał i zilustrował, poza trzema–czterema przykładami nie podaje żadnych osobistych faktów. Mamy do czynienia z emanacją człowieka poszukującego tajemnicy stworzenia, tajemnicy Boga zawartej w ludziach, a jednocześnie kogoś, kto próbował zgłębić tajemnice przyrody, np. wielką dramaturgię burz.

Do naszych czasów ocalało 15 obrazów Leonarda. Gdyby nie został obdarzony aż tyloma talentami, tylko malarskim, to wiele rozpoczętych czy też projektowanych dzieł byłoby skończone, ale chyba takiej legendy Leonardo da Vinci by po sobie nie zostawił.

Te 15 czy 16 dzieł na zawsze zmieniło oblicze sztuki. W pełni wystarczyły współczesnym Leonarda, a dziś zdumiewają nas z ogromną siłą, wdziękiem i doskonałością.



Sen Adama o welonie

Fot. Biblioteka Narodowa

Małżeństwo Celiny i Adama Mickiewiczów było katastrofą. Tak musiało się skończyć zderzenie mistycznej wyobraźni sławnego już wówczas poety ze znacznie młodszą, niezrównoważoną psychicznie dziewczyną. A jednak przeżyli razem 20 lat i doczekali się szóstki dzieci

Adamowi Mickiewiczowi przyśniło się kiedyś, że dostał zaproszenie na ślub. Nie byłoby w tym jeszcze nic dziwnego, gdyby nie to, że panem młodym miał być on sam, bilecik z zaproszeniem był zaś wypełniony symbolami Męki Pańskiej. Bicze, włócznie, gwoździe, ciernie, rzecz jasna również sam krzyż, początkowo nie zaskoczyły poety. Wzdrygnął się dopiero, gdy się okazało, że na sukni panny młodej znajduje się identyczny ornament, a jej twarz skrywa się całkowicie, owinięta długim welonem. Kiedy 22 lipca 1834 r. Adam Mickiewicz i Celina Szymanowska brali ślub w paryskim kościele Saint-Louis-d'Antin, powiew wiatru owinął nagle głowę Celiny długim, „od głowy aż do stóp" – jak zapamiętał Ignacy Domeyko – welonem, Mickiewicz zbladł podobno i szepnął nerwowo: „Celino, odkryj się!".

20 lat później, wracając z pogrzebu Celiny, przypomniał sobie ten sen. „Teraz już wiem, że był on proroczy i zapowiadał mękę małżeństwa" – powiedział wówczas pocieszającemu go Aleksandrowi Biergielowi.

PRZYGODY W PETERSBURGU

Na początku lat 30. XIX w. nic jednak nie zapowiadało żadnej męki. Ignacy Domeyko w liście do córki Mickiewiczów Marii Góreckiej wspominał: „Matka twoja Celina miała długi welun biały [...] piękny bukiet z białego pomarańczowego kwiata, piękna była, wysoka, cudownych oczu, szczęśliwa i Adam najszczęśliwszy z ludzi". Domeyko niekoniecznie przesadzał. Kobiety w rodzinie Szymanowskich były istotnie wyjątkowo piękne, w czym miała z pewnością swój udział domieszka krwi żydowskiej, dodająca ich słowiańskim rysom odrobinę egzotycznego wdzięku.

Maria Szymanowska – matka Celiny – uchodziła za piękność w skali europejskiej, znana zresztą w całej Europie jako bodaj najwybitniejsza pianistka tego okresu. „Jest to nie tylko wybitna wirtuozka, lecz równocześnie piękna kobieta, wszystko więc u niej wydaje się nam powabniejsze" – pisał o niej Goethe, z którym zapewne łączyło ją coś więcej niż przyjaźń. Skądinąd wiadomo, że oczarowała również cara Aleksandra, który ofiarował jej podczas balu w Petersburgu trzeci taniec, co według zasad dworskiej etykiety było faktem niezwykle nobilitującym, zwłaszcza dla córki skromnego warszawskiego piwowara.



WOJCIECH LADA

Zarówno Marię, jak i Celinę Mickiewicz poznał w ich petersburskim domu, w którym bywał chętnie i często – choć trudno w to dziś uwierzyć, będąc duszą towarzystwa i prowodyrem wszelkich hulanek. A tych na petersburskim salonie nie brakowało. Maria była kobietą piękną, sławną, a przede wszystkim wolną, co sprawiało, że mogła sobie na wiele pozwolić. Spacery, herbatki, recitale wspaniałej pianistki, być może również recytacje wierszy poety, z pewnością alkohol – tak mniej więcej wyglądało życie przyszłego wieszcza w Petersburgu, gdzie zesłano go karnie za udział w młodzieżowych organizacjach patriotycznych. Mickiewicz nie stronił od kobiet, był to fakt powszechnie znany.

Pytaniem otwartym jest, dla której kobiety bywał w salonie Szymanowskich? Celina – owszem – była zachwycająca. Uderzająco podobna do matki, a do tego mająca cały wdzięk młodości. Chodzi o to, że wszyscy postrzegali ją wówczas jeszcze jako dziecko. Maria z kolei, choć powoli dobiegała czterdziestki, wciąż była kobietą niezwykle atrakcyjną. Mickiewiczowi – wówczas trzydziestoletniemu – nigdy zresztą nie przeszkadzała ani różnica wieku, ani zaangażowanie partnerki w obowiązki domowe, o czym świadczą choćby jego wcześniejsze przygody z Konstancją Łubieńską i Karoliną Kowalską. Czy coś łączyło więc Mickiewicza z Szymanowską matką?

„Nie można wykluczyć, że tych dwoje łączyło coś więcej. Maria Szymanowska była kobietą zjawiskową, uformowaną przez urodę, wdzięk i talent, a do tego wolną. Musiała mieć »zalotników wielu« i nasuwa się podejrzenie, iż szczęśliwym wybrańcem petersburskiego etapu ich znajomości był właśnie Mickiewicz" – zauważała badaczka romantyzmu Alina Witkowska.

POGRĄŻONA W CZARNEJ MELANCHOLII

Nic nie wskazuje na to, żeby między Celiną a Mickiewiczem narodziła się wówczas jakakolwiek więź emocjonalna. Dla niej był zapewne wielkim już wtedy poetą, który prywatnie okazywał się biegunowo różny od swoich wierszy – swawolny, wesoły i dowcipny, zupełnie pozbawiony romantycznych skłonności do patosu. Pewnie jej imponował, może podkochiwała się w nim miłością podlotka, ale nie było to nic głębszego. Ona dla niego była z kolei czarującą ozdobą salonu, cudownym dzieciakiem – lubianym, ale gdzież tam było do większych emocji.

Co wiemy o Celinie? Była zasadniczo dziewczyną kapryśną, kłótliwą, dość niestabilną emocjonalnie. Wina leżała z pewnością po stronie Marii, która – chcąc wydawać się młodsza – odmładzała też córki, co w ich przypadku miało skutki fatalne. Celina miała lat 15, jej siostra Helena – 16. Dziś wydaje się, że to niewiele, ale według standardów epoki, obie były już pannami na wydaniu, kobietami w każdym razie, a nie dziećmi. Maria tymczasem wychowywała je właśnie jak dzieci, co w okresie dojrzewania musiało wywołać w ich psychice spory zamęt. Franciszek Malewski w jednym z listów zauważył: „Pani Szymanowska ma dwie córki dorosłe, a jeszcze pisklęta". Helena była dojrzalsza i chyba mądrzejsza od siostry. Szybko zrozumiała grę matki i podjęła ją świadomie, bez szkody dla swojej psychiki. Może o tym świadczyć choćby krótki wierszyk, który wówczas napisała.

Kochałam rok i drugi,
Kochałam i trzeci,
Lecz że mnie i moją siostrę
Uważał jak dzieci,
Musiałam ze złością
Chować się z miłością.

Celiny nie stać było na taki dystans. Była dzieckiem w ciele kobiety i właściwie nigdy nie miało się to zmienić. Zwłaszcza gdy doszła do tego poważna depresja, a wkrótce również, prawdopodobnie dziedziczna, choroba psychiczna.

Cokolwiek jednak działo się w umyśle Celiny, na pewno nie było tam miejsca na Adama. Po jego wyjeździe do Paryża kontakt między nimi właściwie zupełnie zanikł. Jeśli pytali o siebie nawzajem w korespondencji ze znajomymi, to ton tych zapytań nie wykraczał ponad standardową uprzejmość. Celina w każdym razie nie uznała za konieczne poinformować go o swoich zaręczynach z Eustachym Puchalskim, on zaś, kiedy się w końcu o nich dowiedział, nie okazywał żadnych emocji poza życzliwym zainteresowaniem. Oboje zupełnie nic dla siebie nie znaczyli.

W 1831 r. w życiu Celiny nastąpiło jednak radykalne tąpnięcie. 25 lipca podczas epidemii cholery zmarła Maria, pozostawiając córki praktycznie bez żadnego zabezpieczenia finansowego. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, ale nie posiadała żadnego majątku, a dom utrzymywała z honorariów za koncerty. To wystarczało na dostatnie życie, bo grała dużo, ale nie na odłożenie poważniejszych oszczędności. Helena – zaręczona w tym okresie – wyszła za mąż i zyskała stabilizację zarówno finansową, jak i emocjonalną. Celina jednak trafiła gorzej. Eustachy Puchalski znikł nagle bez słowa wyjaśnienia, ona zaś została na lodzie.

„Nie ma wątpliwości, bo świadczą o tym listy, że w psychice i świadomości Celiny Szymanowskiej zaszły zmiany wskazujące na depresję. Niechęć do kontaktów z otoczeniem, upodobanie w samotności, fatalistyczne postrzeganie swojego losu, kompleks odrzuconej – wszystko to czyniło z Celiny, kogo? Czy tylko »piękną dziwaczkę«, czy jednak już depresantkę pogrążoną w czarnej melancholii, jak ten typ schorzeń nazywano w medialnym języku epoki" – pisała Witkowska.

Na pewien czas przygarnął ją jej ojciec Józef Szymanowski, wkrótce jednak on również zmarł. Celina pomieszkiwała u dziadków – miała co jeść i gdzie mieszkać, jej psychika znajdowała się jednak w stanie katastrofalnym. „Wszystko widzę w czarnym kolorze" – pisała w liście do siostry. „Przekonana jestem, że ciąży nade mną jakaś siła fatalna" – uzupełniała w korespondencji z przyjaciółką. W listach tych nie było jednak wciąż ani śladu Mickiewicza.

Nie kochali się, ale uczucia, jakie do siebie żywili, zdawały się wystarczać na szczęśliwy związek. „Przyjechała do mnie i zaraz poszliśmy do ołtarza" – poinformował Mickiewicz Hieronima Kajsiewicza. Zaraz, czyli miesiąc później

W CYLINDRZE NA SPACER

Na pomysł zeswatania obojga wpadł dr Stanisław Morawski – dawny filareta i bliski przyjaciel Mickiewicza, a także bywalec salonu Marii Szymanowskiej. Trzeba przyznać, że moment wybrał sobie nie najlepszy – Mickiewicz kończył właśnie „Pana Tadeusza" – jak sam wspominał – „siedział jak ćwiek i pisał", zapewne niespecjalnie miał więc głowę do amorów. Z drugiej strony był już mężczyzną dobrze po trzydziestce, u szczytu sławy. Celinę znał i wiedział, czego może się po niej spodziewać, pewnie poczuwał się w jakimś stopniu do opieki nad nią. Nie wspominając, że była po prostu piękna.

Dla Cecylii Mickiewicz również był atrakcyjny. Znała go praktycznie od dziecka, nie musiała się martwić o wchodzenie w nowe środowisko, co dla osób z depresją jest zawsze dużym problemem. Nie znała co prawda jego sytuacji finansowej – raczej słabej – ale nazwisko wielkiego poety wydawało się gwarantować, że biedować nie będą. Nie kochali się, ale uczucia, jakie do siebie żywili, zdawały się wystarczać na szczęśliwy związek. „Przyjechała do mnie i zaraz poszliśmy do ołtarza" – poinformował Mickiewicz Hieronima Kajsiewicza. Zaraz, czyli miesiąc później.

Emigracyjna opinia nie była przychylna temu małżeństwu, choć trudno dociec, ile w tym zawiści (wobec obu stron), a ile trzeźwej oceny – w Paryżu wszak nie wiedziano o jej chorobie, a niewielu tylko znało trudny charakter dwudziestoletniej pani Mickiewicz. Ciekawie wygląda ich relacja w świetle wspomnień Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, która zanotowała:

„Nie wróżę im wiele szczęścia, bo z obojej strony delikatności nie ma. On na nią woła jak na sługę i ona czasem widać, że triumf swój zakłada w tym, żeby tak wielki jeniusz jej służył – zdejm mi trzewiki! Idź precz! Co ci do tego! Co można z ust jej usłyszeć do męża w gościnie – ale za to w domu on woła: Nałóż mi lulkę! Przynieś drzewa!".

Z opinią taką zgadzał się też m.in. Andrzej Towiański – na pewnym etapie bardzo bliski obojgu. Ale to nie potrzeba dominacji obojga była tu największym problemem; podobnie jak nie była nim gruboskórność Mickiewicza – wrażliwego na papierze, ale nie w życiu – ani też brak umiejętności prowadzenia domu przez Celinę, czy jej żydowskie pochodzenie, które owszem, wypominano jej często, choć chyba nigdy w oczy. Zresztą choćby po tym, że dość regularnie rodziły im się kolejne dzieci – na przestrzeni 15 lat, między 1835 a 1850, spłodzili ich sześcioro – widać, że wspólne pożycie, mimo spięć, jakoś się jednak układało.

Realnym problemem była jednak choroba Celiny, która wkrótce po ślubie zaczęła się pogłębiać. Któregoś dnia np. obcięła włosy. Już samo to szokowało Paryż, cóż dopiero, gdy zaczęła wychodzić na ulice w cylindrze. Innego dnia poszła zbierać datki na szpital dla emigrantów. Spotkała wówczas m.in. poetę Hipolita Błotnickiego, który zanotował potem: „Pani Mickiewiczowa przyjeżdżała

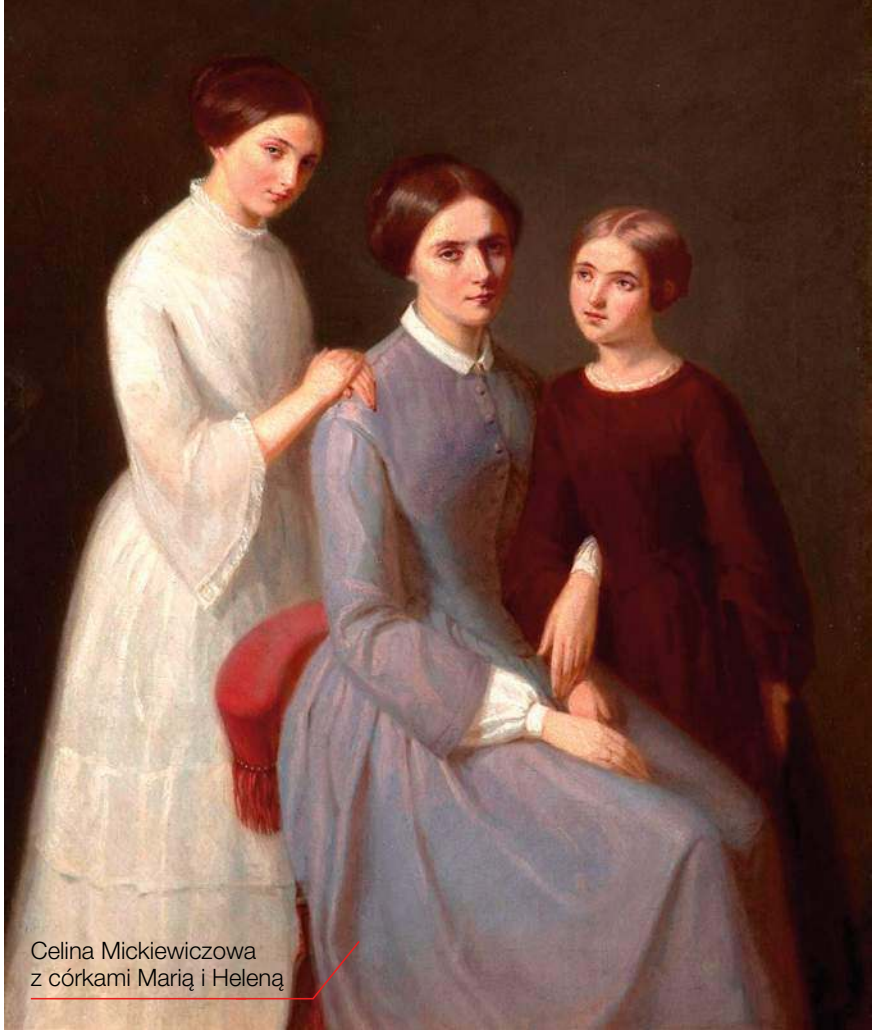
z kwestą. Była już w wilii wariacji [...] Gada, co ma na sercu, a czego by nigdy nie śmiała, będąc zdrową".

To, co widział Błotnicki, a podobne wrażenie zanotował również Julian Ursyn Niemcewicz, było zaledwie preludium. Choroba z całą siłą wybuchła pierwszy raz 4 listopada 1838 r. Celina biegała we wszystkie strony, wykonując nieskoordynowane ruchy, recytacja przechodziła w spazmatyczny śpiew, a teatralny szept w wykrzykiwaną przepowiednię. Co gorsze, całą tę swoją szaleńczą narrację wygłaszała słowami romantyków – trochę tak, jakby wydawało jej się, że jest jedną z bohaterek ich poematów. Brzmiało jak ironia z ich patosu, mistycyzmu i mesjanizmu. Ale nie była to ironia. Była to choroba.

„Nie znaczy to, że Celina Mickiewicz oszalała wskutek poezji romantycznej, a zatem – była jej ofiarą. Nie, ale język, jakim mówiła jej choroba, był romantyczny. Jej zdeformowana wyobraźnia żywiła się kształtami romantycznych światów, tam zamieszkała i zgubiła drogę powrotną ku ludzkiej zwyczajności" – pisała prof. Witkowska. Zarówno badaczka, jak i świadkowie tego szaleństwa podkreślają, że cechowała je doprowadzana do egzaltacji religijność – czasem Celinie zdawało się, że jest wieszczką, czasem – Matką Boską.

DŁOŃ TOWIAŃSKIEGO

Wraz z wizjami zmieniła się także osobowość Celiny. Z w gruncie rzeczy dość dziecinnej, choć pogrążonej w depresji dziewczyny stała się nagle postacią charyzmatyczną. Ci, którzy ją wówczas widzieli, wspominają o „twardym spojrzeniu", o rozkazującym tonie, w jakim zwracała się praktycznie do każdego. I to właśnie opiekę nad nią czyniło tak trudną. Mickiewicz, trzeba przyznać, stanął w tym momencie na wysokości zadania. Pielęgnował ją, wzywał doktorów, był nieustannie obecny – prawda jest jednak taka, że jedyne, co mógł zrobić własnymi siłami, to jej pilnować. Relacje wszystkich praktycznie świadków wspominają o tym, że w ciągu kilku zaledwie dni poeta zaczął siwieć, bardzo schudł i się postarzał. Eustachy Januszkiewicz dodawał, że „Adam chciał się z trzeciego piętra rzucać".



Celina Mickiewiczowa z córkami Marią i Heleną

Fot. Biblioteka Narodowa x2

Co ciekawe jednak, cała ta walka z obłędem Celiny bardzo małżonków do siebie zbliżyła, a zwłaszcza Adama do niej. Ich emigracyjni znajomi byli zaskoczeni uczuciem, z jakim wspierał ją w chorobie. Nawet cyniczna Klementyna Hoffmanowa musiała przyznać: „Nigdy sobiem nie wystawiała, żeby on tak mocno był do niej przywiązany, w żadnym romansie takich dowodów miłości małżeńskiej nie opisano, jakie on jej dawał i daje".

Atak choroby został powstrzymany ostatecznie w kwietniu 1841 r. po kilkumiesięcznej kuracji w szpitalu psychiatrycznym w Vanves, ale nie znaczy to, że została ona wyleczona. Nawrót obłędu nastąpił latem 1841 r. – bardzo nieoczekiwanie. Mickiewiczowie mieli wówczas za sobą okres pobytu w Szwajcarii, narodziny trzeciego dziecka – córki Heleny – zasadniczo miesiące bardzo szczęśliwe i bogate w życie towarzyskie. A jednak atak znów był na tyle silny, że Celina musiała zostać hospitalizowana. I w tym właśnie momencie w życiu ich obojga pojawia się postać, która ukształtuje ich relacje na kolejnych kilkanaście lat.

Andrzej Towiański – dla jednych mistyk i święty wizjoner, dla innych zdrajca i hochsztapler, postać na tyle kontrowersyjna, że spory o niego trwają do dziś. Nie ma natomiast wątpliwości, że jego mesjanistyczna filozofia, zakładająca m.in. to, że Polacy jako naród szczególnie doświadczony cierpieniem mają do odegrania szczególną rolę w boskim planie zbawienia świata, odcisnęła potężne piętno na polskim romantyzmie. Zwłaszcza że ulegli jej najwięksi jego twórcy, czyli Juliusz Słowacki i właśnie Mickiewicz, który wraz z Celiną został członkiem jego Koła Sprawy Bożej. Syn tego ostatniego, Władysław, zauważał w „Pamiętnikach": „Nie tu miejsce wskazywać, ile z pojęć Towiańskiego czerpali wieszcze nasi; Zygmunt Krasiński, złorzeczący mu ciągle, wiele jednak z jego poglądów w szatach poetyckich puścił w obieg".

Kiedy Towiański pojawił się w Paryżu, bardzo potrzebował zbliżyć się do środowisk emigracyjnych. Nie było to łatwe, bo po pierwsze – miał opinię dziwaka, a po drugie – jego radykalny pacyfizm zupełnie nie pasował do nastrojów panujących

wśród Polaków, chcących na gwałt przygotowywać kolejne powstanie. Okazji dostarczyła mu choroba Celiny. Na jego sugestie Mickiewicz zgodził się odebrać ją ze szpitala. Kiedy zaś wróciła, 30 lipca 1841 r., Towiański w teatralnym geście położył jej dłoń na głowie i wyszeptał jakieś słowa i... Celina wyzdrowiała.

Sam Towiański zupełnie bagatelizował sprawę, uznając, że tylko „poruszył jej ducha dla Boga, otrzymała więc pomoc duchów tamtego świata" – nie widział w tym żadnej swojej zasługi. Mickiewicz w zasadzie też usiłował podejść do sprawy racjonalnie, ale chyba nie potrafił. „Uzdrowieniu mojej żony towarzyszyły okoliczności cudowne. Opisywać je byłoby długo. Bogu wiadomo, że prawdę piszę" – zwierzał się w jednym w listów. Choć zaprzeczał, by była w tym jakaś zbieżność, faktycznie jednak od tego momentu zaczął podzielać wizję Towiańskiego. Mało tego – stał się jej największym orędownikiem, co, zważywszy na sławę, jaką się cieszył, również z samego Towiańskiego uczyniło postać najwyższego zainteresowania. W Paryżu wybuchł ferment.

„Wieść ta zakrawa na bajkę, rozleciała się w mgnieniu oka po emigracji paryskiej i wzruszyła wszystkie umysły najpiękniejszymi marzeniami. Co to jest? Nie pojmuję, ale czułem dziwną radość" – pisał wówczas poeta Seweryn Goszczyński. I dodawał: „Mickiewicz był wtedy rozpromieniony, dziwnie pogodny, a natchnienia pełen. Rozmawiał serdecznie, używając najświetniejszych porównań, najdobrańszych, najjędrniejszych wyrażeń. I w tej pierwszej chwili nie przynaglał, aby uznać posłannictwo Towiańskiego, raczej objawiał zaufanie, że wszyscy uczciwi ludzie pójdą za prorokiem".

MAŁŻEŃSTWO SPRAWY BOŻEJ

Cokolwiek się stało w mieszkaniu przy rue de Seine 63, sprawiło, że małżeństwo Mickiewiczów drastycznie zmieniło swój charakter. Z trudnego związku genialnego artysty i pięknej dziewczyny o zwichrowane psychice zamieniło się w relację z pogranicza sekty. Oboje stali się żarliwymi wyznawcami idei Towiańskiego, a swoją relację zaczęli postrzegać w kategoriach religijnych.



„Dziś celem małżeństwa musi być wzajemne zbawienie dusz, to jest, aby mąż i żona tym żyli, jak ją podnosić, uszlachetnić, zamienić w chleb powszedni. Inaczej małżeństwo będzie piekłem. Z człowiekiem innych niż ty celów podróżować nie można, za kilkanaście godzin znudzi ciebie; a cóż dopiero z żoną, która by nie sympatyzowała z celami twoimi. Stąd te wszystkie klęski tak często dziś narzekających małżeństw; na pozór wszystko dobrze, a wewnątrz piekło. Tam tylko doskonałe jest małżeństwo, gdzie jest ciągła obopólna praca duchowa" – tłumaczył Mickiewicz Aleksandrowi Chodźce w 1849 r.

Być może tak myślał, ale tak naprawdę owa „praca duchowa" wykonywana była raczej jednostronnie przez Celinę. Być może w obawie przed nawrotem choroby uzależniła się całkowicie od Towiańskiego. Zachowywała się jak religijna neofitka, a małżeństwo zaczęła traktować jak rodzaj braterstwa – w pewnych granicach oczywiście, bo na świat przyszła jeszcze trójka ich dzieci. Mickiewicz również zaufał mistrzowi Towiańskiemu, ale on akurat nie był skłonny do neofickich uniesień. Kontakt z nim raczej wyciszył go i uspokoił, niż natchnął religijnym żarem. I to właśnie podzieliło małżonków. Mickiewicz odsuwał się od Celiny, jej niestabilność emocjonalna irytowała go – zawsze miał wiele kobiet, ale po ślubie kochanka pojawiła się dopiero teraz. Jak zauważała prof. Witkowska: „Z czasem doskonale rozpoznał właściwości tej choroby: gwałtowny emocjonalizm żony, uczuciowe egzaltacje, skłonność do agresji i fałszywych ocen. Toteż nigdy i w niczym nie mógł jej zaufać".

Jeśli nawet tak było, to oboje atmosferę tę dobrze ukrywali. Przynajmniej przed dziećmi. Władysław Mickiewicz nie jest co prawda źródłem bardzo wiarygodnym – całe życie poświęcił na tuszowanie mniej chwalebnych chwil z życia swojego ojca, w tym angażującego go emocjonalnie u schyłku małżeństwa związku z Ksawerą Deybel. Nawet jednak on wyczuwał, że pod pozorem spokojnego pożycia tkwiło w relacji rodziców coś niepokojącego. Jak pisał po latach: „Wstrząśnienia, które groziły domowemu ognisku i niepokoiły przyjaciół rodziców, nie psuły wcale humoru dzieciom. Rosły w otoczeniu, gdzie spokój, jak się zdawało, był tylko zakłócony długotrwałą chorobą matki".

A choroba postępowała. Jeśli Towiański naprawdę czegoś dokonał w związku z jej zdrowiem, to co najwyżej w jakiś sposób powstrzymał atak – z całą pewnością jej nie wyleczył. Jak opowiadał dalej Władysław Mickiewicz: „Gdy wieczorem dogadzała gościom lub siadała do fortepianu, nie zdradzała niczym napadów choroby, które jej w dzień i w nocy prawie nie opuszczały. Najpierw tylko czasem, a potem coraz częściej przestała się zjawiać w salonie i gabinecie – wówczas ojciec szedł do niej. Z jego spojrzenia chcieliśmy wyczytać, jaki jest stan zdrowia, ale on był spokojny i do ostatnich dni nie przewidywał katastrofy; zresztą i nasz doktor w jej bliskość nie wierzył".

Ostatni dzień nadszedł 5 marca 1855 r. Nie wiemy, co czuł Mickiewicz. Przygnębienie? Ulgę? Możliwe, że jedno i drugie. W liście do Konstancji Łubieńskiej wspominał, że Celina w ostatnich słowach obiecała wspierać go zza grobu, co skomentował dość cynicznie: „Czemuż tego nie było za życia". Cokolwiek jednak czuł, nie trwało to zbyt długo. Zmarł zaledwie osiem miesięcy po Celinie.



Wojownicy na górze

Fot. Bartosz Krupa/East News

Polityczne żywoty równoległe Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska



STANISŁAW JANECKI

Ich wzajemne relacje porównuje się do tych opisanych przez hrabiego Aleksandra Fredrę w wierszowanej bajce „Paweł i Gaweł". W poważniejszej wersji snuje się analogie do tego, co było między Józefem Piłsudskim a Romanem Dmowskim. Od 2001 r. Jarosław Kaczyński i Donald Tusk rozgrywają polską politykę, choć Kaczyński politykiem wagi ciężkiej był już w 1989 r. Skądinąd prezes PiS przez lata pasjonował się boksem i potrafi wymienić nie tylko wszystkie kategorie (także te dawne), lecz i polskich mistrzów. Ale bezpośredniego pojedynku nigdy nie stoczyli. Tusk rywalizował w 2005 r. o prezydenturę Polski, ale z Lechem Kaczyńskim. I przegrał. Obecny przewodniczący Rady Europejskiej uważa, że mierzył się jednak z Jarosławem Kaczyńskim w wyborach do Sejmu w 2007 oraz 2011 r. w Warszawie i wygrał (najpierw stosunkiem 534 241 do 273 684 głosów, a cztery lata później – 374 920 do 202 297). Różni ich wszystko.

Tusk wywodzi się z rzemieślniczo-robotniczej rodziny kaszubsko-polsko-niemieckiej, Kaczyński – z inteligenckiej rodziny warszawskiej, ale wywodzącej się z okolic Odessy i z Galicji. Przodkowie Tuska służyli w armii niemieckiej, Kaczyńskiego – w rosyjskiej. Podczas II wojny światowej dziadek Tuska (Józef) był żołnierzem Wehrmachtu (ojciec miał dziewięć lat, gdy wybuchła wojna), ojciec Kaczyńskiego (Rajmund) – żołnierzem Armii Krajowej, powstańcem warszawskim. Kaczyński jest doktorem prawa, Tusk – magistrem historii. Mimo że stykają się z sobą od początku lat 90., nigdy nie byli przyjaciółmi, a nawet nie znali się zbyt dobrze. Znacznie bliższe relacje łączyły Lecha Kaczyńskiego i Donalda Tuska. W 2019 r. obaj mogą mieć decydujący wpływ na kształt polskiej sceny politycznej, mimo że liderem opozycji jest Grzegorz Schetyna. Nie dojdzie jednak do prezydenckiego pojedynku Tusk–Kaczyński w 2020 r.

NIC NIE ROBIĘ

Od brata Lecha Jarosław Kaczyński usłyszał w 1990 r., że z takimi jak Tusk „można pogadać, sporo wiedzą, ale to potworne kłamczuchy". Rozmawiali w 1991 r. o antywałęsowskiej koalicji (Lech Wałęsa był wtedy prezydentem), ale Tusk obawiał się, że Wałęsa zrobi im „kęsim", czyli ich skrzywdzi. Dlatego wycofał się z antywałęsowskiej koalicji. W tymże 1991 r. Tusk wyłożył Kaczyńskiemu swoje życiowe credo, że „dziewczyny są najważniejsze", a polityka to kwestia mniejszej rangi. W maju 1992 r. Kaczyński toczył z Tuskiem rozmowy o koncepcji wspólnego rządu Porozumienia Centrum, Kongresu Liberalno-Demokratycznego i części Unii Demokratycznej, gdyby nie dało się obronić rządu Jana Olszewskiego. I wtedy nagle Tusk zerwał te rozmowy, „rzucając mięsem". Zmiana frontu wynikała z tego, że Tuskowi zaproponowano funkcję wicepremiera w rządzie Waldemara Pawlaka, który miał zastąpić Jana Olszewskiego. Dlatego zaczął wojować z PC i Jarosławem Kaczyńskim. Wicepremierem u Pawlaka jednak nie został. Gdy powstał rząd Hanny Suchockiej, Tusk przestał wojować, znowu wyznając zasadę, że „dziewczyny są najważniejsze". Wkrótce obaj wypadli z polityki parlamentarnej (pozostawali poza nią w latach 1993–1997). W latach 1997–2001, gdy Kaczyński był posłem, a Tusk senatorem, spotykali się rzadko, krótko i przypadkowo. Na pytanie Kaczyńskiego: „Co robisz?", Tusk najczęściej odpowiadał: „Nic nie robię, przecież jestem wicemarszałkiem Senatu". To stanowisko było idealne dla Tuska w tamtym czasie: dawało jakiś prestiż i nie wymagało większego wysiłku.

Obecny szef Rady Europejskiej zmienił całkiem beztroskie podejście do polityki po założeniu w 2001 r. PO, ale nie była to zmiana gruntowna. A to dlatego, że objął stanowisko wicemarszałka Sejmu i dogadał się z marszałkiem Markiem Borowskim (SLD), że nie musi się przepracowywać. Jak oceniał Kaczyński: „Wtedy wyraźnie bliżej mu było do Marka Borowskiego niż do mnie". W 2002 r. Tusk zademonstrował swoje rozwinięte po 2007 r. polityczne cwaniactwo. Na poziomie województw powstał PO-PiS (głównie z powodu szczupłości kadr), ale na takich warunkach, że – jak potem oceniał Kaczyński – „na tej koalicji wyszliśmy jak Zabłocki na mydle". O PO-PiS nie przestano niezobowiązująco rozmawiać w 2004 i 2005 r. Jedna z takich rozmów między Tuskiem a Kaczyńskim odbyła się w hotelu Bristol. Tusk zastrzegł, iż może przyjść, pod warunkiem że nie będzie płacił za obiad. Wówczas zademonstrował Kaczyńskiemu swoją podwójną naturę: „W cztery oczy zachowywał się zupełnie inaczej niż wtedy, gdy było większe grono, szczególnie jego współpracownicy". W pierwszej sytuacji był szczery, w drugiej – grał, a często dodatkowo demonstrował agresję. Wzajemne kontakty między oboma politykami ociepliły się, gdy wybuchła afera Rywina. Wyraźnie mówiło się wtedy o przyszłej koalicji. Ale wtedy Mieczysław Wachowski wytoczył proces Lechowi Kaczyńskiemu za nazwanie go „wielokrotnym przestępcą". Tusk stanął po stronie Wachowskiego, a wtedy Kaczyński na krótko zerwał z nim kontakty. Potem znowu zaczęli się spotykać, najczęściej w kawiarniach.

DOKTOR JEKYLL I PAN HYDE

W 2005 r. Tusk zapewniał Kaczyńskiego, że nie jest zdecydowany na start w wyborach prezydenckich, gdyż w badaniach zajmował czwarte–szóste miejsce. Gdy przesunął się na czoło sondaży, sprawa startu była oczywista. Kaczyński wspominał, że Tusk był pewny wygranej w pierwszej turze. Ale ostatecznie przegrał. I wtedy prezes PiS dostrzegł, że

doktor Jekyll obecny w Tusku zamienia się w pana Hyde'a. Na przemian rozmawiał, starał się przymilać, by za chwilę zaatakować. To wpłynęło na negocjacje w sprawie PO-PiS, choć Tusk zapewniał, że interesuje go rząd obu partii. Sądził, że PO wygra z PiS, ale nie będzie w stanie rządzić bez partii Kaczyńskiego. Jan Rokita, główny negocjator, opowiedział po latach, że Tusk wymagał od niego symulowania rozmów w sprawie powołania rządu PO-PiS, a wcześniej nie przygotował scenariusza dla Platformy na wypadek zwycięstwa partii Kaczyńskiego. Prezes PiS otrzymywał od Tuska sugestie, że istnieje jakaś tajemnicza, dodatkowa przeszkoda w zawarciu koalicji. Poza przeszkodą w postaci urażonych ambicji szefa PO oraz jego przekonania, że wepchnięcie PiS w konieczność tworzenia innej koalicji bardzo się Platformie opłaci. Kaczyński uważał, iż chodzi o to, że projekt IV RP, który PiS lansowało w kampanii 2005 r., zakładał odcięcie polityki od grup interesów. Często te grupy interesów mieszały się z grupami przestępczymi i ważne było wyświetlenie tego, jak w przeszłości one i przestępcze podziemie wpływały na politykę. Dlatego podczas negocjacji w pewnym momencie PO postawiła problem „gwarancji bezpieczeństwa" dla siebie. Na pytania, o jakie bezpieczeństwo chodzi, padała zagadkowa odpowiedź: „No przecież wiecie". Prezes PiS sądził, że musi chodzić o coś, co działo się w roku 2001 i 2002, czyli wtedy, kiedy PO powstawała i tworzyła swoje struktury. W tym kontekście pojawiało się m.in. nazwisko Mirosława Drzewieckiego, od 2003 r. skarbnika partii. O szczegółach owych „gwarancji bezpieczeństwa" jednak nigdy Tusk z Kaczyńskim otwarcie nie rozmawiał, jakby to był temat niebezpieczny.

> Wzajemne kontakty między oboma politykami ociepliły się, gdy wybuchła afera Rywina. Wyraźnie mówiło się wtedy o przyszłej koalicji

Po wyborach parlamentarnych w 2005 r. wygranych przez PiS Donald Tusk stał się agresywny, także wobec kobiet z własnej partii (na sali sejmowej), co wywoływało ostre reakcje Kaczyńskiego. Prezes PiS twierdził kilka lat później, iż jego partia zdobyła dowody na to, że Tusk zaczął być trenowany w kwestiach socjotechniki ataku, dezawuowania przeciwnika, robienia agresywnej propagandy. O Jarosławie Kaczyńskim mówił jako o „potworze", nawet niby żartując w obecności prezydenta Lecha Kaczyńskiego. A wszystko po to, by już nigdy z PiS nie negocjować, tylko tę partię zniszczyć. Dlatego kampania parlamentarna PO w 2007 r. była bardzo negatywna. Tusk zaczął przedstawiać prezesa PiS jako największe zagrożenie dla Polski, pokazując dwa lata rządów PiS i rok premierostwa Kaczyńskiego jako czarną dziurę. Dlatego debata liderów partii przed wyborami w 2007 r. była tak przez Tuska zaplanowana, by Kaczyńskiego atakowała nawet publiczność, by musiał się bronić i tłumaczyć, podczas gdy Tusk prowadził wielki ostrzał artyleryjski. Gdy PO wygrała wybory, a Tusk został premierem, zaczął wcielać w życie swój pogląd, że w Polsce niewiele da się zrobić. Kaczyński wywodził z tego, że różne patologie są w państwie nie do uniknięcia i trzeba się do tej sytuacji dostosować. „Z jednej strony jest się gwarantem tego systemu, z drugiej – ten system pozwala utrzymać władzę. Dzięki temu ma się poparcie medialne, poparcie najpotężniejszych grup społecznych, a także jednostek, które w tym systemie się świetnie czują i znakomicie rozwijają. Nie można wchodzić w jakiekolwiek konflikty z silniejszymi, z wszystkimi trzeba się ułożyć" – pisał o filozofii Tuska lider PiS.

WOJNA TOTALNA

System rządzenia Tuska nazywał Kaczyński imposybilizmem, samemu uważając, że rządzić się powinno odwrotnie, czyli zakładając, iż bardzo wiele da się zrobić. Imposybilizm w wydaniu Tuska Kaczyński uważał za „cechę mechanizmów prawnych, a w pewnej mierze też pozaprawnych, które niesłychanie utrudniają efektywne działania państwa w jakichkolwiek poważniejszych sprawach. Ten system może funkcjonować, gdyż w ciągu kilku lat wzrastał poziom życia, więc panuje poczucie sukcesu materialnego (oczywiście wcale nie powszechnego). Może też funkcjonować, bo cieszy się potężnym poparciem medialnym. Do tego dochodzi coraz mocniejsze poparcie administracyjne". Kaczyński był przekonany, że system władzy Tuska oznaczał stopniowe ograniczanie marginesów wolności, dążenie do tego, by życie polityczne poddać pełnej kontroli. Polacy mieli się cieszyć takim modelem konsumpcji, który polega na zaspokojeniu bardzo podstawowych potrzeb materialnych i ma zapewniać minimum prestiżu. To model konsumpcji „z trzema kilkunastoletnimi samochodami w rodzinie" zamiast mieszkań, dobrego wykształcenia czy poczucia bezpieczeństwa zdrowotnego. Kaczyński nazwał tę filozofię Tuska „pomysłem na uczynienie z Polski peryferii Europy". Także w tym aspekcie, że Polska stała się „pacynką" Berlina, a z czasem również Paryża.

W latach 2008–2009 Jarosław Kaczyński przygotowywał się do wygrania drugiej kadencji dla Lecha Kaczyńskiego, Donald Tusk zaś stał się bardzo nerwowy, niecierpliwy, wręcz agresywny. Często kłócił się ze współpracownikami, nieustannie ich beształ, rzucał papierami, książkami i przedmiotami. Premier Tusk wtedy najczęściej przesiadywał sam w gabinecie i tylko wzywał różne osoby na krótkie rozmowy – przesłuchania. Jedyną formą wspólnego spędzania czasu były mecze piłkarskie. Ale i tam szef rządu tylko na wszystkich krzyczał, zgłaszał pretensje. Dlatego w pewnym momencie Tusk zgodził się na trening NLP, czyli neurolingwistyczne programowanie. Skądinąd ci, którzy trenowali Tuska, po katastrofie smoleńskiej zaoferowali swoje usługi Kaczyńskiemu. Głównym problemem Tuska w latach 2007–2011 było wojowanie z PiS

przedstawianym jako potężny i podstępny wróg – zgodnie z zaleceniami niemieckiego teoretyka prawa Carla Schmitta. Tusk osiągnął wtedy status nie tylko jednego z dwóch najważniejszych polityków w Polsce, lecz również gwiazdy popkultury. Ówczesny premier wyzbył się dawnych kompleksów, pokonał skłonność do wpadania w depresyjne nastroje. A na zewnątrz Polski zaczęto mu stwarzać perspektywę objęcia jakiegoś wysokiego stanowiska w strukturach UE, czyli albo szefa Komisji Europejskiej, albo przewodniczącego Rady Europejskiej. Kaczyński zauważył, że ktoś, kto wymyślił międzynarodową karierę dla Tuska, sprawił, iż wszystkie decyzje szefa polskiego rządu na międzynarodowym forum zaczęły być zorientowane na Berlin i Paryż. A pośrednio także na Moskwę, czyli najważniejszego sojusznika Berlina na Wschodzie. Ktoś, kto miałby łatkę polityka antyrosyjskiego, nie miałby szans na karierę w strukturach Unii.

RÓW MARIAŃSKI

Wielki rów między Tuskiem a Kaczyńskim wykopała katastrofa smoleńska. „Ten potwór nas powsadza za kraty i możemy nie być w stanie się przed tym obronić" – mówił Tusk w gronie kilku najbliższych współpracowników trzy–cztery miesiące po tragedii. Szczególnie w latach 2009–2010 lider PO absolutnie „przegiął", jeśli chodzi o atakowanie i prowokowanie prezydenta Lecha Kaczyńskiego, co uderzało także w jego brata Jarosława. A już w połowie 2010 r. Tuskowi zaczęło świtać, że Władimir Putin ograł go jak dziecko we mgle. I Tusk zaczął myśleć o odpowiedzialności za faktyczne sprzymierzenie się z ówczesnym premierem Rosji, żeby pognębić prezydenta Kaczyńskiego i nadwerężyć jego wizerunek, a potem za katastrofę smoleńską jako m.in. skutek wojny z Lechem Kaczyńskim, do której włączył się Putin. Dlatego Tusk zaatakował brata prezydenta – Jarosława. To była najlepsza forma odwrócenia uwagi od własnych win. Tusk liczył na to, że prowokowany Kaczyński dostarczy mu argumentów do kolejnych ataków, po których prezesa PiS przedstawi się jako największe zagrożenie dla demokracji w Polsce. I jako żądnego zemsty za Smoleńsk. A sam Tusk bał się tego, co Rosjanie zrobili z materiałów i nagrań, które powstały, gdy upoważnieni przez niego ludzie korespondowali i rozmawiali z reprezentującymi Putina członkami jego administracji, np. ówczesny szef kancelarii Tomasz Arabski. Dlatego w wojnę o Smoleńsk Tusk zaangażował wszystkie siły i wciągnął w nią usłużne media, suto za to nagradzane.

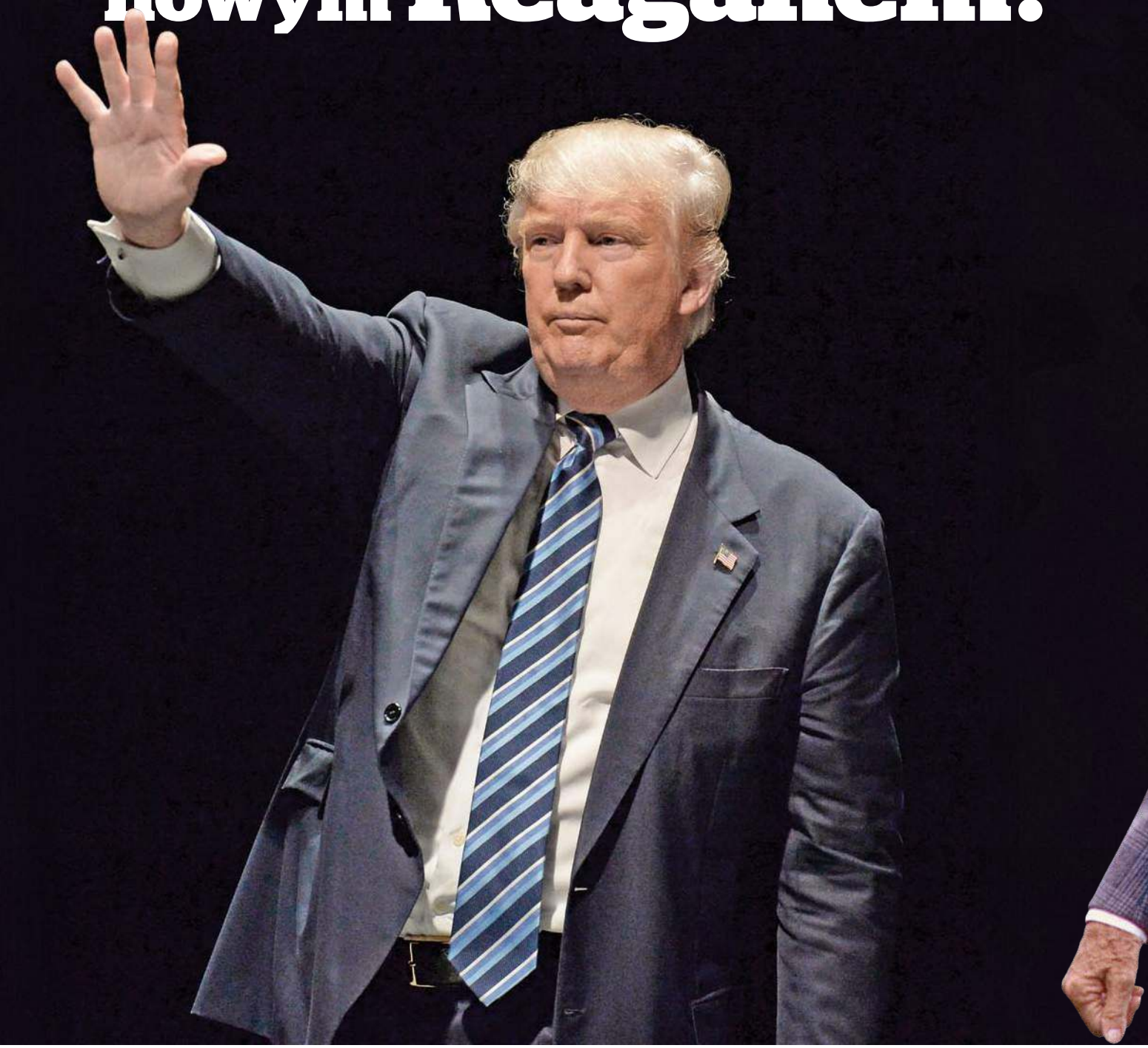
Rację mają ci, którzy nazywają „ucieczką" wyjazd Tuska do Brukseli i objęcie przez niego stanowiska przewodniczącego Rady Europejskiej. To była ucieczka, gdyż Tusk nie radził sobie już ze strachem oraz odpowiedzialnością, a temat smoleński nie dał się zasypać ani ośmieszyć. Czy Tusk także nie radził sobie z poczuciem winy, trudno osądzić, bo jednak potrafi zakładać maski, a cynizm jest jego ulubioną postawą. O tym, że dla byłego premiera Polski to jest ucieczka, dodatkowo świadczy jego całkowite milczenie w kolejne rocznice smoleńskiej tragedii. Tusk chciał to mieć za sobą. A Kaczyński starał się, żeby jego główny polityczny rywal nie miał za sobą smoleńskiej tragedii. Tusk wie także, że ciąży na nim zarówno afera Amber Gold, jak i wyłudzenie z budżetu państwa ok. 250 mld zł w oszustwach na podatku VAT. Ciąży na nim też antypolski kurs unijnych instytucji, czemu nigdy się nie przeciwstawił, a często dolewał oliwy do ognia. Jako wysoki rangą urzędnik UE Tusk nie może bezpośrednio oskarżać Kaczyńskiego, ale wykorzystuje każdą okazję, by obciążać go za „niszczenie demokracji" i zachęcać swoich „żołnierzy" do tego, aby grozili prezesowi PiS Trybunałem Stanu oraz sądami, m.in. za reformę tych sądów, zmiany w Trybunale Konstytucyjnym i Krajowej Radzie Sądownictwa, prokuraturze czy w związku z rozdymaną do granic absurdu sprawą spółki Srebrna i planów budowy wieżowca na jej działce.

Obecnie nic nie zostało z dawnego klimatu znajomości Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska. Nie ma nawet nowych żartów na temat obu tych liderów. Ogromnie zmienił się też ich status materialny: Tusk stał się najlepiej opłacanym urzędnikiem UE (i będzie znakomicie opłacanym emerytem), Kaczyński zaś dopiero wychodzi z długów, jakie zaciągnął w związku z chorobą mamy. Tusk ewoluował w polityce w stronę zapewnienia sobie jak najwyższego statusu i komfortu życia, Kaczyński rezygnował z własnych korzyści na rzecz planu reformowania Polski. Tusk wygodnie się urządził na miarę własnych wyobrażeń i marzeń z 1991 r., Kaczyński nigdy o takie urządzenie się nie zadbał. Kontynuuje etos państwowy takich polityków II RP jak Walery Sławek czy Kazimierz Sosnkowski. Tuskowi jest znacznie bliżej do Ignacego Mościckiego, choć nie ma jego profesorskich kompetencji (nie w polityce, ale w chemii). I także dlatego drogi Kaczyńskiego oraz Tuska już nigdy się nie zejdą.

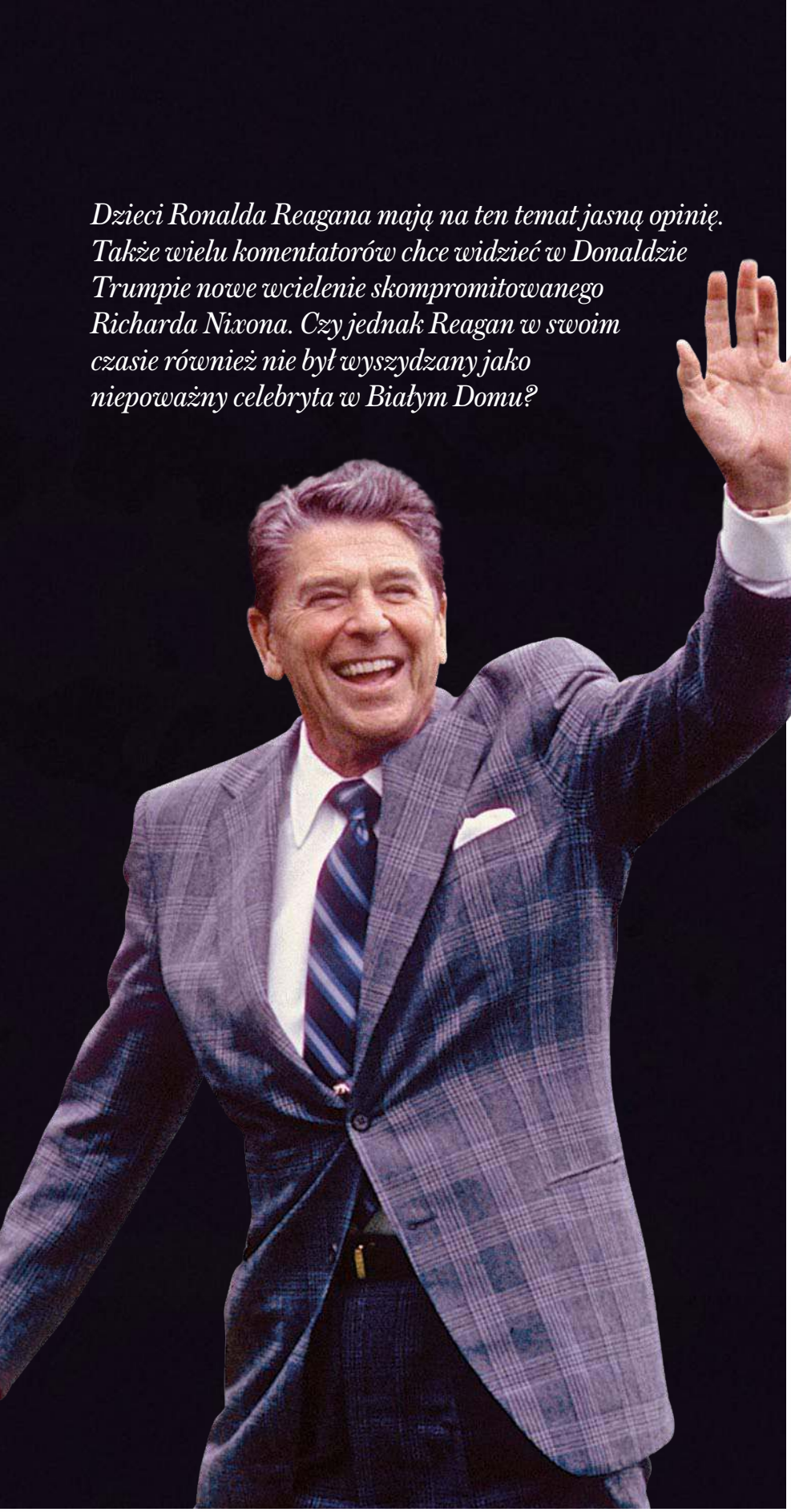


Autopromocja

Czy Trump jest nowym Reaganem?



Dzieci Ronalda Reagana mają na ten temat jasną opinię. Także wielu komentatorów chce widzieć w Donaldzie Trumpie nowe wcielenie skompromitowanego Richarda Nixona. Czy jednak Reagan w swoim czasie również nie był wyszydzany jako niepoważny celebryta w Białym Domu?



Fot. Shutterstock (x2)



ŁUKASZ ADAMSKI

„Byłby zbulwersowany i zrozpaczony, że Kongres odmawia stawienia czoła prezydentowi, który nie tylko wydaje się całkowitym ignorantem w kwestii konstytucji, lecz także próbuje na każdym kroku rozmontowywać nasz system kontroli i równowagi oraz z niego kpić" – mówiła w wywiadzie dla „Washington Post" najstarsza córka Ronalda Reagana o rządach Donalda Trumpa. Patti Davis niejeden raz wypowiadała się ostro o administracji polityka, który bywa porównywany do jej ojca. Davis już w kampanii wyborczej krytykowała Trumpa za jego słowa o Hillary Clinton. „Jeśli Hillary zostanie wybrana w listopadowych wyborach, to mianuje nowego sędziego Sądu Najwyższego, który w składzie tego sądu przeważy szalę na korzyść sędziów liberalnych i w konsekwencji sąd drastycznie ograniczy obywatelom dostęp do broni. [...] Jak ona wybierze swoich sędziów, nic już nie będziecie mogli zrobić. Chociaż... może ludzie od drugiej poprawki będą mogli, nie wiem..." – ostrzegał Trump. Druga poprawka gwarantuje prawo do posiadania broni. Na ówczesnego kandydata na najważniejszy urząd w państwa spadły oskarżenia o podsycanie nienawiści do Clinton. Zinterpretowano jego słowa jako... nawoływanie do zamachu na Clinton. To, że do takich wniosków doszli rozhisteryzowani lewicowcy, nie dziwi. Jednak tak samo słowa Trumpa zinterpretowała właśnie Davis, przypominając, że jej ojciec również padł ofiarą zamachowca z broni palnej.

W podobnym tonie wypowiadał się syn Reagana Michael. „Nie ma nic Reaganowskiego w Trumpie. Mój ojciec miał w sobie pokorę. Tego w Trumpie nie znajdziesz" – mówił w CNN. „Nie poniżał ludzi. Nie patrzył na nich z góry. Rozmawiał z ludźmi, co jest zupełną

odwrotnością tego, co robi Donald Trump" – dodawał. Tyle dzieci Reagana. Ich niechęć do obecnego prezydenta USA wpisuje się w znany opinii publicznej dystans wobec Trumpa ze strony klanu Bushów, na czele z byłym prezydentem USA George'em W. Bushem. Choć obok Trumpa był on chyba najbardziej wyśmiewanym i wyszydzanym przez lewicę prezydentem USA w XX w., dziś woli się pojawiać obok Clintonów niż rządzących Białym Domem republikanów. Czy to oznacza, że Trump nie ma rzeczywiście nic wspólnego z Reaganem poza hasłem „Make America great again", które pojawiało się na ustach obu polityków?

CELEBRYCI Z HOLLYWOOD

Zarówno Reagan, jak i Trump to ludzie wyrośli z show-biznesu. Obaj mają swoją gwiazdę w Alei Sław na głównej ulicy Hollywood. Choć dziś gwiazda Trumpa jest systematycznie niszczona przez wandali, przez lata uchodził on za ikonę show-biznesu. W Alei Sław pojawił się w 2007 r., gdy był u szczytu sławy jako prowadzący i producent reality show „The Apprentice". Obecny prezydent USA należy też do Gildii Aktorów Amerykańskich. Trump jest związany z show-biznesem praktycznie od początku swojej kariery biznesowej. Zagrał samego siebie w „Kevin sam w Nowym Jorku". Pojawił się też w takich hitach jak „Bajer z Bel-Air", „Drew Carey Show", „Spin City", „Seks w wielkim mieście", „Klub 54", „Klan urwisów" czy „Detektyw Monk". W 2005 r. ABC nakręciło film na podstawie jego biograficznej książki „The Art of The Deal".

Kariera aktorska Reagana trwała prawie 30 lat (1937–1964). Nigdy nie stał się on pierwszorzędną gwiazdą jak np. Arnold Schwarzenegger. Obaj zresztą byli republikańskimi gubernatorami Kalifornii i gdyby Arnie urodził się w USA, prawdopodobnie miałby szansę powtórzyć sukces Reagana i zostać prezydentem. Reagan przez pierwsze lata kariery grał w filmach klasy B ze studia Warner Bros. „Nie chcieli, by były dobre. Chcieli je mieć na czwartek" – żartował lata potem. Grał jednak u boku takich gwiazd jak Humphrey Bogart czy Errol Flynn. Jego ostatnim filmem był „The Killers" z 1964 r., w którym wystąpił u boku samego Lee Marvina. W latach 50. Reagan osiadł w telewizji i zaczął spoglądać w stronę polityki. Do Partii Republikańskiej wstąpił jednak dopiero w 1962 r. Według biografa Paula Kengora to w Hollywood Reagan zaczął dostrzegać niebezpieczeństwa rozdętego państwa socjalnego i rządowych regulacji. „Nie opuściłem Partii Demokratycznej. To ona opuściła mnie" – lubił mawiać już jako czynny polityk prawicy. W latach 1959–1960 był przewodniczącym Związku Zawodowego Aktorów Filmowych, ostro rozprawiał się z komunistami w Hollywood. „Reagan starał się zwalczać »czerwoną zarazę«, którą w Hollywood stanowiło ponad 300 członków partii komunistycznej. [...] W późniejszym liście opisywał on siedem miesięcy, które spędził na codziennych negocjacjach z komunistami oraz »ludźmi sterowanymi przez komunistów«. W tym czasie pikietowali oni przed studiem, a w innych miejscach urządzali zamieszki i wysadzali domy. Wielki przemysł filmowy został prawie zatrzymany. Reagan narzekał, że w trakcie »wielogodzinnych spotkań« z komunistami jego próby szczerego dojścia do porozumienia spotkały się jedynie z »nieuczciwością, kłamstwami i oszustwami«" – pisze w „Ronald Reagan. Duchowa biografia" Paul Kengor.

> Zarówno Reagan, jak i Trump to ludzie wyrośli z show-biznesu. Obaj mają swoją gwiazdę w Alei Sław na głównej ulicy Hollywood. Choć dziś gwiazda Trumpa jest systematycznie niszczona przez wandali

Niektórzy biografowie wskazują, że to doświadczenie z przefiltrowanymi przez sowiecką agenturę związkami zawodowymi w „Fabryce snów" pomogło Reaganowi w późniejszych negocjacjach z Michaiłem Gorbaczowem. Sam Reagan żartował, że gdyby nie aktorstwo, nigdy by nie mógł być prezydentem USA. Jest w tym wiele prawdy. Reagan porywał tłumy nie tylko dzięki „reaganomice" i hasłu o odbudowie Ameryki po kryzysowych latach 70. (przegrana w Wietnamie, galopujące ceny benzyny). Podobnie jak inny były aktor Jan Paweł II umiał czarować masy i przekuwać oratorskie zdolności na emocje tłumów. To również w Hollywood Reagan poznał aktorkę Nancy Davis. Pobrali się w 1952 r. i byli sobie wierni do śmierci Reagana w 2004 r. Nancy przeżyła go o 12 lat.

SIŁA SHOW-BIZNESU

Trump również nie był zawsze konserwatystą. Dwukrotny rozwodnik oskarżany o liczne romanse wspierał latami finansowo Partię Demokratyczną i przyjaźnił się z czołówką Hollywood. Dziś jest przez celebrytów publicznie łżony i wyzywany. „Skur...n" – to najmniej radykalne określenie, jakie pada z ust takich wielkich gwiazd jak Samuel L. Jackson. To nic w porównaniu z tym, co spotykało Reagana, gdy walczył z marksistami w Hollywood w latach 50. Grożono mu pobiciem i oblaniem kwasem. Wcielający się nieraz w kowboja aktor długo nie rozstawał się z rewolwerem 32 Smith & Wesson. Niemniej jednak Reagan nie drażnił się tak z celebrytami jak Trump. Oczywiście obu polityków popiera libertarianin Clint Eastwood (choć z innych powodów) i Chuck Norris, ale to przy Reaganie zostało o wiele więcej gwiazd show-biznesu. Trumpa dziś popierają tylko najwięksi kamikadze z ugruntowaną pozycją w Hollywood, jak James Woods czy Jon Voight.

Reagan lubił się posługiwać popkulturowym kodem w politycznej narracji. „To oni mówią o wyższości państwa, o jego wyższości nad jednostką i przewidują,

że państwo obejmie władzę nad całym światem. To oni koncentrują na sobie całe zło tego świata. Kiedy więc dyskutujecie o zamrożeniu potencjałów nuklearnych, postarajcie się uniknąć grzechu pychy, która mogłaby was popchnąć do stwierdzenia, że obie strony tego sporu mają rację, że – ignorując fakty i historię – zignorujecie agresywne działania imperium zła i stwierdzicie, że wyścig zbrojeń jest po prostu nieporozumieniem, a nie walką prawdy z kłamstwem i dobra ze złem" – powiedział 8 marca 1983 r. Wówczas na ekranach kin triumfy święciła druga część sagi George'a Lucasa. Od tego czasu „Gwiezdne wojny: Imperium kontratakuje" nigdy nie zostały oderwane od słów Reagana o sowieckim imperium jako imperium zła. Donald Trump w swoich tweetach lubi się powoływać na popkulturę. Rozwścieczył twórców „Gry o tron", wykorzystując w debacie o potrzebie budowy muru na granicy z Meksykiem hasło „Zima nadchodzi". Lubuje się w cytowaniu filmów i przypominaniu o swoich dokonaniach w telewizji. Nie miał oporów, by wyśmiewać niższą od swojej oglądalność „The Apprentice" z Arnoldem Schwarzeneggerem, który go zastąpił w programie. Reagan miał jednak o wiele mniejsze ego. A może go nie uzewnętrzniał?

Nie można zapominać o innych podobieństwach 40. i 45. prezydenta USA. Obaj są najstarszymi politykami wybranymi na ten urząd. Reagan był pierwszym rozwodnikiem w Białym Domu, blisko związanym z ewangelikami. Trump ma związki z amerykańskimi protestantami jeszcze większe, choć jego życie osobiste plasuje go po stronie wręcz libertyńskiej.

POLITYKA ZAGRANICZNA I ESTABLISHMENT

Sukces Trumpa i Reagana przyszedł też po erze dwóch sympatycznych, charyzmatycznych, ale średnio skutecznych, lewicowych polityków, jak Barack Obama i Jimmy Carter. Ich zwycięstwa nastąpiły niespodziewanie tuż po tym, gdy wydawało się, że lewicowa narracja wygrała w dyskursie publicznym. Obaj zmieniali też kurs bardziej lewicowego spojrzenia na gospodarkę, choć lewica w USA jest również wolnorynkowa. Poza oszołomami socjalistycznymi, jak popularny wśród młodych wyborców Bernie Sanders i nowa gwiazda Kongresu, 29-letnia Alexandria Ocasio-Cortez, zapowiadającymi pewien zwrot w narracji ekonomicznej w pokoleniu milenialsów urodzonych i wychowanych w erze internetu.

Administracje obu polityków ostro tną podatki dla wielkiego biznesu i zwykłych Amerykanów. Reagan przy tym powiększał deficyt, wykańczając Związek Sowiecki wyścigiem zbrojeń. Trump jednak nie jest konsekwentny w swoim neoliberalizmie. W kampanii wyborczej szafował hasłami antyglobalistycznymi. Ocierał się też o keynesizm, jak Richard Nixon. Teraz jednak przebiera się w szaty właśnie 40. prezydenta USA. – Reagan afirmował globalizację, wolny przepływ towarów i kapitału. Był wrogiem protekcjonizmu. Trump poruszał w kampanii tematy związane z niedogodnościami globalizacji – obiecywał ściągnięcie firm na powrót do USA i ochronę własnego rynku. Ale wynika to z różnicy sytuacji. Reagan przemawiał z pozycji Ameryki triumfującej. Trump boryka się z konkurencją Chin, coraz bardziej dolegliwą. Nawiązywał bardziej do tradycji republikanów sprzed Reagana: ochrony własnej gospodarki – mówi publicysta i amerykanista Piotr Zaremba.

Nie można też zapominać, że Reagan był częścią establishmentu Partii Republikańskiej. Trump jest znienawidzonym przez mainstream republikanów outsiderem, który niespodziewanie dla prawicy zmiótł faworytów tej partii w prawyborach. Mimo że Trump jest obecny na amerykańskich salonach od wielu dekad, to również w Nowym Jorku miejscowa liberalna arystokracja finansowa traktowała go jako prostaka z prowincjonalnej dzielnicy Queens, który psuł Nowy Jork wieżowcami z wygrawerowanym wszędzie swoim nazwiskiem. Oczywiście Trumpa i Reagana różni podejście do spraw międzynarodowych wynikające z historii. Reagan, chcąc pokonać Związek Sowiecki, musiał się otoczyć neokonserwatystami, których misją jest szerzenie demokracji na całym świecie. Nie tylko z powodów czysto pragmatycznych, lecz również ideologicznych. Tych samych neokonserwatystów ostro krytykował Trump. Nie za politykę wobec Związku Sowieckiego, ale późniejsze zaangażowanie polityków wyrosłych na ideach Normana Podhoretza, brnących w konflikt w Iraku. Trump już w kampanii wyborczej obiecywał większy izolacjonizm. Nie chodzi o – jak się okazało – wyssane z palca zarzuty o współpracę z Rosją, ale bardziej biznesowe niż polityczne podejście do międzynarodowej polityki Trumpa. Zaremba zauważa jednak, że w polityce zagranicznej Reagan preferował ducha krucjaty, bo miał jednego wroga zasadniczego: sowiecki komunizm. Mimo że Trump głosił jakąś formę izolacjonizmu, to zachowywał się jak Reagan. – Czasami podejmuje wojskowe akcje w duchu Reagana, choćby w Syrii, a potem się z Syrii wycofuje, już nie w tym duchu. Licytacje Trumpa z Iranem i Koreą Północną trochę przypominają hazardowe zagrania Reagana. Ale ten był o wiele poważniejszy. Ruchy Trumpa są poprzedzone tweeterową galopadą wypowiedzi. Choć pojawia się też dziedziczona po Reaganie retoryka – wyjaśnia Zaremba.

Powierzchownie można Trumpa porównać do Reagana. Rację mają chyba ci komentatorzy, którzy mówią, że ekscentrycznemu prezydentowi USA bliżej jednak do Nixona, którego utopiły skomplikowana osobowość i rozdęte ego. Inna sprawa, czy nie chodzi tutaj o próbę włożenia Trumpa w buty prezydenta, który odszedł w niesławie i niełasce. No, ale przecież Nixon miał niewątpliwe sukcesy na arenie międzynarodowej, choćby przełamanie lodów w relacjach z Chinami czy zakończenie wojny w Wietnamie. Trump bardzo liczy na to, że tak samo zostanie zapamiętane jego odprężenie z Koreą Północną.

Trump jest politykiem zupełnie nieprzewidywalnym. W przeciwieństwie do Reagana przed prezydenturą nie pełnił wcześniej żadnej publicznej funkcji. W polityce zagranicznej stosuje zaś chętniej zagrania rekina z Wall Street niż dyplomację. Czyż jednak w swoim czasie Reagan również nie było oskarżany o szaleństwo tylko dlatego, że wierzył, iż Związek Sowiecki musi upaść, i walczył z imperium zła niekonwencjonalnymi metodami?

Prorok zagłady



Elon Musk chce uratować ludzkość. Przed nią samą. Krytycy zastanawiają się jednak, czy właściciel Tesli i SpaceX nie przekroczył cienkiej linii dzielącej geniusz od szaleństwa

Elon Musk bardziej niż jakikolwiek inny amerykański wynalazca uosabia kalifornijskie Silicon Valley. Jest inspirujący/ charyzmatyczny/ arogancki/ ekscentryczny (niepotrzebne skreślić). Jego życie prywatne jest równie fascynujące jak jego wynalazki. Musk był trzykrotnie żonaty, w tym dwa razy z tą samą kobietą, otacza się gwiazdami oraz nie stroni od narkotyków.



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Minionego lata zapowiadał górnolotnie, że należąca do niego firma Tesla, produkująca samochody elektryczne, w ciągu dekady będzie warta ponad bilion dolarów, choć obecnie przynosi co roku straty liczone w setkach milionów. Musk chciał produkować 500 tys. elektrycznych aut rocznie, tymczasem w 2018 r. Tesla dostarczyła klientom zaledwie 100 tys. pojazdów.

Rok 2019 nie zaczął się najlepiej dla wizjonera. Amerykańska komisja papierów wartościowych i giełd (SEC) oskarżyła go o oszukiwanie inwestorów po tym, jak ogłosił wycofanie Tesli z giełdy. Musk przestał być prezesem spółki i będzie musiał zapłacić 20 mln dolarów kary.

z Silicon Valley



Fot. Mat. prasowe

Eksperci śmieją się także z kosmicznych planów miliardera, który chce „najpóźniej za siedem lat" przenieść się na Marsa i „utworzyć tam kolonie". Agencja kosmiczna NASA nazwała te plany „czystym science fiction", a pomysł terraformowania Czerwonej Planety „absurdalnym". „Wykorzystanie istniejącego na Marsie dwutlenku węgla do stworzenia odpowiednio podgrzanej atmosfery, by zamieszkał w niej człowiek, jest przy obecnym stanie technologii niemożliwe" – podkreślił prof. Bruce Jarosky z uniwersytetu w Kolorado, który na zlecenie NASA bada atmosferę na Czerwonej Planecie. A nawet gdyby było możliwe, to „uwolnienie całego dwutlenku węgla z marsjańskiej gleby wymagałoby ogrzewania praktycznie całej planety do 100 m pod powierzchnią, co zajęłoby około 10 tys. lat".

LEK NA DEPRESJĘ AMERYKI

Musk pozostaje niewzruszony. Rok temu jego firma SpaceX wystrzeliła w kosmos rakietę Falcon Heavy z czerwonym kabrioletem Tesli na pokładzie. W ubiegłym tygodniu SpaceX przymierzał się do wystrzału kolejnej rakiety, tym razem z komercyjnym satelitą. Dla Muska droga od satelitów do spacerów po Czerwonej Planecie jest krótka. „Jeśli mi się uda wylądować na Marsie, natychmiast przystąpię tam do budowy

stałej bazy, a potem pierwszego miasta. Będzie trudno i nie będę miał zbyt wiele czasu na odpoczynek. Nie jestem też pewien, czy stamtąd wrócę" – przekonywał Musk w wywiadzie z portalem Axios. Pierwszy statek kosmiczny SpaceX ma polecieć na Marsa już w 2024 r. ze 100 (płacącymi) pasażerami na pokładzie. Wcześniej miliarder wyśle misję na Księżyc. Kiedy dokładnie? Nie wiadomo. Firma już rozpoczęła budowę rakiety nośnej Big Falcon Rocket. Znaleźli się też chętni zapłacić za przelot na Księżyc. Kim są, Musk nie chce ujawnić.

To, że urodzony w RPA wynalazca jest geniuszem, nie ulega wątpliwości. Pytanie, które sobie wszyscy zadają, jest takie, czy jest on geniuszem dobra, który otworzy przed ludzkością drogę do odległych planet, czy geniuszem zła, który wydaje setki milionów dolarów publicznych pieniędzy na spełnianie swoich absurdalnych pomysłów i zachcianek, żywcem wziętych z książek science fiction, które pochłaniał jako dziecko. Jak pisze brytyjski „Guardian", koszt wystrzelenia kabrioletu Tesli w kosmos wyniósł 90 mln dolarów, które można było wydać na coś bardziej sensownego, np. budowę i wyposażenie szpitala, a nawet kilku szpitali w Syrii. Sam Musk uznał pomysł krążącego po orbicie elektrycznego auta za „śmieszny i głupi". Dodał jednak, że rzeczy śmieszne i głupie są „ważne". „Stworzyłem SpaceX po to, by umożliwić ludziom życie na innych planetach. Musimy się stać wieloplanetowym gatunkiem. Powinniśmy się budzić rano i wierzyć, że przyszłość będzie fantastyczna, lepsza niż teraźniejszość" – przekonywał miliarder w 2017 r. podczas wystąpienia na Międzynarodowym Kongresie Astronautycznym.

> Musk chce się przenieść na Marsa i tam umrzeć, marzy o podróży kapsułami w rurach próżniowych, chce, by ludzie żyli w domach z ogromnych klocków Lego i zrezygnowali z paliw kopalnianych

Jak pisze Ashlee Vance, autor biografii Muska („Elon Musk. Biografia twórcy PayPala, Tesli i SpaceX"), Silicon Valley poszukiwało nowego bohatera po śmierci założyciela Apple'a Steve'a Jobsa i znalazło go w właśnie w postaci 47-letniego miliardera. „Jest on najlepszym lekarstwem na głęboką depresję, w którą popadła w ostatnich latach Ameryka. Ludzie chcieli latających samochodów, a dostali 140 znaków. Musk pozwala im marzyć. O autonomicznych samochodach, podróżach w kosmosie i energii ze słońca" – pisze Vance. Według niego Musk „jest najlepszą rzeczą, która trafiła się Ameryce od czasów Henry'ego Forda, Andrew Carnegie i Johna D. Rockefellera". „Jest opętanym geniuszem. Mark Zuckerberg chce, żebyście dzielili się zdjęciami słodkich dzieci na Facebooku, a Musk chce uratować ludzkość przed anihilacją i dać jej nową przestrzeń życiową. Potrzebujemy wizjonerów" – przekonuje Vance dalej.

PRZETRWANIE NAJODWAŻNIEJSZYCH

Musk nie tylko chce się przenieść na Marsa i tam umrzeć, marzy także o podróży kapsułami w rurach próżniowych. Chce, by ludzie żyli w domach z ogromnych klocków Lego i zrezygnowali z paliw kopalnianych, oraz planuje dostarczanie najuboższym w krajach Trzeciego Świata darmowego wi-fi za pomocą sieci satelitów. Krótko mówiąc, Musk chce uratować ludzkość. Przed zagładą, którą – o tym jest przekonany – ściągnie sama na siebie. Choćby za pomocą rozwoju sztucznej inteligencji, przed którą Musk ostrzega na każdym kroku. Jego zdaniem AI jest „bardziej niebezpiecznie niż broń nuklearna". Gdy maszyny już zwrócą się przeciwko ludziom, którzy w porównaniu z nimi będą mieli „inteligencję małp", pozostanie już tylko ucieczka na Marsa. Więc lepiej być przygotowanym. Były już prezes Tesli wielokrotnie wyrażał frustrację z powodu tego, że program kosmiczny NASA rozwija się tak powoli. „Gdy wreszcie zrozumiemy, że musimy opuścić tę planetę, będzie już za późno na rozwinięcie technologii, która by nam na to pozwoliła" – twierdzi.

Musk nie jest jedynym prorokiem zagłady z Silicon Valley. Prezes Amazonu i najbogatszy człowiek świata Jeff Bezos także marzy o podróżach kosmicznych i eksploracji Marsa. Tyle że Bezos uważa, iż przyszłość ludzkości jest na Ziemi, a na innych planetach należy szukać surowców, które pozwoliłyby jej przetrwać. Krytycy Muska tymczasem zastanawiają się, czy nie przekroczył on cienkiej linii dzielącej geniusz od szaleństwa. Zarzucają mu, że wyrzuca pieniądze przez okno na projekty niemające żadnej przyszłości. Zamiast inwestować je choćby w walkę ze zmianami klimatycznymi. „Przekonanie, że przyszłość ludzkości leży na Marsie, to niebezpieczne złudzenie. Atmosfera na Marsie jest o wiele bardziej nieprzyjazna niż na szczycie Mount Everestu. A jeśli uciekniemy tam przed maszynami, to co powstrzyma je przed podążeniem za nami?" – zastanawiał się w rozmowie z portalem Vox kosmolog Martin Rees z uniwersytetu w Cambridge. Ludzkość – wydaje się – jest wciąż tutaj na Ziemi, podczas gdy Musk już odleciał w przestworza.

Największe pretensje do właściciela Tesli zgłasza amerykańska lewica, która uważa jego projekty za „elitystyczne", służące tylko wąskiej grupie najbogatszych, których będzie stać na autonomiczne pojazdy czy bilet na Marsa. Według nich bogata kasta „technologicznych miliarderów" rości sobie prawo do rozwiązywania problemów ludzkości. Pod koniec 2015 r. firma Bezosa Blue Origin wystrzeliła pierwszą rakietę w kosmos. Można by rzec: kto bogatemu zabroni? Ale przedsięwzięcia Muska są finansowane z publicznych pieniędzy. Według „Financial Times" Musk otrzymał w 2018 r. 4,9 mld dolarów pomocy publicznej. Bez rządowych kontraktów nie byłoby ani Tesli, ani SpaceX. Ponadto Amerykanie kupujący samochody Tesli mogli liczyć jak dotąd na ulgi podatkowe wy-



Fot. Mat. prasowe

noszące 7,5 tys. dolarów od sztuki. Przestaną one obowiązywać w 2020 r. Ponadto Musk nie lubi związków zawodowych i niedawno zapowiedział redukcję etatów w Tesli o 7 proc.

INŻYNIERIA CZY PR

Nie da się ukryć, że realizacja projektów Muska czasami pozostawia wiele do życzenia. Projekt Hyperloop, czyli rozwijany przez Muska pomysł transportowania ludzi w kapsułach w specjalnej rurze z obniżonym ciśnieniem (do 1 proc. ciśnienia atmosferycznego), co zmniejszyłoby opory powietrza i pozwoliło osiągnąć prędkość dźwięku (ok. 1200 km/h), utknął w miejscu. Gdy w grudniu 2018 r. otwarto tunel testowy w Los Angeles, zdumieni dziennikarze zamiast do kapsuł – jak pisze dziennik „The Daily Beast" – zostali wsadzeni do samochodów Tesli i odbyli dość niewygodną podróż tunelem, jadąc zamiast 1200 zaledwie 60 km/h. Obecni na pokazie przedstawiciele władz Wirginii natychmiast zrezygnowali z zakupu Hyperloopa. „Jest to mały samochód w bardzo małym tunelu" – zadeklarował szef transportu publicznego Wirginii Michael McLaughlin. Także miasto Chicago (tunel miał połączyć centrum miasta z lotniskiem O'Hare) i stan Kolorado zrezygnowały z Hyperloopa, bo jest niczym innym niż „Teslą w tunelu". Niektórzy dziennikarze zarzucili Muskowi, że w jego projekty wchodzi więcej PR i marketingu niż inżynierii. Nie po raz pierwszy zresztą. Według „Vanity Fair" Musk jest albo „Chrystusem naszych czasów, albo najlepszym sprzedawcą używanych samochodów na świecie".

Zapowiedzi Muska, że Model 3 Tesli będzie wyposażony w „pełnego autopilota", wywołały oburzenie wśród ekspertów. W 2016 r. doszło do pierwszego wypadku śmiertelnego z udziałem samochodu Tesli wyposażonego w autopilota, co pokazuje, że technologia ta jest daleka od doskonałości. Badacze z chińskiej firmy Tencent Keen Security Lab odkryli zresztą, że niewiele trzeba, by oszukać autopilota Tesli. Wystarczą trzy plamki na drodze, by samochód zjechał na przeciwległy pas. Tymczasem Musk wmawia klientom, że ich wóz jest w pełni autonomiczny oraz bezpieczny. Gdy niedawno kierowca Modelu S Tesli zbytnio zaufał autopilotowi na autostradzie i wylądował na betonowej barierze, Musk oświadczył, że powinien był dokładniej przeczytać instrukcję obsługi. W skrócie: samochody Tesli nie są w stanie poruszać się w środowisku miejskim w pełni samodzielnie, ale są sprzedawane jako takie. Jak w przypadku Hyperloopa Musk chwali się technologią, której (jeszcze) nie posiada.

SAMOZWAŃCZY JEZUS

Na tym jednak nie koniec jego kłopotów. Gdy członkowie młodzieżowej drużyny piłkarskiej zostali w ubiegłym roku uwięzieni w długiej na ok. 4 km jaskini w Tajlandii, którą zalały monsunowe deszcze, Musk zaproponował stworzenie kapsuły ratowniczej z części rakiety Falcon 9 firmy SpaceX. Jest to rura wykorzystywana do tankowania ciekłego tlenu z systemem powietrznym i łącznością dla osoby zamkniętej wewnątrz. Musk osobiście przetransportował kapsułę ratowniczą do Tajlandii. Na miejscu okazało się jednak, że będzie ona zupełnie nieprzydatna. Nie powstrzymało go to od przypisania sobie co najmniej części sukcesu. Gdy Vern Unsworth, brytyjski płetwonurek biorący udział w akcji ratowania drużyny piłkarskiej z zalanej jaskini go za to skrytykował, Musk nazwał go pedofilem. Jak zauważył jeden z obecnych na miejscu dziennikarzy, akcja z kapsułą ratowniczą była PR-owską sztuczką i „to nurkowie uratowali dzieci, a nie samozwańczy Jezus z Silicon Valley". Afera wprawdzie już zdążyła przycichnąć, ale niesmak pozostał.

W ostatnim czasie zachowanie Muska staje się zresztą coraz bardziej ekscentryczne. We wrześniu 2018 r. Amerykańska Komisja Papierów Wartościowych wszczęła dochodzenie karne przeciw Tesli po tym, jak Musk poinformował, że planuje wycofanie spółki z giełdy. Ekscentryczny miliarder napisał na początku sierpnia 2018 r. na Twitterze, że zamierza skupywać akcje spółki po 420 dolarów, skąd weźmie jednak potrzebne 70 mld dolarów na cały zakup – nie zdradził, choć krążyły pogłoski o państwowym funduszu z Arabii Saudyjskiej. Tuż po tym oświadczeniu kurs akcji Tesli mocno poszybował, ale zaraz znów opadł, gdy Musk równie niespodziewanie zmienił zdanie i porzucił plany prywatyzacji Tesli, tłumacząc, że nie znalazł na to środków. Kosztowało go to prezesurę Tesli oraz 20 mln finansowej kary za „manipulowanie kursem" spółki.

Następny skandal wybuchł zaraz potem, gdy Musk podczas wywiadu z popularnym za oceanem komikiem Joe Roganem zapalił jointa. Niedługo później znana raperka Azealia Banks zaczęła tweetować z domu miliardera, skarżąc się na to, że siedzi w nim samotnie „od kilku dni", czekając na jego ówczesną dziewczynę piosenkarkę Grimes, by nagrać z nią płytę, podczas gdy Musk – jak twierdzi Banks – „wypisuje pod wpływem narkotyków głupoty na Twitterze". Musk zaprzeczył, jakoby w ogóle znał Banks, ale ten dość kuriozalny incydent zaniepokoił inwestorów. „Czasami wydaje się, że Musk działa przeciwko sobie i swoim interesom. Chce udowodnić, że ci, którzy w niego wątpią, się mylą, a zamiast tego pokazuje, że mają rację" – podkreśla znany amerykański inwestor Gene Munster. Według niego dla Tesli i SpaceX byłoby lepiej, gdyby Musk skupił się na rozwoju swojego biznesu zamiast na byciu showmanem. Jego zdaniem tak się jednak nie stanie, bo „dziś od solidnej technologii ważniejszy jest marketing". A w marketingu Musk nie ma sobie równych.

Maxi-dłużnik



Fot. ARTUR HOJNY SE/EAST NEWS

Kiedyś zwany złośliwie Maxi-Kazem, dziś jest maxi-dłużnikiem alimentacyjnym. Historia Kazimierza Marcinkiewicza to historia wielkiego upadku. Gdy już wydaje się, że niżej upaść nie można, były premier udowadnia, że będąc na dnie, można się zapadać w muł



DOROTA ŁOSIEWICZ

Na związku, który na początku mógł nosić znamiona wielkiej romantycznej miłości, stracili obydwoje. Kazimierz Marcinkiewicz przegrał szansę na polityczną karierę i zwykłą przyzwoitość, a Izabela Olchowicz-Marcinkiewicz przegrała zdrowie i szansę na normalne życie.

– W tej historii nie ma zwycięzcy, obydwoje są przegrani. I były premier Kazimierz Marcinkiewicz, i Izabela Olchowicz-Marcinkiewicz, jego druga była żona – komentował Bartłomiej Łęczek, wicenaczelny „Super Expressu" w rozmowie ze mną w „Gorących pytaniach" w telewizji wPolsce.pl. – Dziesięć lat temu Kazimierz Marcinkiewicz pokochał młodą, piękną i ambitną kobietę. Nie będę tego oceniał, ponieważ każdy ma w życiu prawo do błędów, własnych wyborów. Dziś były premier zniknął ze sceny politycznej jako liczący się polityk. Próbował niedawno wrócić, będąc kandydatem Koalicji Europejskiej do Parlamentu Europejskiego, ale ten plan się nie powiódł z powodu zarzutów byłej żony o niepłacenie alimentów – przypomniał Łęczek.

OSKARŻENIE O STALKING

Kazimierz Marcinkiewicz i jego przyprószona już warstwą kurzu historia z drugą byłą żoną odżyła w mediach, gdy ekspremier pojawił się na pierwszej konferencji Koalicji Europejskiej jako potencjalny kandydat z list tego porozumienia do Parlamentu Europejskiego. I gdy Kazimierz Marcinkiewicz był już w ogródku i witał się z gąską, Izabela Olchowicz-Marcinkiewicz przypomniała, że jej były mąż jest od dwóch lat dłużnikiem alimentacyjnym, uporczywie uchyla się od płacenia alimentów i winny jest jej ponad 100 tys. zł. W związku z szeroką obecnością w mediach Izabeli Olchowicz-Marcinkiewicz były premier poczuł się zapędzony w kozi róg i opublikował oświadczenie, w którym oskarżył byłą żonę o stalking, choć jednocześnie przyznał się do bycia dłużnikiem alimentacyjnym:

„Jesienią 2009 r. przeprosiłem wszystkich Polaków zniesmaczonych obecnością mojego prywatnego życia w kolorowych mediach i obiecałem milczeć w sprawach prywatnych. Słowa dotrzymałem i nadal będę tego przestrzegał.

Niestety od czterech lat zalewa mnie fala hejtu, szkalowania, kłamstw i pomówień ze strony mojej byłej żony, od której odszedłem sześć lat temu. Myślałem, że z czasem to minie. Niestety była żona stała się moim stalkerem.

To prawda, że zalegam jej z zasądzoną pomocą finansową. Pracuję na własny rachunek bardzo ciężko i intensywnie. Nie mam jednak stałej comiesięcznej pensji. Pracuję nad kilkudziesięcioma projektami na success fee. W ostatnim roku nie miałem dużych sukcesów. Każdym sukcesem dzieliłem się sprawiedliwie, ale zaległości się powiększały. Stalkerka o tym wie, bo odpowiednie dokumenty przedstawiłem sądowi oraz wielokrotnie ją o tym informowałem. Gdy którykolwiek projekt doprowadzę do końca, rozliczę się z zaległości.

Nie o to jednak chodzi. Gdy cztery, trzy czy dwa lata temu płaciłem należności regularnie, hejt przy pomocy mediów społecznościowych i szmatławców lał się także szerokim strumieniem. Byłem odsądzany od czci i wiary. Ukazało się kilkaset, tak kilkaset, szkalujących mnie tekstów. Nie ma takiego drugiego przypadku w Polsce, ale chyba też na świecie. Przekroczono wszelkie możliwe granice. Ja milczałem.

Co więcej w ubiegłym roku ukazał się filmik nakręcony przez moją byłą żonę, gdy nagi byłem w toalecie. Filmik ten został sprzedany szmatławcom za – podobno – 50 tys. zł. Tyle zaproponowali także mi dziennikarze za – jak powiedzieli – »podobnie pikantny filmik«, który zapewne nagrałem.

Czy taki filmik nie jest dowodem na przemoc? Jeśli nie fizyczną, to psychiczną. Jak partner może nagrywać nagą partnerkę bez jej zgody, i to w toalecie? Czy nie jest to psychiczne nękanie i prowokowanie? Nikt tego nie dostrzegł, bo ten filmik dotyczy faceta, a nęka kobieta, która z żony stała się stalkerem.

Przykro mi, że muszę to upublicznić. Milczałem wiele lat, starałem się normalnie żyć i pracować, ale wiem, że stalkera nic nie powstrzyma. Przykro mi także, że politycy i dziennikarze, którzy jedyną wiedzę czerpią ze sprzedawanych przez stalkerkę szmatławcom kłamliwych informacji, ferują niesprawiedliwe wyroki".

DŁUŻNIK ALIMENTACYJNY

Jak do zarzutu stalkingu odniosła się Izabela Olchowicz-Marcinkiewicz?

– Nie jestem stalkerką. Stalker wysyła do kogoś non stop esemesy, pisze e-maile, śledzi swoją ofiarę. Ja tego nie robię. Ja tylko mówię prawdę o zaległości alimentacyjnej, jaką w stosunku do mnie ma były mąż. Upominanie się o swoją własność do stalkingu raczej nie należy – tłumaczyła mi Izabela Olchowicz-Marcinkiewicz w audycji „Gorące pytania".

Gdy ten tekst wysyłany był do druku, druga była żona Marcinkiewicza wciąż nie otrzymała żadnej wpłaty z tytułu zasądzonych alimentów. „Kazimierz Marcinkiewicz najwyraźniej czeka na licytację nieruchomości (z której finalnie otrzymam pieniądze) i w międzyczasie spotkanie z prokuraturą. Nie zmienia to faktu, że były premier pokazał nam wszystkim twarz cwaniaka, kogoś, kto ma zasady i przepisy w głębokim poważaniu. Czy nastąpiła chęć poprawy? Nie, dlatego takim osobom powinna

przysługiwać najostrzejsza kara" – napisała na swoim profilu na Facebooku Izabela Olchowicz-Marcinkiewicz.

Jednocześnie w tym samym czasie były premier wrzucał na swój profil na Instagramie zdjęcia z dalekich podróży (m.in. do Dubaju) czy z realizacji swoich pasji, jaką są m.in. sporty wodne itp. Opublikował także zdjęcie z luksusowym BMW: „Jak na łysego karka przystało oglądam BMW i myślę, że jednak następny samochód powinien być elektryczny" – napisał na swoim Instagramie Marcinkiewicz, a „Super Express" zauważył, że „Kazimierz Marcinkiewicz od jakiegoś czasu wozi się luksusowym BMW X4 wartym ok. 200 tys. zł. Czyżby byłemu premierowi, który ostatnio słynie z alimentacyjnych długów wobec byłej żony, zamarzyło się kolejne auto ze znaczkiem bawarskiego koncernu motoryzacyjnego?!".

Czy w tej sytuacji można się dziwić frustracji byłej żony, która nigdy nie była bohaterką mojej bajki, ale faktem jest, że nie jest w stanie wyegzekwować należnych jej pieniędzy? Co więcej, z powodu wypadku, któremu uległa kilka lat temu, ma orzeczenie o niepełnosprawności i poważny problemy, by znaleźć pracę. Choć we wspomnianym przez Kazimierza Marcinkiewicza nagraniu (które według jego byłej żony odbyło się na kanapie, bo w tle widać aneks kuchenny, a nie w toalecie, jak sugeruje Marcinkiewicz) były mąż krzyczy: „Idź do pracy! Zajmij się czymkolwiek! Czymkolwiek! Cokolwiek rób! Idź na bezrobotne. Zajmij się jakąkolwiek pracą, jakąkolwiek robotą. Przestań mnie nachodzić, a najlepiej odejdź", to jednak znalezienie tej pracy wcale nie jest takie proste.

– Mam wydane oficjalne orzeczenie o niepełnosprawności. To wynik wypadku, któremu uległam cztery lata temu. Mogłabym pracować zdalnie, jednak w Polsce, ze względu na związek z byłym premierem i późniejszą historię, jestem po prostu niezatrudnialna – tłumaczyła mi Izabela Olchowicz-Marcinkiewicz. – Nikt nie widzi we mnie osoby z doświadczeniem i kwalifikacjami, a wszyscy widzą we mnie „Isabel" – dodaje kobieta.

AUTORYTET DO WYNAJĘCIA

– Nazwisko Marcinkiewicz kojarzy się w tej chwili wyłącznie z groteską. Zachodzę w głowę, jak to jest możliwe, że były premier jest dłużnikiem alimentacyjnym. To, że dorosły mężczyzna, dość zamożny, pełniący kiedyś ważne funkcje publiczne, nie płaci alimentów, które nie przekraczają jego możliwości finansowych, bo skoro takie zasądził sąd, to znaczy, że w jego ocenie były premier ma dochód pozwalający się z takiego zobowiązania wywiązać – zastanawia się Wojciech Biedroń, dziennikarz portalu wPolityce.pl. – Nie może być tak, że człowiek, który pełnił kiedyś tak wysokie funkcje, dziś daje taki przykład. Jednak mimo tego, to jest człowiek noszony na rękach przez część mediów liberalnych, zapraszany do nich w roli autorytetu – dodaje Biedroń. – Pan Marcinkiewicz biega od studia do studia wypacykowany jak na bal, jeździ eleganckimi samochodami, choć twierdzi, że nie swoimi. Swoją drogą jestem ciekaw, czyimi samochodami jeździ pan Marcinkiewicz? Zachowuje się jak lala na wydaniu i jest po prostu postacią obrzydliwą – irytuje się Biedroń.

> Zachodzę w głowę, jak to jest, że dłużnik alimentacyjny został wyniesiony przez niektóre media do rangi autorytetu. Jaki to jest przykład dla innych alimenciarzy?! – pyta wzburzona była żona Marcinkiewicza

Zjawiska popularności byłego męża nie może zrozumieć także Izabela Olchowicz-Marcinkiewicz: – Zachodzę w głowę, jak to jest, że dłużnik alimentacyjny został wyniesiony przez niektóre media do rangi autorytetu – mówiła w rozmowie ze mną. – Jaki to jest przykład dla innych alimenciarzy?! – pytała wzburzona.

W całej tej historii Bartłomiej Łęczek, wicenaczelny „Super Expressu", podkreśla słabość polskiego systemu egzekucyjnego i niemożność ściągania należności z dłużników alimentacyjnych. – 300 mln zł. Tyle są w tej chwili winni dłużnicy alimentacyjni swoim dzieciom, żonom, partnerom – podkreśla dziennikarz. A Wojciech Biedroń dodaje: – Nie wiem, dlaczego nie reagują organy ścigania, przecież prawo mówi jasno, co należy zrobić z panem Marcinkiewiczem. Gdyby jednak zareagowały, to już widzę te nagłówki, które krzyczą, że człowiek, który wspiera tzw. obóz wolnościowy, jest prześladowany przez reżim Kaczyńskiego – ironizuje Biedroń.

– Historia Kazimierza Marcinkiewicza potwierdza jedno: Polacy w politykach cenią szczerość. Gdyby Marcinkiewicz był szczery i powiedział jasno: „Mam dług alimentacyjny. Będę go spłacał", byłoby inaczej. Tymczasem teraz przekaz jest zupełnie inny: mamy skrzywdzoną kobietę, kobietę, która kiedyś była silna, miała świetną pracę, była samodzielna finansowo. W tej chwili jest osobą bardzo poszkodowaną, niepełnosprawną, ma ogromne trudności z codziennymi czynnościami i nie może odzyskać pieniędzy od dłużnika alimentacyjnego, jakim jest jej były mąż – podkreśla Bartłomiej Łęczek. – Dla mnie najciekawsze jest zadanie sobie dziś pytania, gdzie by był dziś Kazimierz Marcinkiewicz, gdyby nie ta historia. Przecież to był swego czasu polityk skuteczny, lubiany, z kontaktami. To był pierwszy polityk, którego Polacy tak naprawdę polubili – kończy Łęczek.

Tego z pewnością się już nie dowiemy. Ani tego, gdzie byłaby dziś Iza Olchowicz, gdyby nie spotkała na swojej drodze Kazimierza Marcinkiewicza. Pewne jest jednak to, że były premier, nie płacąc alimentów (prawdopodobnie częściowo zalega z nimi także wobec pierwszej żony), wszedł w konflikt z prawem i powinien ponieść z tego tytułu konsekwencje. Tymczasem bezkarnie gra z państwem w kotka i myszkę.

Już prawie co dziesiąta wielkomiejska rodzina w Polsce ma własny domek letniskowy. Kiedy na dworze robi się cieplej, mieszkańcy miast coraz chętniej wybierają weekend na działce



Fot. Shutterstock | 16/0419/F

Czas na letnisko

Według danych Eurostatu w Polsce co 40. nieruchomość może być domkiem letniskowym. To niewiele w porównaniu z innymi krajami europejskimi, ale Polacy coraz chętniej inwestują w domki. I podobno własny domek letniskowy ma już niemal co 10. rodzina mieszkająca w mieście.

Skoro popularność wakacyjnych (choć u nas wciąż raczej weekendowych) nieruchomości rośnie, to warto też pamiętać o ich ubezpieczeniu. W PZU taką możliwość daje polisa PZU Dom. Domek letniskowy można ubezpieczyć razem z mieszkaniem lub domem albo niezależnie od tych nieruchomości. Ubezpieczenie obejmuje domek na działce na wsi, ale też domek, który znajduje się na terenie ogródków działkowych. Nie musi to być domek murowany, który ma fundamenty. Ubezpieczone mogą być m.in. domki fińskie, przyczepy kempingowe, wagony kolejowe dostosowane do mieszkania czy domki posadowione na bloczkach betonowych.

CO DAJE POLISA

Ochrona działa przez cały rok (nawet w zimie). Ubezpieczony jest nie tylko domek letniskowy, lecz także:

- rzeczy, które się w nim znajdują, m.in. meble, sprzęt RTV,
- rzeczy przechowywane np. w komórce, m.in. rowery, narzędzia ogrodnicze,
- wyposażenie działki, m.in. huśtawki, altanki, ogrodzenie,
- rośliny w gruncie – krzewy, drzewa, pnącza.

Domek letniskowy, jego wyposażenie i rzeczy na działce chronimy przed skutkami aż 18 zdarzeń losowych, np. ognia, powodzi, huraganu. – Standardowo przez cały rok odpowiadamy za ryzyko kradzieży z włamaniem. Gdy ktoś włamie się do domku letniskowego i ukradnie telewizor czy kosiarkę do trawy, właściciel może liczyć na odszkodowanie – mówi Marek Baran, dyrektor Biura Komunikacji Korporacyjnej PZU.

W starym domu może też dojść do przepięcia w instalacji elektrycznej. Jeśli coś takiego się zdarzy i z tego powodu zepsuje się np. lodówka, właściciel również dostanie odszkodowanie.

Ponadto wariant Od Wszystkich Ryzyk daje ochronę w wielu innych nietypowych sytuacjach, np. gdy zimą myszy pogryzą fotel przechowywany w domku letniskowym czy dzikie zwierzęta zniszczą ogrodzenie działki. Za niewielką opłatę dodatkową można ubezpieczyć domek letniskowy także od dewastacji – ubezpieczony dostanie odszkodowanie, gdy np. ktoś wybije szybę w oknie czy uszkodzi drzwi wejściowe do domku. Dla jeszcze pełniejszej ochrony można wybrać dodatkowe ubezpieczenie przedmiotów od stłuczenia – nie tylko szklanych, lecz także ceramicznych, kamiennych czy z konglomeratu. Dzięki niemu właściciel domku letniskowego nie musi się martwić, że ktoś przypadkowo stłucze np. kabinę prysznicową czy pęknie szyba w drzwiach kominka. Jeśli się tak zdarzy, może liczyć na odszkodowanie.

NIE TYLKO OCHRONA NIERUCHOMOŚCI I WYPOSAŻENIA

PZU Dom to ubezpieczenie kompleksowe. Obejmuje też m.in. ubezpieczenie odpowiedzialności cywilnej w życiu prywatnym (OC). PZU wypłaci odszkodowanie osobie, której ubezpieczony lub np. jego dzieci, nieumyślnie wyrządzą szkodę. Ubezpieczenie OC działa, gdy np. dzieci piłką wybiją szybę w domku letniskowym sąsiada lub ubezpieczony, jadąc na rowerze, potrąci pieszego. Do PZU Dom można dodatkowo dokupić ubezpieczenie następstw nieszczęśliwych wypadków czy ubezpieczenie ochrony prawnej. Dzięki temu ochrona ubezpieczeniowa będzie bardziej kompleksowa.

eprasa.pl 17e0412b07



Fot. East News/AP Photo/Luca Bruno

Piątek lepszy niż Ronaldo

Dwa lata temu nie mieścił się w składzie polskiej reprezentacji młodzieżowej, która grała jako gospodarz turnieju na Mistrzostwach Europy U-21. Dziś znają go kibice futbolu na całym świecie. Jak to się stało, że Krzysztof Piątek w tak krótkim czasie wspiął się na piłkarskie szczyty? Czy pomogła mu w tym decyzja Adama Nawałki?



CEZARY KOWALSKI

Tiziano Crudelli, sprawozdawca, który komentuje mecze AC Milan, w ciągu kilku miesięcy stał się dla polskich kibiców jednym z najbardziej rozpoznawalnych obecnie Włochów. Wszystko przez Krzysztofa Piątka. Crudelli, teoretycznie stateczny dziennikarz sympatyzujący z Milanem, już grubo po sześćdziesiątce, po golach Polaka wpada w ekstazę, biega po studiu i wykrzykuje: „Pio! Pio! Pio!". Zdziera marynarkę, szarpie za krawat kolegów w studiu... Filmiki z jego szaleństwami już w lutym miały po kilka milionów wyświetleń, a co tydzień wymyśla coś nowego, bo Piątek nie przestaje strzelać (w momencie zamykania tego numeru wbił już w Serie A 21 goli).

Kiedy Crudelli wypowiada się na chłodno, przyznaje, że przeżywa drugą telewizyjną młodość właśnie dzięki Piątkowi. Uważa go za najlepszego polskiego zawodnika, który pojawił się we Włoszech od czasu Zbigniewa Bońka.

Chociaż zwłaszcza media w Italii mają skłonność do przesady, nadinterpretacji i jeszcze większej chęci grania na emocjach niż w innych krajach, to akurat w tym przypadku reakcje są adekwatne do wyczynów Polaka. To, co wyprawia skromny chłopak z Niemczy, wprost nie mieści się w głowie. I nie chodzi tu jedynie o liczbę strzelonych goli czy kwotę transferu (35 mln euro), za jaką trafił zimą z Genui do Milanu, ale przede wszystkim o spektakularność jego sukcesu oraz o to, że tak szybko zawodnik nawet nie najbardziej rozpoznawalny w Polsce wdrapał się na szczyt jednej z pięciu najlepszych lig europejskich i stał się tam prawdziwą gwiazdą. Aby podbić Półwysep Apeniński, wystarczyło mu klika miesięcy.

SKREŚLONY, ALE ZWYCIĘSKI

Dwa lata temu dzisiejszy bohater nie mieścił się w składzie reprezentacji młodzieżowej Marcina Dorny, która grała jako gospodarz turnieju na Mistrzostwach Europy U-21. Przegrywał rywalizację m.in. z Mariuszem Stępińskim. W ubiegłym roku znalazł się co prawda w szerokiej kadrze Adama Nawałki na mundial w Rosji, ale kiedy przyszło do zawężania składu, Krzysztof został skreślony pierwszy. Michał Probierz, trener Cracovii, która w poprzednim sezonie nie zmieściła się nawet w pierwszej ósemce naszej ekstraklasy, twierdzi, że... to właśnie decyzja Nawałki pozwoliła jego byłemu podopiecznemu tak znakomicie wystartować.

Piątek nie pojechał na mundial, ale zaraz po podpisaniu kontraktu z Genuą (kosztował 4 mln euro) na swoje pierwsze w trakcie kariery tak długie wakacje (sześć tygodni) wybrał się właśnie do Włoch. Jeszcze przed pierwszym treningiem z nową drużyną miał czas na wynajęcie mieszkania, poznanie miasta, zadomowienie się w tym otoczeniu. Później spędził cały obóz przygotowawczy z drużyną, był czas na aklimatyzację, poznanie nowych kolegów i trenera, wejście w wiele prywatnych relacji. Czyli coś, czego z reguły nie mają zawodnicy trafiający do nowych zespołów z marszu, zaraz po dużym turnieju czy w ostatnim dniu okienka transferowego, kiedy obie strony kończą grę o wielkie pieniądze i dopinają transakcję.

Wyjazd w najbardziej odpowiednim momencie miał też oczywiście pozytywny aspekt czysto sportowy. Podczas gier sparingowych koledzy zaczęli wyczuwać, jak gra Piątek, jak najlepiej podawać mu piłkę, w jakich sektorach boiska najlepiej się porusza, zrozumiał taktykę włoskiej drużyny, zostało zbudowane wzajemnego zaufanie. Potrafił wykorzystać coś, co zdaniem dobrze znających Krzysztofa jest jego największym atutem, czyli sportową komunikatywność.

Grzegorz Kurdziel, drugi trener Cracovii, odpowiedzialny za treningi z napastnikami, tak mówi o swoim byłym zawodniku: – Bardzo szybko się przystosowuje, świetnie czyta taktykę, reaguje na uwagi z ławki, wyciąga wnioski, jest indywidualistą, ale pracuje dla drużyny. Reszta to widzi. Wie, jak wiele jest w stanie im pomóc. Już po pierwszych meczach w Genui i jego golach było widać, jak szybko koledzy podbiegają do niego z gratulacjami, jak mocno jest z nimi zżyty.

Zdaniem asystenta Probierza to kwestia mentalności. – Jest liderem, ale nie egoistą. Ma też mentalność zwycięzcy. Nawet podczas wewnętrznych gierek treningowych zawsze chciał strzelić najwięcej goli, a gdy jego grupa przegrywała, to robił najwięcej, aby odrobić straty i wygrać. Oczywiście nie zawsze się udawało, ale wtedy też najbardziej się wyróżniał. Wściekły kopał butelki z napojami, wykrzykiwał – wylicza Kurdziel i przypomina, jak szybko Piątek robił postępy podczas specjalistycznych treningów.

Trenerzy ustawili małe bramki i ćwiczyli z napastnikami Cracovii strzały w miejsca, gdzie najtrudniej zatrzymać piłkę bramkarzowi. Podania kierowane do napastników nigdy nie były dokładne, aby zwiększać stopień trudności. Wszystko pieczołowicie później archiwizowano i analizowano. W pierwszych tygodniach Krzysztof trafiał cztery razy na dziesięć strzałów, tuż przed wyjazdem do Włoch – dziewięć na dziesięć.

Po zajęciach napastnik często brał piłkę i mówił do któregoś z trenerów: „Idziemy jeszcze postrzelać". W klubie wspominają, że trzeba go było hamować, bo mógłby sobie zrobić krzywdę. Probierz, widząc, że jego as ma naturalne zdolności przywódcze, znajduje posłuch w grupie i lubi być doceniany, mianował go zastępcą kapitana. A nie miał jeszcze skończonych 23 lat i w drużynie było wielu starszych graczy. Podczas spotkań rady drużyny z właścicielem klubu Januszem Filipiakiem zawsze był aktywny, potrafił głośno wyrażać swoje argumenty.

Kiedy w sierpniu ubiegłego roku zdobył cztery bramki w debiutanckim meczu z Lecce (w pucharze Włoch), mogło się wydawać, że to jakiś szczęśliwy traf, poza tym rywal był ze zdecydowanie niższej półki. Ale 23-letni napastnik już w lidze ze znacznie bardziej renomowanymi rywalami strzelał dalej jak natchniony. Roma, Lazio, Atalanta, Sampdoria, Bologna... Wbijał gole, komu się tylko dało. Jakby był stworzony do gry w lidze włoskiej.

SPONTANICZNA CIESZYNKA

Zimowy transfer do Milanu był przedłużeniem tej piłkarskiej bajki Piątka. To, że po sześciu miesiącach w Genui jego wartość wzrosła o 31 mln euro, to nie przejaw fanaberii bogatych bossów słynnego klubu, tylko rzeczywista wartość rynkowa. Choć oczywiście rodziło się pytanie, czy Polak będzie tak skuteczny w nowym otoczeniu, w drużynie, która mimo świetlanej przeszłości i obecnie dobrych zawodników grała dość przeciętnie, nie spełniała oczekiwań i raczej przypominała zbieraninę indywidualności niż dobrze funkcjonującą maszynę. Dziennikarze zastanawiali się, kto będzie dogrywał mu piłki i czy przypadkiem nie był jedynie meteorytem, który za moment zgaśnie. Wątpliwości zostały rozwiane błyskawicznie. W Genui w 19 meczach strzelił 13 goli, w Milanie – w 11 już 8.

Po 31. kolejce Serie A w klasyfikacji strzelców Polak jest na pierwszym miejscu i ma dwa gole więcej niż inny zawodnik ściągnięty przed sezonem do Włoch. Mowa oczywiście o Cristiano Ronaldo, który przyszedł do Juventusu Turyn za 100 mln euro. Tytuł króla strzelców ligi włoskiej jest jak najbardziej realny. Dodajmy, że Piątek zdobył też zwycięskiego gola w pierwszym meczu reprezentacji w eliminacjach Euro 2020 z Austrią i wreszcie zagrał obok swojego idola Roberta Lewandowskiego.

Jeszcze w czasach Cracovii trener Probierz rzucał czasem w kierunku Krzysztofa: „Cześć, Lewy", co bardzo podbudowywało młodego zawodnika. „Przyznaję, że od dawna wzorowałem się na Robercie, jeszcze wtedy kiedy grał w Lechu Poznań. Przeszedłem nawet na dietę bezglutenową, ale nie była ona potrzeba mojemu organizmowi" – mówił Piątek na łamach „PS".

Wielu fachowców twierdzi, że to napastnicy o bardzo podobnej charakterystyce, poruszający się w tych samych rejonach boiska (czyli mniej więcej na wprost bramki) i dlatego nie powinni grać obok siebie. Z tego założenia wychodził również selekcjoner Jerzy Brzęczek, ale kiedy sytuacja boiskowa zmusiła go do wypróbowania tego duetu, współpraca okazała się możliwa, choć w Wiedniu Krzysztof nie wykorzystał idealnej piłki zagranej przez Roberta.

Patrząc na liczby i stopień zasług, na razie nikt rozsądny nie będzie dywagować, który z nich jest lepszym napastnikiem, ale nastroje w społeczeństwie to nie matematyka. Tego się nie da wyliczyć. Choć brzmi to jak szarganie świętości, wydaje się, że obecnie Piątek jest w Polsce jeszcze bardziej popularny niż Lewandowski. Kibiców opanowała piątkomania. Działa tu z pewnością efekt nowości i ciekawość, gdzie jest kres możliwości nowego idola. Nie bez znaczenia w tym wszystkim jest też jego wyrazistość. Sposób prezentowanej przez niego radości po każdym golu. Tak zwana cieszynka, podczas której naśladuje strzały rewolwerowca, jest chyba najbardziej trafiona spośród tych, którymi popisują się największe gwiazdy światowej piłki. Prosta i nie do podrobienia. Nie wpadł na to żaden spec od marketingu ani kreowania wizerunku, ale sam Piątek. Spontanicznie.

Nie do podważenia jest to, że pierwszy sezon za granicą Krzysztof ma lepszy niż Robert po wyjeździe do Bundesligi. Zdaniem wielu trenerów, którzy z niedowierzaniem przyglądają się wyczynom naszego niedawnego ligowca, prawdziwa weryfikacja jego dojrzałości nastąpi dopiero wtedy, gdy przestanie strzelać, wpadnie w dołek, który musi kiedyś nastąpić, a dziennikarze i kibice będą mu liczyć mecze oraz minuty bez zdobytej bramki. Na razie jednak na to się nie zanosi.

„Generalnie nie widzę dużych różnic pomiędzy tym, jak trenowało się w Polsce, a tym, jak we Włoszech. Zostałem przez polskich trenerów bardzo dobrze przygotowany i jestem pewien, że wielu

Boniek o Piątku

Cracovia dostała od Genui 4 mln euro za Krzysztofa Piątka. Po sześciu miesiącach we Włoszech Milan zapłacił za niego 35 mln euro, a jest możliwe, że jeszcze będzie musiał dopłacić 5 mln. Czy w ciągu sześciu miesięcy stał się aż 10 razy lepszym zawodnikiem? Czy polskie kluby nie oddają swoich graczy zbyt tanio?

Zbigniew Boniek: Ceny za piłkarzy nie muszą być wartością logiczną. Jest jednak coś takiego jak popyt i podaż. Gdy Piątek strzelał gole w polskiej lidze, to był wart od 4 do 6 mln euro. Gdyby jego klub, czyli Cracovia, grał w Lidze Mistrzów, to natychmiast cena wzrosłaby do ok. 12 mln euro.

Natomiast przypadek Piątka jest wyjątkowy. Uważam, że on w te sześć miesięcy we Włoszech niesamowicie się rozwinął, wprost nieprawdopodobnie. Błyskawicznie poznał środowisko, nabrał doświadczenia, inaczej się zachowuje, inaczej myśli, inaczej się odżywia.



Można teraz zobaczyć w sieci zbitki bramek Piątka, które strzelał w polskiej lidze. Jedna z nich jest po dosłownie identycznej akcji jak ta, którą wbił Napoli. Zszedł do boku, ograł dwóch obrońców i strzelił na ten dalszy słupek. Ten sam gol, po takiej samej akcji, ale w starciu z Termalicą Nieciecza, a nie Napoli, jest po prostu wart mniej. On musiał przekonać wszystkich, że potrafi robić takie cuda również w jednej z najlepszych lig świata. Udowodnił to i dlatego wydano na niego takie pieniądze.

Przecież to samo było przed laty z Lewandowskim. Odchodził z Lecha za kilka milionów euro, a dzisiaj, gdyby ktoś chciał go kupić, musiałby wydać 80 mln euro. Dzięki takim historiom jak ta Piątka popyt na polskich piłkarzy będzie rósł. Bo mają talent, dobrze trenują i są poważni, a rodzi się ich naprawdę wielu. Ceny będą szły w górę. Zobaczycie...

Fot. Shutterstock

zawodników z naszej ekstraklasy może bez trudu grać w Serie A. Nie było tzw. efektu wow. Piłkarsko nie odstajemy, nie zderzyłem się ze ścianą. Choć oczywiście gra się tu o wiele szybciej" – analizował Piątek w jednej z nielicznych wypowiedzi już po przenosinach.

Jego mała aktywność medialna też jest zaplanowana. Razem ze swoją partnerką Pauliną Procyk postanowili, że w swoim pierwszym sezonie piłkarz skupi się na tym, co najważniejsze, czyli na grze i nauce języka. Krzysztof przyznaje, iż to właśnie o cztery lata starsza Paulina, którą poznał jeszcze w czasach gry w Zagłębiu Lubin, sprawiła, że dojrzał. Ona namówiła go na kurs prawa jazdy, naukę języka angielskiego, zwróciła uwagę na odpowiednie odżywianie, zaszczepiła w nim pasję zwiedzania świata. Jako 18-latek nie miał do tego głowy.

CIĘŻKA PRACA I SŁODYCZE

Ale najwięcej w kwestii piłkarskiej Krzysztof zawdzięcza ojcu. To on, widząc w nim talent, namówił go na treningi, kazał biegać dookoła boiska, pływać, aktywność fizyczną nagradzał słodyczami. Przeczuwał, że może wyrosnąć z niego dobry ligowy zawodnik. Wysyłał nastolatka z Niemczy, trzytysięcznego miasteczka u stóp Gór Sowich, do znacznie większego Dzierżoniowa. Obecny napastnik Milanu jeździł tam na treningi miejscowej Lechii i do szkoły. Wyruszał o 6.00 rano, wracał przed 20.00. Piątek senior tłumaczył, że bez ciężkiej pracy niczego nie będzie. Sam, dziś jako 68-latek, dorabia jako ochroniarz.

Zbigniew Soczewski, trener trzecioligowca z Dzierżoniowa, wystawiał Krzysztofa do pierwszego składu już jako 17-latka. – Dobrze, że wyjechał z Niemczy, bo perspektyw tam wielkich nie miał, a zagrożeń mnóstwo. Wielu jego kolegów nie poszło w dobrą stronę. Od razu było widać jego cechy przywódcze. Nie było wątpliwości, że w życiu i na boisku sobie poradzi. Był najmłodszy w drużynie, ale nie czuł się gorszy, pokazywał mocną osobowość – wspomina trener Lechii.

Błyskawicznie po Piątka zgłosił się potentat z Lubina, czyli Zagłębie. Następnie profesor Filipiak wyłożył największą kwotę za polskiego piłkarza przechodzącego z jednego klubu ekstraklasy do drugiego w jej historii (700 tys. euro) i... poszło.

Choć do klubu z Dzierżoniowa po kolejnych transferach Krzysztofa spływały pieniądze zawarte w kontrakcie, a później z procentów pierwszego transferu do Włoch (za transfer do Milanu klub nie dostał nic, bo ustawa UEFA o Solidarity Payment nie obowiązuje, jeśli zawodnik przechodzi z klubu do klubu w ramach jednego kraju), to wartość tego, co osiągnął Piątek w trwającym sezonie, jest nie do przecenienia dla wszystkich młodych polskich piłkarzy. Mają teraz świadomość, że wielu z nich może pójść jego drogą. Nie ma takiej możliwości, aby przypadek chłopaka z nie najlepszego polskiego klubu nie podziałał na wyobraźnię. Wystarczy tylko chcieć i ciężko pracować.

Autor jest komentatorem Polsatu Sport

Na Everéście wszystko boli

*Trzeba się wykazywać taką samą odwagą zarówno w górach, jak i w życiu codziennym – twierdzi **Miłka Raulin**. W 2018 r. została najmłodszą zdobywczynią Korony Ziemi. O tym, jak wyglądał jej siedmioletni projekt Siła Marzeń, opowiada w rozmowie z Jaromirem Kwiatkowskim*

22 maja 2018 r. stanęła pani na szczycie Mount Everestu (8 848 m n.p.m.), finalizując projekt zdobycia Korony Ziemi, czyli najwyższych szczytów na wszystkich kontynentach. Realizowała go pani przez siedem lat. Everest to była wisienka na torcie czy zostawiła go pani na koniec, spodziewając się, że to może być najtrudniejsze wyzwanie?

Miłka Raulin: Różne były tego przyczyny. Z jednej strony wysokość Everestu powoduje, że człowiek czuje do niego respekt i myśli, że jednak warto nabrać trochę doświadczenia, zanim się podejmie decyzję o wejściu na najwyższą górę świata. Ale z drugiej strony największą trudnością było to, że na inżynierskim, kolejarskim etacie nie dysponowałam wystarczającymi finansami, by zdobyć go wcześniej. Poszukiwania sponsorów – firm, które zgodziłyby się wesprzeć mój projekt – trwały dwa lata. Zdobywanie Everestu nie zaczęło się wtedy, gdy rozpoczęłam wchodzenie na tę górę, lecz w momencie, kiedy zaczęłam szukać funduszy. I muszę przyznać, że prawdziwym Everestem jest pozyskanie środków na wyprawę.

Jaka to jest góra? Niektórzy jej zdobywcy twierdzą, że pod względem technicznym jest kilka ośmiotysięczników, a nawet niższych gór o wiele bardziej wymagających.

Rzeczywiście, nie mam poczucia, że w sensie technicznym była to trudna góra. Jest tam dużo wspinaczki, ale liny poręczowe są zamontowane od pierwszego kroku na Ice Fallu do samego szczytu. Everest jest trudny z innego względu, który możemy nazwać fizjologicznym – tam wszystko boli. Panują tam warunki, w których organizm ludzki nie czuje się dobrze.

Czyli nie trudności techniczne, ale niebezpieczeństwo choroby wysokościowej decyduje o tym, że jest to jednak niełatwa góra?

Nie tylko. Chodzi o trudności związane z funkcjonowaniem na takiej wysokości. Choroba wysokościowa to jedno, ale... tam wszystko robi się naprawdę źle. Źle się oddycha, chodzi, je, trawi, śpi. Człowiek jest tą górą bardzo wymęczony, ona go dosłownie maltretuje. Choć myślę, że dotyczy to nie tylko Everestu, lecz każdej góry, na której wchodzi się w strefę śmierci, czyli powyżej wysokości 7 600 m n.p.m. Każda z nich „zabiera" życie z człowieka. Aby tam jakoś funkcjonować, trzeba być bardzo dobrze zaaklimatyzowanym, odżywionym, trzeba być w dobrej kondycji nie tylko fizycznej, lecz i psychicznej.

Tego wszystkiego, wyjeżdżając w Himalaje, mogła się pani spodziewać. Natomiast chciałbym zapytać o inne góry, które pani zdobyła, realizując ten projekt, znacznie niższe od Everestu. Czy któraś z nich ostro się pani postawiła?

Zdecydowanie Denali, czyli najwyższy szczyt Ameryki Północnej [6194 m n.p.m. – przyp. J.K.]. Nie ma tam jaków, mułów, tragarzy, wszystko trzeba nieść na własnym grzbiecie, co bardzo człowieka osłabia. Poza tym jest tam bardzo, bardzo zimno; temperatura odczuwalna na szczycie wynosi -40, a czasami i -50°C, bo wiatry potrafią tam wiać z prędkością 160 km/h. To jedyna góra, na której atak szczytowy rozpoczyna się nie w nocy, lecz za dnia, kiedy słońce wyjdzie zza horyzontu. Dziś, z perspektywy czasu, kiedy już byłam na Everéście, mogę powiedzieć, że Denali było o wiele trudniejszą górą.

Swoje przeżycia związane z realizacją tego projektu opisała pani w książce „Siła marzeń, czyli jak zdobyłam Koronę Ziemi", która ukazała się jesienią ub.r. Pani pasję i wysiłek docenili zacytowani na okładce wybitni eksplorerzy, m.in. himalaista Krzysztof Wielicki, który nazwał panią „Indianą Jones w spódnicy", czy kajakarz Aleksander Doba, dla którego jest pani „jedną z najodważniejszych kobiet na świecie".

Zarówno Krzysia Wielickiego, jak i Olka Dobę znam od kilkunastu lat.



Fot. archiwum Miki Raulin

Poznałam ich w trakcie realizacji programu telewizyjnego „Zdobywcy". Miałam wtedy 22 lata. To były i są dla mnie wielkie autorytety i miło słucha się komplementów wypowiedzianych przez takich ludzi. Tym bardziej że obaj widzieli, jak mój projekt się rozwijał. Mogę powiedzieć, że dorastałam na ich oczach. Każdy ma swojego guru. I dla mnie takimi guru są Krzysiek Wielicki i Olek Doba. Gdy będę dorosła, chcę być taka jak oni [śmiech].

Pasje są różne. Niektórzy, broń Boże nie trywializując, zbierają znaczki, inni wolą coś bardziej ekstremalnego. Jak u pani kształtowała się górska pasja?

Zakochałam się w górach, w tej przestrzeni, wolności, mając 11 lat. Pierwszy raz zdobyłam wtedy Śnieżkę, co brzmi bardzo poważnie, choć to nie jest przecież wymagający szczyt. Ale z perspektywy 11-latki to było wielkie osiągnięcie, wielkie wyzwanie. Szliśmy z Karpacza, ale nikt mi nie wyjaśnił, jak ta podróż będzie wyglądała. Myślałam, że idę na pierwszą górę, którą mam na horyzoncie, lecz okazało się, że to nieprawda – że idę do małej „kropeczki", która znajduje się hen, hen daleko. Dla nastolatki to był bardzo długi i wyczerpujący dzień. Kiedy stanęłam na Śnieżce, już chciałam ponarzekać i... nagle, gdy zobaczyłam rozciągające się z góry widoki, zrozumiałam, że są one nagrodą za trud związany z wchodzeniem na ten szczyt. Zobaczyłam niesamowite przestrzenie, soczystą zieleń, błękitne niebo, poczułam wiatr we włosach. I pomyślałam: „Jejku, to jest naprawdę fajne". I że warto było się zmęczyć, by zobaczyć to, co teraz widzę. Tam złapałam bakcyla. W szkole średniej często wyjeżdżałam w góry, pod namiot, żeby przeżyć taką przygodę. Potem się okazało, że świat jest jeszcze większy i można chodzić nie tylko po Beskidach i Tatrach, lecz również pojechać gdzieś dalej – w inne góry Europy czy na inne kontynenty.

Tyle że od Śnieżki czy nawet od Tatr do Everestu droga jest daleka. Dla wielu – ze względu na trudności techniczne, odwagę itd. – Tatry są granicą ich możliwości. Pani się odważyła iść wciąż dalej i dalej, aż w końcu stanąć na Dachu Świata.

Tak naprawdę po Tatrach nie chodziłam zbyt dużo. Byłam tam może kilka razy, zanim wyjechałam w góry wysokie. Zawsze mnie pociągały większe wyzwania. Pociągała mnie przygoda, ale także chęć poznania innych regionów świata. Chciałam zobaczyć, jak jest w Afryce, Indiach, Nepalu czy Ameryce Południowej; poznać tamtą kulturę, smaki, zobaczyć, jak żyją ludzie.

Ja bym też chętnie to wszystko zobaczył, ale nie wiem, czy wystarczyłoby mi odwagi, by wspiąć się np. na Denali.

Wątkiem głównym było postawienie sobie wyzwania, zdobycia jakiejś góry, bo to moje miejsce na ziemi, w którym ładuję baterie. A dlaczego akurat taka pasja? Wydaje mi się po prostu, że jestem człowiekiem, który lubi przygodę, wyzwania. Takich wyzwań, które udało mi się zrealizować, narzuciłam sobie w życiu sporo.

W książce nie ukrywała pani, że nie zawsze było łatwo. Musiała pani pogodzić wyprawy na kolejne góry z pracą na etacie inżynierskim w branży kolejowej (miała pani do dyspozycji jedynie 26 dni urlopu) oraz z macierzyństwem, długo realizowanym samotnie. W pewnym momencie straciła pani pracę, co jeszcze bardziej skomplikowało kwestię finansowania wypraw, zmieniła pani miasto zamieszkania. Te wszystkie trudności uczyniły pani opowieść jeszcze bardziej ujmującą i „ludzką".

No tak. Oprócz marzeń, które powinniśmy mieć, jest jeszcze codzienne życie. To są dwa światy. W jednym z nich wyzwaniem jest wejście na górę, a wcześniej fizyczne i organizacyjne przygotowanie się do tego, w drugim – poradzenie sobie z codziennymi trudnościami, których przecież nie unikniemy. Trzeba się wykazywać taką samą odwagą zarówno w jednym świecie, jak i w drugim. Nie mogłam tych dwóch światów rozdzielić, bo byłam mamą, miałam tylko 26 dni urlopu i musiałam tak to wszystko zorganizować, by jeden świat nie funkcjonował kosztem drugiego.

Wyprawy z reguły realizowała pani w bardzo oszczędnościowym wariancie.

To prawda. W Nepalu nocowałam za pół dolara, w bardzo trudnych warunkach. Wybierałam najtańsze loty, co czasami wiązało się z 30-godzinnym koczowaniem na lotnisku. Ale nie chodziło o to, by odbyć podróż w komfortowych warunkach, lecz aby przeżyć przygodę i zobaczyć, jak wygląda tamten świat. Bardzo sobie chwaliłam takie podróże, one były takie... nieoszukane – o, to właściwe słowo.

Na okładce książki umieściła pani następujące przesłanie: „Gorąco wierzę, że swoją historią przekonam Was do tego, byście odkryli siłę swoich marzeń". Być może niewielu czytelników pani książki poważy się na zdobycie Everestu, ale przecież marzenia mogą być różne, niekoniecznie aż tak ekstremalne. I dla kogoś mogą być one jego Everestem. Pani, jak rozumiem, zachęca każdego, by realizował swoje pasje, marzenia – na swoją miarę.

Dokładnie. Uważam, że marzenia mają duży wpływ na to, jak wygląda nasza codzienność. Kiedy każdy dzień wygląda tak samo, kiedy jest jedynie poniedziałek po poniedziałku i tak do weekendu, a my się w tym bardzo „zapętlimy", to nam życie przecieknie przez palce. Wierzę w to, że nawet najbardziej odważne marzenia można zrealizować. Trzeba je potraktować jak projekt: musi być plan działania, wiara w to, że się uda, myślenie pozytywne i wizualizacja w głowie tych marzeń. Wtedy wszystko wychodzi. Na własnym przykładzie chciałabym pokazywać ludziom, że nie ma rzeczy niemożliwych, nie do zrobienia. Nie trzeba mieć wielkich pieniędzy, trzeba natomiast mieć wielką wiarę, być bardzo pracowitym, konsekwentnym i upartym oraz nie poddawać się porażkom.


Miłka Raulin na szczycie Mount Everestu

Wielu himalaistów przeszło na tzw. zawodowstwo, czyli żyją ze wspinania i z otoczki z tym związanej – mają sponsorów, płatne prelekcje, piszą książki. Ale to o tyle łatwiejsze, że himalaizm jest najbardziej medialną działalnością górską. Czy myślała pani o tym, by żyć ze swojej górskiej pasji?

Moją podstawową rolą w życiu jest macierzyństwo i nie mogłabym wnieść do niego takiej ilości ryzyka, jaką zakłada himalaizm. To ryzyko nasila się w momencie, gdy wzrastają liczba i długość wypraw. Jeśli w ciągu roku byłam jedynie 26 dni na wyprawach, to ryzyko było znacznie mniejsze, niż gdybym była 180 dni. Po drugie, musiałabym mieć kogoś, kto pomógłby mi popracować nad moją kondycją fizyczną i robiłby to w sposób profesjonalny. Nigdy nie trenowałam jak prawdziwy sportowiec. Trenowałam tak, jak mi życie pozwalało. Kiedy miałam trochę czasu, szłam pobiegać, a kiedy nie miałam, to nie biegałam. Wolę walki, sportowego ducha z pewnością mam, ale żeby zrobić ze mnie prawdziwego sportowca, trzeba by do tego sztabu ludzi, którzy by nade mną pracowali. Wtedy nie mogłabym się niczym innym zajmować. Dzisiaj żyję z zupełnie innych rzeczy niż jeszcze pół roku temu, bo przestałam pracować na etacie. Nie ukrywam, że Siła Marzeń dość mocno się rozkręciła, a ja jeżdżę po całej Polsce i opowiadam o swoim siedmioletnim projekcie. Etat tymczasowo poszedł w odstawkę, co nie oznacza, że na niego nie wrócę [śmiech]. Etat daje fajną higienę i rytm życia, a poza tym ja jednak jestem zwierzęciem stadnym i po prostu lubię być wśród ludzi.

Czyli wynika z tego, że obecne źródła pani dochodów są coraz bardziej związane z górami.

Tak. Obecnie szalka przeważyła w tę stronę, aczkolwiek ducha kolejarza mam i – żeby nie wyjść z wprawy – cały czas realizuję projekty kolejarskie.

W swojej książce wejście na Everest, wieńczące projekt zdobycia Korony Ziemi, pani zaledwie zasygnalizowała. Otworzyła sobie pani tym samym furtkę do napisania kolejnej książki – wyłącznie o Evereście?

Dokładnie tak [śmiech]. Właśnie zabrałam się do pisania. Mam już pół pierwszego rozdziału. Wierzę, że książka ukaże się jeszcze w tym roku.

Na styczniowym Przeglądzie Filmów Górskich w Ustrzykach Dolnych został pokazany pani film o Evereście.

Widzi pan, bo ja się imam różnych rzeczy [śmiech]. Książka, film, kolejarstwo... Film, który został pokazany w Ustrzykach Dolnych, to dokument, który powstał w ubiegłym roku po tym, jak w 2017 r. wybrałam się do Nepalu na rekonesans przed Everestem. Głównie po to, by się przekonać, z jaką agencją powinnam zrealizować tę wyprawę. W Namche Bazar poznałam Krzysztofa Sabisza, który był na Evereście. Opowiadał mi o swojej agencji, trochę na nią narzekając – że jedzenie nie było najlepsze, że było za mało tlenu. Ale tak naprawdę jego dramatyczną historię poznałam po powrocie do Polski. Zaprosiłam Krzysztofa na kawę i długo rozmawialiśmy. Krzysztof wrócił z Everestu bez czterech palców. Jego szerpa zostawił go w trakcie ataku szczytowego, a Krzysiek mimo wycieńczenia uratował życie pakistańskiego himalaisty. Wykazał się wielką siłą i odwagą, znosząc osłabionego wspinacza. Dokonał najprawdopodobniej najwyższej akcji ratunkowej rozpoczętej na wysokości 8 400 m n.p.m. Jego historia pokazała mi, że powinnam podejść do tej góry bardzo poważnie, ze świadomością wszystkich niebezpieczeństw i z minimalizacją ryzyka poprzez wybór dobrej agencji. Chciałam przedstawić w filmie jego historię, by przestrzec tych, którzy traktują Everest bardzo lightowo. Warto tę górę zdobywać z głową. Powstał też drugi film – już opowiadający moją historię. Został on zgłoszony przez fantastycznego dokumentalistę Jakuba Goździewicza do zaprezentowania na Kolosach [impreza, podczas której wręcza się nagrody za dokonania eksploracyjne – przyp. J.K.]. Mam nadzieję, że będę mogła go wyświetlić na imprezie w mojej rodzinnej Gdyni.

Co dalej po zdobyciu Korony Ziemi?

Oczywiście góry będą zawsze w moim sercu. W planie na ten rok jest Matterhorn.

Trudna góra, choć zaledwie alpejski czterotysięcznik (4 478 m n.p.m.).

Zgadza się, to trudna góra. Ale postanowiłam się na nią wybrać po kursie taternickim, więc – jak widać – robię to z głową. Na pewno będzie – po raz drugi – Elbrus [najwyższy szczyt Kaukazu, 5 642 m n.p.m. – przyp. J.K.] w związku z tym, że będę brała udział w bardzo fajnym projekcie. Pod koniec roku mam w planie Mount Cook, czyli najwyższą górę Nowej Zelandii (3 724 m n.p.m. – przyp. J.K.].



Fot. Shutterstock

Uwaga, smartfon!

Dziś 75 proc. dzieci poniżej piątego roku życia dobrze radzi sobie z komputerem, ale tylko 9 proc. umie wiązać sznurowadła



DOROTA ŁOSIEWICZ

Brytyjscy i niemieccy politycy wpadli ostatnio na podobny pomysł: ograniczyć dzieciom i młodzieży dostęp do smartfonów. Tym samym podążają śladami Francji, gdzie od września 2018 r. używanie telefonów komórkowych na terenie szkół podstawowych i średnich jest zabronione. W Polsce wszystko zależy od placówki.

Julia von Weiler, doradca niemieckiego rządu, chce, by dzieci poniżej 14. roku życia miały zakaz korzystania ze smartfonów. Z kolei brytyjski minister ds. szkolnictwa Nick Gibb postuluje zakaz przynoszenia telefonów komórkowych do szkoły. Jego zdaniem to najlepsze rozwiązanie, aby uczniowie mniej czasu spędzali w internecie.

Według badań przeprowadzonych przez London School of Economics uczniowie szkół, w których zabronione jest korzystanie z komórek, osiągają wyniki lepsze o ponad 6,4 proc. w porównaniu z młodymi ludźmi uczącymi się w placówkach, gdzie telefony są dozwolone. „Korzystanie ze smartfonów przez uczniów w szkołach źle wpływa na zdolności poznawcze. Dzieci korzystające podczas lekcji z telefonów komórkowych mają gorsze wyniki w nauce" – mówiła w rozmowie z PAP psycholog Joanna Paszkowska-Rogacz z Instytutu Psychologii Uniwersytetu Łódzkiego.

„Dzieci nie powinny spędzać godzin ze smartfonami czy iPadami. Oczywiście internet to wiele korzyści i nie ma nic złego w surfowaniu w sieci, ale jeśli dzieci spędzają za dużo czasu w mediach społecznościowych lub grając on-line, to zapominają o kontaktach z rodzicami, ćwiczeniach, odrabianiu lekcji czy zabawie z przyjaciółmi. Poza tym to złodziej snu i odpoczynku. Dzieci przychodzą do szkoły zmęczone i nie mogą się skoncentrować" – uważa minister Gibb.

NIEBIESKIE ŚWIATŁO

Słowa brytyjskiego ministra potwierdzają amerykańskie badania. Aż 43 proc. rodziców przyznało, że ich nastoletnie dzieci cierpią na zaburzenia snu. Ponad połowa jako przyczynę wskazuje używanie smartfonów – wynika z najnowszego raportu dotyczącego zdrowia dzieci, który opiera się na odpowiedziach z ogólnokrajowego badania CS Mott Children's Hospital przy Uniwersytecie w Michigan. Nie ma wątpliwości, że kłopoty ze snem mogą mieć poważne konsekwencje. „Nieodpowiedni lub zaburzony sen może wywołać długotrwałe skutki zdrowotne, które wykraczają poza zmienność nastrojów czy drażliwość" – mówi autorka ankiety Sarah Clark.

Wszystko przez tzw. niebieskie światło generowane przez ekrany monitorów, smartfonów czy tabletów, które może mocno zaburzać sen czy powodować problemy z zasypianiem. Co więcej, promieniowanie telefonów komórkowych może mieć negatywny wpływ na te obszary mózgu, które są odpowiedzialne za zapamiętywanie informacji – wynika z pierwszych na świecie badań epidemiologicznych Szwajcarskiego Instytutu Zdrowia Publicznego (TPH), które przeprowadzono na 700 nastolatkach. Naukowcy z TPH pierwsi na świecie wykazali, że istnieje związek pomiędzy ekspozycją na pole elektromagnetyczne o częstotliwości radiowej (RF-EMF) a upośledzeniem pamięci u nastolatków. Wyniki ich badań nawiązują do raportu opublikowanego w 2015 r. w czasopiśmie naukowym „Environment International", zostały jednak przeprowadzone na dwukrotnie większej liczbie uczestników i po raz pierwszy oceniają skumulowaną dawkę promieniowania RF-EMF na młodzież.

POLACY PRZED EKRANEM

Tymczasem z międzynarodowego badania przeprowadzonego przez firmę Milward Brown w 2014 r. wynika, że Polacy codziennie spędzają ok. 90 minut przed ekranami swoich smartfonów, kolejną godzinę używają tabletów, a ponad dwie godziny patrzą w ekrany komputerów i laptopów. Ponadto w Polsce ponad 80 proc. dzieci do 14. roku życia to heavy userzy internetu. Korzystają z sieci minimum kilka razy w tygodniu po kilka godzin – wynika z badania „Dzieci w necie", zrealizowanego przez Interaktywny Instytut Badań Rynkowych (IIBR) i Gemius dla firmy At Media. Częściej niż raz w tygodniu korzysta z sieci dwie trzecie przedszkolaków (trzy–sześć lat). Za każdym razem spędzają w niej średnio 45 minut, oglądając bajki, grając w gry i biorąc udział w konkursach. Im starsze dzieci, tym częściej zaglądają do internetu. Codziennie robi to 35 proc. 7-, 9-latków i 62 proc. 10-14-latków. Zagrożenia są oczywiste.

– Dzisiejsza młodzież wierzy w mit wielozadaniowości – równocześnie są on-line, słuchają muzyki, grają w grę i się uczą. Ale skutkuje to trwałym, częściowym rozkojarzeniem uwagi (takie sztucznie wywołane ADHD) i mniejszą efektywnością. Są i korzyści – lepsze widzenie peryferyjne czy szybszy czas reakcji. W kontakcie z nowymi mediami zmieniamy się wszyscy – najbardziej dzieci. Dziś 75 proc. maluchów poniżej piątego roku życia dobrze radzi sobie z komputerem, ale tylko 9 proc. umie wiązać sznurowadła. U naszych dzieci pogarszają się integracja sensoryczna, sprawność manualna – tłumaczy dr n. med. Krzysztof Szwajca, specjalista psychiatra, psychoterapeuta z Kliniki Psychiatrii Dzieci i Młodzieży UJ CM oraz Środowiskowego Centrum Zdrowia Psychicznego w Wieliczce. – U tych, którzy spędzają w sieci bardzo dużo czasu (uzależnienie od internetu), zmiany są wyraźniejsze. Internet zubaża życie emocjonalne w realu (u nastolatków im więcej znajomych w sieci, tym mniej w życiu), pogarsza kompetencje życiowe, sprzyja psychicznemu wycofaniu się. Wreszcie koreluje z konfliktami rodzinnymi, niepowodzeniami w szkole, w relacjach z rówieśnikami, depresją i innymi zaburzeniami psychicznymi. Ale niejasny jest kierunek wpływu – wydaje się, że internet jest formą ucieczki dla dzieci, którym gorzej się wiedzie, które mają mniejsze społeczne kompetencje, słabsze rodziny i mniej sukcesów w życiu, a zarazem nadmierne korzystanie z internetu nasila te problemy, które występowały już wcześniej. To pułapka, z której nie ma dobrego wyjścia – dodaje ekspert.

TELEFON UZALEŻNIA?

Prawdziwą pułapką może być także fonoholizm. Wielu młodych ludzi odczuwa ciągły przymus używania telefonów komórkowych, niezależnie od okoliczności, i czuje niepokój, kiedy telefonu nie ma przy sobie. Telefon bardzo często zastępuje inne formy komunikacji, nawiązywania interakcji z rówieśnikami i rodzicami. Zabiera też czas, który może być poświęcony na inne czynności ważne dla rozwoju dziecka, np. aktywność fizyczną albo interakcję z rówieśnikami. Dane opublikowane w raporcie „Młodzież a telefony komórkowe" zrealizowanym przez TNS OBOP w ramach kampanii „Uwaga! Fonoholizm" są przerażające. Badanie, które szczegółowo opisuje portal uzaleznieniabehawioralne.pl, przeprowadzono na reprezentatywnej grupie Polaków w wieku 12–19 lat. Okazuje się, że spędzenie dnia bez komórki jest czymś niewyobrażalnym dla co trzeciego nastolatka (czyli dla 36 proc. badanych). Na pytanie: „Co byś zrobił, gdybyś zapomniał zabrać telefonu", „Na pewno wróciłbym się do domu" odpowiedziało 27 proc. badanych, czyli prawie co trzecia osoba. Zbliżona liczba uczniów (28 proc.) wprawdzie by nie wróciła, ale odczuwałaby w związku z tym niepokój. Do czego młodzież tak bardzo potrzebuje telefonów? Przede wszystkim uczniowie wykorzystują go do kontaktowania się z innymi ludźmi, czyli wysyłania esemesów (76 proc.) i dzwonienia (70 proc.). Na kolejnym miejscu znalazło się słuchanie muzyki – do tego celu używa telefonu codziennie lub prawie codziennie 65 proc. nastolatków. Robienie zdjęć i filmów z wykorzystaniem komórki zdarza się wśród 92 proc. badanych. Aż 30 proc. osób we wskazanej grupie wiekowej zdjęcia i filmy robi kilka razy w tygodniu, 17 proc. – codziennie lub prawie codziennie. Surfowanie w internecie i chatowanie za pomocą telefonu z podobną częstotliwością dotyczy 12 proc. badanej młodzieży. Zgodnie z wynikami badań telefon jako niezbędne

narzędzie pozyskiwania danych traktuje 68 proc. nastolatków.

Młodzież ma też problemy z telefonicznym savoir-vivre'em. 60 proc. używa telefonu w czasie lekcji (także w trakcie sprawdzianów i klasówek – 18 proc.). Podczas rodzinnego obiadu z telefonu korzysta niemal połowa nastolatków – aż 44 proc. Nawet w kinie czy teatrze telefonów używa aż 28 proc. respondentów. Podczas nabożeństwa w kościele korzystało z komórki 8 proc. młodych ludzi.

– Należy przypomnieć, że diagnoza „uzależnienie od internetu czy telefonu" ma charakter nieoficjalny, nie weszła do klasyfikacji zaburzeń psychicznych. Bardzo trudne jest wyraźne i jednoznaczne oddzielenie normy od zaburzenia (wszyscy „to" robimy), a każdy nastolatek „na chwilę" wsiąkł już kiedyś w wirtualny świat – przez parę tygodni jego życie zdominowała jakaś szczególnie atrakcyjna gra internetowa. Jednak niektórzy wsiąkli na długo, z wyraźnymi stratami dla ich rozwoju i życia osobistego oraz z odwróceniem się od realności. Wydaje się, że poważnie uzależnionych od internetu jest 1–3 proc. populacji młodzieży, a zagrożonych uzależnieniem – ok. 20 proc. Sporo. W gabinetach psychiatrów czy psychoterapeutów pojawiają się coraz częściej – mówi dr Krzysztof Szwajca.

PALCEM PO OKŁADCE

A niestety smartfony coraz częściej dostają do rąk coraz młodsze dzieci. To zaś oznacza problemy. Pediatrzy i psychologowie alarmują, że coraz więcej trzylatków ma kłopoty z mówieniem i rysowaniem, to skutki nadużywania smartfonów. Dzieci, które wpatrują się w telefony komórkowe, przestają się uczyć rzeczy, które będą im potem niezbędne. Brytyjskie Stowarzyszenie Nauczycieli i Wykładowców alarmuje, że coraz więcej dzieci nie potrafi wykonywać prostych czynności, takich jak budowanie z klocków, z powodu zbyt częstego używania technologii cyfrowych. Korzystanie z komputerów i tabletów negatywnie wpływa na zdolności motoryczne dzieci. – Im później dziecko dostanie do ręki tablet czy smartfon, tym lepiej. Nowe wskazówki Amerykańskiej Akademii Pediatrycznej zalecają, aby na pewno nie stało się to przed 18. miesiącem życia, a do piątego roku życia dziecko nie powinno używać urządzeń elektronicznych dłużej niż godzinę dziennie.

Najważniejsze jednak jest to, by maluszki miały możliwie jak najwięcej kontaktu z rodzicem, który jest aktywny, żywo zainteresowany dzieckiem – dziś coraz częściej małe dzieci mają rodzica pochłoniętego surfowaniem w internecie – i pozostaje z nim w zabawach, które nie są w żaden sposób związane z technologiami ani elektroniką. Dziecko potrzebuje dużo doświadczeń, które umożliwią mu wielozmysłowe poznawanie świata. Sam wzrok i wodzenie palcem po ekranie nie wystarczą. Dziecko musi dotknąć, polizać, zrzucić coś i podnieść, przewrócić się, powąchać. Podobnie to wzrok matki, a nie bajka na tablecie, jest dla dziecka pierwszą nauką o relacjach, miłości, trosce.

> Promieniowanie telefonów komórkowych może mieć negatywny wpływ na te obszary mózgu, które są odpowiedzialne za zapamiętywanie informacji – wynika z pierwszych na świecie badań epidemiologicznych

– Dziecko w smartfonie to jednak ulga dla rodziców. Natrętne, hałaśliwe, złaknione kontaktu i działania staje się potomstwem samoobsługowym, cichym, niewymagającym. Kosztem jest jednak drastyczne zmniejszenie liczby i jakości interakcji rodzic–dziecko – zauważa dr Krzysztof Szwajca.

Niewiarygodną historię opowiedziała portalowi Interia.pl Marta Badowska z Polskiego Towarzystwa Dysleksji: „Przyszła do nas mama z maluchem, który dostał książeczkę. Próbował przesuwać strony palcem po okładce, a one się nie przewracały. Myślał, że ma przed sobą smartfon lub tablet". Liczba dyslektyków, dysgrafików z orzeczeniami rośnie w Polsce w gigantycznym tempie. Eksperci nie mają wątpliwości i biją na alarm: będzie jeszcze gorzej.

– Wszyscy potrzebujemy stabilnych kontaktów społecznych na początku życia, by w późniejszym okresie radzić sobie ze stresem. Bez ludzi wokół siebie więcej chorujemy i szybciej umieramy. Bycia w bliskiej relacji nie nauczymy się w kontakcie z ekranem tabletu ani smartfona. Odczytywanie intencji z twarzy, uspokajająca moc dotyku, zaufanie do ludzi – wszystkiego tego nie dadzą nam media elektroniczne. Najważniejszych kompetencji społecznych można się nauczyć tylko przez kontakt z żywym, zainteresowanym nami człowiekiem – tłumaczy dr Szwajca.

Nie bez powodu Bill Gates przyznał kiedyś w wywiadzie dla „The Mirror", że żadne z jego dzieci nie miało telefonu do 14. roku życia. U Gatesów obowiązywał też zakaz używania telefonów przy stole. Co więcej, dla młodszych dzieci para najbogatszych ludzi świata wyznaczała godzinę, po której panowała zasada „no screen time", czyli w ogóle nie wolno było korzystać z żadnych ekranów. Wszystko po to, by lepiej zasypiały.

Badacze z brytyjskiego Królewskiego Kolegium Pediatrii i Zdrowia Dziecka (RCPCH), które nadzoruje kształcenie specjalistów w dziedzinie medycyny dziecięcej, opracowało wskazówki dotyczące czasu spędzanego przed ekranem przez dzieci i młodzież. Zdaniem ekspertów najważniejsze jest, aby korzystanie z urządzeń elektronicznych nie zastępowało snu, ćwiczeń ani czasu spędzanego z rodziną. Sformułowano też zalecenie, by dzieci nie używały urządzeń elektronicznych godzinę przed snem, bo to szkodzi jakości snu. No i nie zapominajmy o złotej zasadzie: co za dużo, to niezdrowo.

Radość z prostych słów, gestów i czynów



Z księdzem Andrzejem Ziółkowskim CM rozmawia Piotr Słabek

Mamy radosny czas świąt Zmartwychwstania Pańskiego. Według mnie, i nie tylko mnie, są one zupełnie inne niż święta Narodzenia Pańskiego. Czy mógłbyś powiedzieć, jak spędzasz ten okres? Przecież jako misjonarz masz wiele doświadczenia...

Andrzej Ziółkowski: O tak! Co do tych doświadczeń to trafiłeś w sedno, mam ich mnóstwo. A co do – że tak powiem – inności tych świąt, to tego tak nie odbieram. Owszem, tajemnica Wcielenia jest odmienna od tajemnicy Odkupienia, ale obie tajemnice są nieodzowne w naszym spotkaniu z Bogiem. Domyślam się, że chodzi o inność w sferze znaków, symboli. Czy tak?

Wiesz, nie tylko znaki i symbole, lecz także kolędy brzmią zupełnie inaczej niż pieśni wielkanocne...

...a kutia ma inny smak niż jajka! [śmiech] No tak, zgadzam się, że są różnice między tymi świętami, ale gdy zaczniemy porównywać wszelkie aspekty tradycji, liturgii, teologii i innych dziedzin, to dojdziemy do śmiesznych stwierdzeń. Czy pamiętasz, Piotrze, taki „wykład z zakresu mniemanologii stosowanej" nieżyjącego już Jana Tadeusza Stanisławskiego...

...„O wyższości świąt Wielkiej Nocy nad świętami Bożego Narodzenia"?

Widzę, że pamiętasz. Czasami mam ochotę śmiać się, gdy wierni mnie pytają, które święta bardziej lubię.

I co odpowiadasz?

Że najbardziej lubię święto Andrzeja Apostoła?

Dlaczego?

Bo dostaję prezenty.

Dowcipnis z ciebie.

Dziękuję. A tak wracając do tematu... a co by było, gdybyśmy tak w święta wielkanocne też obdarzali się drobnymi prezentami?

No przecież już to czynimy.

A czym mianowicie się obdarzamy?

Ciastem, wypiekami, jajkami...

...ale poświęconymi [śmiech].

Co cię tak śmieszy?

Wiesz... kiedyś, nie pamiętam dnia ani roku, święciłem pokarmy w maleńkiej wiosce nad Nysą Łużycką. Było to w Wielką Sobotę, przed południem. W środku wioski, przy krzyżu, zebrali się prawie wszyscy mieszkańcy. Wokół krzyża ustawiono cudnie przybrane koszyczki, a w nich wielkanocne pokarmy. Wszyscy pięknie odziani, twarzyczki dzieci szczęśliwe,

Fot. Shutterstock

pachnie swojską kiełbasą. Ciepło na dworze, ptaki szaleją z radości. Zacząłem wtedy mówić krótką katechezę na temat tego, co się wydarzyło z Jezusem w Wielką Sobotę. Posłużyłem się starożytną homilią na Święta i Wielką Sobotę. Pamiętasz ją?

Przypomnij początek.

„Co się stało?".

„Wielka cisza spowiła ziemię; wielka na niej cisza i pustka"...

Gdy tak mówiłem, to tylko ptaki śpiewały, wszyscy zasłuchani w tajemnicę słów, wydarzeń. Aż mnie zatkało, bo zrozumiałem, że te słowa sprzed tylu wieków mają taką moc. Zupełnie tak, jakby były natchnione...

„Zbudź się o śpiący i powstań z martwych"...

...„a zajaśnieje ci Chrystus". Gdy skończyłem, wierni odkryli koszyczki, a ja, idąc wkoło krzyża, święciłem pokarmy. Nagle, uważaj!, zauważyłem, że w jednym z koszyczków jest butelka... wódki. Nie przerywam kropienia święconą wodą, tylko szukam właściciela.

I co, znalazłeś?

Tak, ten koszyczek należał do dorosłego mężczyzny. On od razu zrozumiał, o co chodzi, i mówi do mnie: „Wszystko, co poświęcone, jest dla człowieka". Uśmiechnąłem się do niego, raz jeszcze pokropiłem jego koszyczek i poszedłem dalej. Ale najpiękniejsze było to, że tuż po moich życzeniach z okazji świąt prawie wszyscy podeszli do mnie i każdy wyjmował ze swego koszyczka pokarmy, aby się ze mną podzielić. I dzielili się wszystkim tym, co mieli w owych darach: jajkami, kiełbasą, szynką, solą, ćwikłą, babką, smalcem. Nie miałem koszyczka, więc ktoś mi podał dużą reklamówkę i do niej wierni składali swe dary. A najbardziej cieszyły się z tego dzieci.

Piękny gest...

Wtedy mi się zrobiło wilgotno pod powiekami. Przypomniały mi się święta wielkanocne na Białorusi. Tam tak samo wierni dzielili się z misjonarzami wszystkim, co mieli do poświęcenia. Acha, to też jest ciekawe... otóż podchodzi do mnie ów „gościu", co to w koszyczku miał półlitrówkę.

I co?

I mówi mi: „Proszę księdza, dzisiaj nie wolno, bo jest Wielka Sobota, ale już jutro niech się ksiądz napije. To jest mojej roboty". I daje mi buteleczkę, tylko mniejszą. Miał dwie. Myślał wcześniej o tym, aby się z kimś podzielić?

Wziąłeś?

A jak myślisz?

Coś nam ucieka z tych naszych tradycji. Nie umiemy już się cieszyć z tego, co jest pełne prostoty, takie zwyczajne.

Tak, masz rację. Czasami mi się wydaje, że zagubiliśmy sens radości dzielenia się dobrym słowem, gestem błogosławieństwa, dzieleniem się chlebem.

Przestaliśmy śpiewać pieśni wielkanocne...

...klękać przed Bożym Grobem.

Zaglądać do pustego Grobu.

Gubimy sens tego, co jest takie zwyczajne, naturalne; tracimy kontakt z Trójjedynym. A przecież życie połączone jest z wiarą. Jedni się tego wstydzą i jak kukułka podrzucają jajko do koszyczka sąsiada. W podstawówce miałem takiego nauczyciela, który uczył nas, że człowiek pochodzi od małpy. A my mu mówiliśmy, że na religii ksiądz nas uczy, że Pan Bóg stworzył człowieka, ale on wyśmiewał się z księdza i z religii. Nie wiem, dlaczego tak czynił. Zapamiętałem jednak, że w którąś Wielką Sobotę poprosił mamę, czy może włożyć do naszego koszyczka jedno jajko. Mama się zgodziła. Gdy wróciliśmy z kościoła, to ja mu to jajko dałem.

Tremendum fascinosum?

Nie wiem. Być może. Są też tacy, którym faktycznie trudno zgiąć kolana, gdy podczas rezurekcji kapłan przechodzi z Najświętszym Sakramentem. Dziwni, doprawdy dziwni jesteśmy my, współcześni chrześcijanie. Życzymy bliskim „smacznego jajka i mokrego dyngusa", ale o Zmartwychwstałym nie wspominamy.

To chyba jednak element wstydu.

Wstydzimy się wiary? Kiedyś wysłałem esemesa, w którym napisałem mniej więcej tak: „Życzę Ci mocnej wiary w Zmartwychwstałego, abyś zaglądnął do pustego Grobu, w głosie dzwonu usłyszał radosne Alleluja". Wiesz, jaką otrzymałem odpowiedź?

Jestem ciekaw.

„Dzięki. Nikt mi jeszcze tak pobożnych życzeń nie złożył. Ale się nie dziwię, bo Ty, Jędruś, jesteś zawodowcem".

Nawet ładnie. Przynajmniej szczerze. A gdzie najgłębiej przeżyłeś święta wielkanocne? Czyżby na Białorusi?

Otóż nie. Najgłębiej przeżyłem Wielką Sobotę w Dawidenach Zrąb – maleńkiej miejscowości na ukraińskiej Bukowinie. Było to w marcu 1997 r. Bagatela! Dwadzieścia dwa lata temu! Pamiętam, że zawiózł mnie tam pan Bazyli. Mały drewniany kościółek był wypełniony dziećmi, młodymi, dorosłymi. Miałem wtedy rekolekcje w tej parafii, ale ponieważ było tak dużo różnych filii, czyli tych kościółków, to wszystko mi się pomieszało. Nie wiedziałem, gdzie byłem, co mówiłem. Zresztą, nie mogłem wszędzie być, bo tych kościółków i miejsc, w których były rekolekcyjne spotkania, naliczyłem 17!

Ile?

Tak, tak! 17! Wszedłem do kościółka. Wszyscy patrzą na mnie – ja na nich. Po chwili się zorientowałem, że jednak tam jeszcze nie byłem. Przedstawiłem się. Okazuje się, że dzieci i młodzi nie rozumieją po polsku. Ja po ukraińsku nie umiem. Jakaś starsza pani w gwarze bukowińskiej mówi mi, żebym „gwarił" po polsku. Na szczęście wśród wiernych była nauczycielka. Poprosiłem ją o tłumaczenie tego, co będę mówił, na język ukraiński. I wtedy tak sobie pomyślałem: „Jędruś, słu-

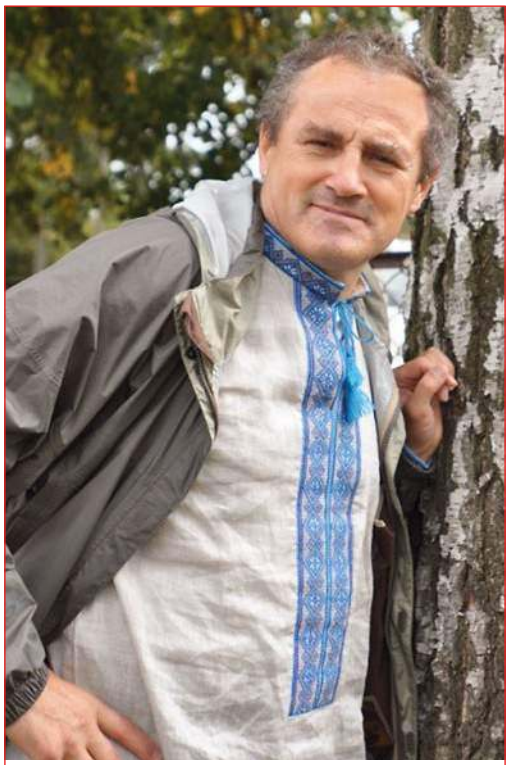
chaj bracie, jest Wielka Sobota. Uczyń tę liturgię zrozumiałą dla wszystkich". Wiesz co, Piotrze, poprowadziłem tę wspaniałą liturgię w duchu pierwszych chrześcijan. Jak potrafiłem najlepiej, tak tłumaczyłem wszystkie gesty, symbole, słowa natchnione... a owa nauczycielka tłumaczyła. Po liturgii poświęciłem pokarmy, wierni złożyli mi życzenia i prosili, żebym z nimi został już na zawsze. Ta prośba wtedy mnie mocno ruszyła, dotknęła istoty mego kapłaństwa, posługi, tego, kim jestem. Wtedy pojąłem trudne teologiczne wyrażenie „in persona Christi". Gdy wracaliśmy z powrotem do Storożyńca, to pan Bazyli powiedział mi: „Dziękuję wam, ja wszystko zrozumiałem, co było w kościele".

Myślę, że Duch Święty był wtedy tak mocno z wami wszystkimi.

Też tak to odczułem. Po kilku latach byłem w tym kościółku w czasie następnych rekolekcji, ale... to już nie była „Wielka Sobota", to już był inny czas... zresztą, ludzie już mnie nie pamiętali.

Ach! Coś mi się jeszcze przypomniało z Przewozu – też nad Nysą Łużycką. Zaprosił mnie do pomocy w Wielkim Tygodniu i w święta mój współbrat, ksiądz Marian Kot. Otóż w samą Wielkanoc najpierw odprawiliśmy rezurekcję. Potem coś zjedliśmy, a następnie była druga msza święta z udziałem dzieci. Mówiłem homilię o pustym grobie. W trakcie podszedłem do owego pustego Grobu i zaprosiłem doń dzieci. Sporo ich było. Gdy już wszyscy razem byliśmy prawie że w środku Grobu, powiedziałem, żeby każde z dzieci wzięło sobie jeden kamień – na pamiątkę, że Pan Jezus zmartwychwstał i że Jego grób jest pusty. Te kamienie nie były duże, więc dzieci zaczęły brać po jednym. Prawie że rozebrały grób! [śmiech]. Zostały tylko kwiaty, jakieś dekoracje, coś tam jeszcze. Ksiądz Marian wtedy sprawował Eucharystię. Gdy się zorientował, co się dzieje, to włączył się w homilię i tak mówi: „Tylko kwiatów i świec nie bierzcie, bo mamy takich parafian, którzy nie byli na rezurekcji, a chcą zobaczyć, jak wygląda Grób". Wierni zaczęli się śmiać i była tak fantastyczna atmosfera w czasie tej liturgii, że pamiętam ją po dziś dzień.

A ja dodałem: „To jest podarunek dla was, taka pamiątka świąt Zmartwychwstania. Donieście te kamienie do domu i postawcie je w widocznym miejscu".



Ks. Andrzej Ziółkowski CM – misjonarz św. Wincentego a Paulo, wykładowca teologii pastoralnej i homiletyki w Instytucie Teologicznym Księży Misjonarzy oraz homiletyki w WSD oo. Franciszkanów Konwentualnych i Reformatów w Krakowie. Rekolekcjonista. Autor wielu pozycji homiletycznych. Specjalizuje się w przepowiadaniu do najmłodszych

Świętowanie to przyjemny i bardzo radosny czas. Brat Roger, założyciel Táize, wydał kiedyś książkę, której tytuł mnie zachwycił „Niech Twoje święto trwa bez końca". Masz jakiś pomysł, by nasze życie było nieustanym świętowaniem? Zaznaczam, że nie mam na myśli świętowania jako niechodzenia do pracy.

Dobrze, że to zaznaczyłeś, bo z takim długim okresem bez pracy byłby kłopot.

Chyba że ktoś już jest na emeryturze – wtedy cały czas świętuje?

Chyba nie. Znam wielu emerytów, których nie widziałem jako świętujących. Świętowanie to stan ducha, pełen pogody i radości. W liturgii mówi się, że każda na pozór zwykła niedziela jest małą Paschą – czyli radosnym świętowaniem zmartwychwstania Jezusa. Warto o tym pamiętać w każdy niedzielny poranek.

Myślę, że niewiele potrzeba, by święto trwało na przykład w rodzinie, wystarczy codzienna życzliwość i wyrozumiałość, dobre spojrzenie i dobre słowo, czuły gest, wzajemne wspieranie się. Niewielkie prezenty są wyrazem naszej pamięci i podtrzymują świąteczną atmosferę. Uroczysty wspólny posiłek – śniadanie, obiad, kolacja, czas, kiedy możemy się dzielić tym, co dla nas ważne. Czas, kiedy słuchamy się nawzajem, cieszymy się swoją obecnością – celebrujemy ją – to wszystko wprowadza ducha świąt. Jednak nic z tego nie będzie, gdy nie będziemy mieli czasu dla siebie.

Dodam jeszcze, że ważne jest także to, aby nie mierzyć, nie liczyć, tego czasu.

A co powiesz naszym czytelnikom?

Wszystkim naszym czytelnikom życzę, aby mieli tę odwagę, którą okazały kobiety idące o brzasku dnia do Grobu Pańskiego. Zastały go pustym, a wtedy sam Pan im się ukazał. I tego życzę wam, Drodzy Czytelnicy, abyście w prostocie przyjęli to, co w chrześcijaństwie jest niezwykle proste, a głębokie. By nie zabrakło Wam czasu dla swoich bliskich i niech Wasze święto trwa bez końca.

W imieniu czytelników bardzo ci dziękuję za rozmowę.

Ja również dziękuję! Alleluja!

Alleluja!



Bazylika w Miechowie

Tożsamość Jaksy

Jaksa – czy polski rycerz krzyżowiec, którego krucjatę udokumentował w swoich kronikach patriarcha jerozolimski, był jednocześnie księciem zaginionego w mrokach dziejów słowiańskiego państwa Stodoran, stawiającego opór siłom niemieckim niemal do końca XII stulecia?



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Tożsamość Jaksy jest jedną z największych niewyjaśnionych zagadek polskiego średniowiecza. Za rok przypada 900. rocznica jego urodzin, a pytań wciąż jest chyba więcej niż odpowiedzi. Niezwykłe artefakty z przeszłości, niczym przypadkowo odsłonięte pojedyncze elementy mozaiki, wskazują, że Jaksa Gryfita, nazywany jedną z najbardziej wpływowych postaci XII-wiecznej Polski, rycerz, który zorganizował własną wyprawę do Ziemi Świętej, a wracając, sprowadził do Polski zakon bożogrobców, wory z ziemią z Golgoty i zbudował w Miechowie wierną kopię Grobu Bożego, może być utożsamiany z Jaksą (zwanym też Jaxa lub Jaczo) – księciem słowiańskich Stodoran, równym udzielnym władcom, bijącym własną monetę, władającym niegdyś na ziemiach na zachód od Łaby.

Historia sprzed wieków rozgrywa się pomiędzy dzisiejszym Berlinem – ongiś ziemiami Słowian, Ziemią Świętą – jeszcze przed upadkiem Królestwa Jerozolimskiego, a Miechowem – będącym ze swoją bazyliką jakby pieczęcią wielkiej historii, odciśniętą wśród małopolskich pól i zwanym właśnie dzięki Jaksie polską Jerozolimą. Jedno z odgałęzień tropu prowadzi też do duńskich wikingów.

Z KOPANICY, PRZEZ MIECHÓW, DO ZIEMI ŚWIĘTEJ I Z POWROTEM?

Kto wie, czy postać brodatego rycerza wzbudzałaby dziś emocje, czy ktoś pamiętałby o nim, gdyby nie niezwykłe ślady, które pozostawił, żyjące po dziś dzień dziedzictwo – gdyby jego imię nie związało się na zawsze z Grobem Jezusa Chrystusa.

Co wiemy o Jaksie, pamiętając, że stare kroniki często nie dają odpowiedzi, czy książę połabski i miechowski krzyżowiec to ta sama osoba? Można

w nich przeczytać o Jaksie pojmującym za żonę w 1145 r. Agapię, córkę Piotra Włostowica z rodu Łabędziów, jednego z najważniejszych wówczas ludzi w Polsce, o którym pojawiają się sugestie, że był Duńczykiem lub że zdobył duńskie skarby i klejnoty koronne (opowieści o obecności duńskich wikingów w otoczeniu Piastów często się przewijają w literaturze, np. u Karola Bunscha).

Jest w kronikach mowa o upadku Kopanicy, zdobytej w 1157 r. przez Albrechta Niedźwiedzia, i o pogrzebie syna Jaksy w Pradze, gdzie przebywał wraz z Kazimierzem zwanym później Sprawiedliwym jako zakładnik cesarza Fryderyka Barbarossy. Wiadomo także o udziale Jaksy w pogrzebie i sprowadzeniu przez niego do Polski norbertanów. Klasztor norbertanek stoi do dziś na krakowskim Zwierzyńcu – ten sam, w którym przebywała kilkadziesiąt lat później błogosławiona Bronisława i w którym znajduje się posąg Jaksy z umieszczonym pod nim frapującym napisem.



Brakteat z Jaksą trzymającym gałąź palmową, symbolizującą być może odbycie pielgrzymki do Jerozolimy

Niewątpliwie można też udowodnić istnienie Jaksy, potężnego rycerza z rodu Gryfitów, który wyruszył w 1162 r. do Ziemi Świętej i odznaczył się tam wielkimi zasługami, nagrodzonymi królewskim przywilejem. Już samo zorganizowanie wyprawy, jak również dotarcie na miejsce było wielkim przedsięwzięciem, na które, zwłaszcza jeżeli ruszało się z całą drużyną, porwać się mogły tylko osoby możne i wpływowe:



Fot. z archiwum autora

Bożogrobcy w miechowskiej bazylice w Wielki Piątek

konno aż do Wenecji, później kupionym lub wynajętym statkiem na Kretę, stamtąd również drogą morską do Akki i dopiero z tego starożytnego miasta, przez piaski, skały i oazy Ziemi Świętej do Jerozolimy. Droga ta, a zwłaszcza długi rejs przez Morze Śródziemne, była wyczerpująca, niebezpieczna i wielu pielgrzymów nie docierało do celu.

Czy książę i rycerz to jedna i ta sama postać? Sam, pisząc te słowa, z rozmysłem nie precyzuję niekiedy, o którym Jaksie mowa – i nie zawsze też jest to jasne w dawnych dokumentach. Zastanawiające wydaje się, czy możliwe byłoby, aby w tym samym czasie żyło dwóch słynnych Jaksów, o których informacje na zmianę giną i pojawiają się, przeplatając się tak samo, jak przeplata się określający wyjątkową pozycję tytuł książęcy i udzielne książęce przywileje, np. bicie własnej monety.

Sam tytuł książęcy zadziwia. Zarezerwowany był wówczas tylko dla władającej dynastii piastowskiej i nie używał go nikt inny. Tymczasem określenie Jaksy tytułem „dux" potwierdzone jest przez źródła w dokumencie Bolesława Wstydliwego dla sieciechowskiego klasztoru z 1252 r.: „Iacza qui cognominatus errat dux".

Pytanie o Jaksę do dziś dzieli historyków. Można wątpić w jedność tych postaci. Można też jednak znaleźć wskazówki, które pozwalają uprawdopodobnić hipotezę, że książę połabskich Stodoran, którego związki z Polską są udokumentowane, przybył na nasze ziemie, odgrywając kluczową rolę w ówczesnej polityce, a przede wszystkim dokonując czynu, dzięki któremu wierni odwiedzający miechowską kaplicę Grobu Chrystusa uzyskiwali odpusty, takie jak pielgrzymi do Grobu Bożego w Jerozolimie, a kościół miechowski w 1263 r. wyjęty został decyzją papieża Urbana IV spod jurysdykcji biskupów i podlegał wyłącznie kościołowi jerozolimskiemu.

KRUCJATA I NIEZWYKŁY DAR

Kiedy w 1099 r. krzyżowcy zdobyli Jerozolimę i utworzyli Królestwo Jerozolimskie, stało się ono miejscem formowania się nowego społeczeństwa, bardziej demokratycznego niż królestwa europejskie, dziejowym fenomenem. Parlament, do którego należeli również mieszczanie, decydował o sprawach tak ważnych, jak np. podatki. W wielu



Portret Jaksy z miechowskiej bazyliki

świątyniach praktykowano simultaneum, czyli odprawianie nabożeństw w różnych obrządkach.

Przed tymi, którzy wyruszyli, otworzył się nowy świat, w którym można było wszystko zacząć od początku. Jak pisał kapelan Baldwina I – Foucher de Chartres: „My, którzyśmy byli ludźmi Zachodu, staliśmy się ludźmi Wschodu... Ci, którzy mieszkali w Reims czy Chartres, stali się obywatelami Tyru i Antiochii; zapomnieliśmy już, jakie jest miejsce naszego urodzenia, a wielu nie zna go. Jedni z nas posiadają w tym kraju służbę i domy, które będą przekazywali potomnym na zasadzie dziedziczenia. Inni poślubili kobietę, która nie jest ich rodaczką, ale pochodzi z Syrii czy Armenii, a nawet zdarza się, że jest Saracenką, która otrzymała łaskę chrztu. Jeden uprawia winnice, inny swe pola; mówią wprawdzie różnymi językami, ale zaczynają się już rozumieć; tych, którzy byli ubodzy w swoim kraju, uczynił Bóg bogatymi; tym, którzy nie mieli nawet folwarku, dał Bóg w posiadanie miasta. Po cóż więc mają wracać na Zachód, skoro tak dobrze jest na Wschodzie". Jaksa jednak nie przyjechał po to, by objąć ziemie, zaszczyty, bogactwa (miał ich zresztą wystarczająco w ojczyźnie). Jego celem była pielgrzymka, z której chciał wrócić, realizując swoją dziejową misję.

Krzyż i napis z witrażu z kaplicy Grobu Bożego w Miechowie





Gryfy i podwójny krzyż z Miechowa

Pisząc o wyprawie Jaksy z roku 1162, Długosz (który, nawiasem mówiąc, był zwolennikiem rozdzielenia postaci Jaksy na dwie osoby) opisuje ją słowami: „Walczył bardzo dzielnie razem ze swoimi ludźmi w obronie Ziemi Świętej". Rzeczywiście musiały być to niezwykłe zasługi, gdyż w uznaniu ich Jaksę przyjęto do jerozolimskiej konfraterni zakonu Stróżów Grobu Bożego, Canonici Regulares Custodes Sanctissimi Sepulchri Hierosolymitani, do której zaliczali się sami królowie jerozolimscy.

W Ziemi Świętej Jaksa, jak można przypuszczać, wziął też udział w pogrzebie króla Baldwina III i został zaproszony na koronację jego następcy, hrabiego Jaffy i Askalonu, który przyjął imię Amalryka I. Czy takie zaproszenia nie są godne księcia? Jaksa został także przyjęty przez patriarchę jerozolimskiego, który nadał mu absolutnie wyjątkowy przywilej sprowadzenia do Polski bożogrobców – pierwszych w Europie, a także zgodę na zbudowanie w ojczyźnie wiernej kopii Grobu Bożego.

Gdy Jaksa wracał więc w 1163 r. z Ziemi Świętej do Miechowa, wiózł z sobą drzazgę z Drzewa Krzyża Świętego, cztery wory ziemi z Golgoty, po której stąpał Chrystus, oraz kanonika Grobu Bożego Marcina Gallusa, zwanego Wielbłądem (istnieje też wersja, według której ziemia z Golgoty została przywieziona przez Jaksę na wielbłądach). Po powrocie zbudował kopię Grobu Pańskiego, wyróżniając Miechów na wieki spośród innych miast. O ufundowaniu przez Jaksę klasztoru bożogrobców pisał w swoim dokumencie patriarcha jerozolimski Aymar. Kiedy w 1197 r. Saladyn zdobył Jerozolimę i gdy w 1291 r. upadło Królestwo Jerozolimskie, miechowski Grób Pański stał się miejscem pielgrzymek z całej Europy.

CZY BRAKTEATY PRZEMÓWIĄ?

Po Jaksie pozostały także brakteaty, jednostronnie bite monety, najstarsze obok niemieckich. Bicie własnej monety było przywilejem absolutnie wyjątkowym. Znanych jest kilka wersji brakteatów połabskiego księcia Jaksy. Trzy takie monety można zobaczyć w muzeum Czapskich w Krakowie. Co w nich, poza numizmatyczną wartością, jest tak wyjątkowego? Otóż od pewnego momentu w dziejach na monetach książęcych zaczął się pojawiać wizerunek brodatego mężczyzny, zadziwiająco podobnego do wizerunków przypisywanych Jaksie – miechowskiemu krzyżowcowi, uzupełniony podwójnym krzyżem, przypominającym jerozolimski, oraz gałązką palmy. Czy wygląd książęcych monet świadczy o odbyciu pielgrzymki do Jerozolimy? A jeżeli tak, to czy możliwe, że w tym samym czasie do Ziemi Świętej wybrał się Jaksa, wygnany książę Stodoran i Jaksa rycerz, który powrócił do Polski z bożogrobcami, czy też raczej, że była to ta sama osoba?

DUX SORABIE

Jakiś czas temu, podążając tropem Jaksy, wybrałem się do krakowskiego klasztoru norbertanek. Byłem tam wcześniej wiele razy, jednak nigdy nie zwracałem uwagi na posąg z tyłu kościoła. Tym razem wybrałem się tam specjalnie, bo posąg ten to figura Jaksy. Którego? Na pewno fundatora. Rzeźba nie pochodzi z czasów Jaksy, jest późniejsza, jednak niewątpliwie zarówno oblicze brodatego mężczyzny, przypominające inne, dawniejsze jego wizerunki, jak i niebu-

49/0319/F



Posąg Jaksy z klasztoru norbertanek w Krakowie

dzący wątpliwości napis u jego stóp, z pewnością powstały pod wpływem długiej tradycji wskazującej na jedność obu postaci. Kiedy czytałem inskrypcję, poczułem mimowolny dreszcz, uczucie obcowania z fragmentem nagle kompletującej się tajemniczej układanki: „Jaxa Gryffita, z córki urodzony Piotra Dunina, Janem ogłoszony, państwa Serbii Xsiążę ukochany, fundator wielki jest tu ukazany. Ten wielkie wojny w Turczech odprawował, a powróciwszy kościoły fundował". Książę Serbii „dux Sorabie", jak zwano czasem księcia Jaksę, połączony w jedno z Jaksą krzyżowcem.

Zdaję sobie sprawę, że to dowód dla wielu historyków dyskusyjny. Większość informacji jest tu zresztą niewątpliwie zagmatwana, niejasna i niepewna. Czy można się jednak oprzeć wrażeniu, że za fragmentarycznymi niekiedy wzmiankami, za posągami, monetami i niewyraźnymi już napisami kryje się wielka, faktycznie istniejąca kiedyś postać, osobowość, której jesteśmy spadkobiercami i której dzieła do dziś, choć nie zawsze zdajemy sobie z tego sprawę, kształtują świat wokół nas? Fundacja klasztoru norbertanek, którym podarował m.in. krakowskie Błonia, bez których miasto wyglądałoby dziś zupełnie inaczej, sprowadzenie bożogrobców i fundacja miechowskiej bazyliki, nadania i fundacje dla klasztoru benedyktynów.

A kto chciałby poznać najważniejsze dziedzictwo Jaksy, powinien się wybrać w Wielki Piątek do Miechowa, do górującej nad okolicą bazyliki. Na wielkopiątkowe nabożeństwo do miasteczka zjeżdżają się wówczas tłumnie z bliskich i dalekich stron damy i rycerze Grobu Bożego. Na koniec, w tradycyjnych strojach podążają wspólnie krużgankami kościoła do Grobu Pańskiego. A na przechodzących spogląda ze starego portretu Jaksa o zagadkowym, nieprzeniknionym spojrzeniu.

REKLAMA

FUNDACJA WSPIERANIA UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH

Klimat niesie coraz większe ryzyko strat

Polska Izba Ubezpieczeń opublikowała raport „Klimat ryzyka", który bada rozmiar katastrof naturalnych w Polsce z ostatnich 10 lat. O zawartych w nim informacjach rozmawiamy z Jarosławem Biereckim, prezesem Fundacji Wspierania Ubezpieczeń Wzajemnych (FWUW).

Raport „Klimat ryzyka"* pokazuje, jaki wpływ na nasze życie, majątek, pracę i całą gospodarkę mają nawiedzające nas katastrofy naturalne. Co konkretnie mówią przytoczone w nim liczby?

Jarosław Bierecki: *Ten raport przede wszystkim zwraca uwagę na to, że katastrofy naturalne będą nas kosztować coraz więcej. Wynika to z tego, że zmiany klimatyczne będą się objawiać coraz intensywniejszymi zjawiskami pogodowymi – łagodne zimy, przymrozki, upalne lata, a także nawałnice, powodzie, gradobicia. Z drugiej strony następuje wzrost wartości naszego majątku w firmach, domach czy sektorze publicznym, którego zniszczenie rodzi coraz większe straty. Doskonale zostało to pokazane na przykładzie powodzi z 2010 r., której straty wyniosły wtedy 12,8 mld zł. Dziś kosztowałaby 16,2 mld zł, czyli 20,9 proc. więcej.*

Jaki jest z tego wniosek?

Przede wszystkim konieczne jest zbudowanie szerokiego modelu zarządzania ryzykiem, który będzie obejmował współpracę wielu podmiotów, służb i organów administracji państwowej. Wtedy będzie można ograniczać następstwa katastrof, których i tak nie unikniemy. Ubezpieczenia są konieczne, ale nie zastąpią zintegrowanego działania nastawionego na prewencję, gromadzenie wiedzy, przygotowanie infrastruktury czy edukację.

Jednak na przykład rolnicy nie ubezpieczają powszechnie swoich plonów, hodowli czy sprzętu, bo polisy są coraz droższe.

Póki nie będziemy mieli dobrze funkcjonującego modelu antykryzysowego, ubezpieczenia globalnie będą drożeć. Należy szukać alternatywnych rozwiązań. Dobrym wyjściem jest oferta TUW-ów lub założenie własnego towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych, w którym jego członkowie, również rolnicy, mogą mieć duży wpływ na tworzenie oferty ubezpieczeniowej, w tym na jej zakres, a także cenę. Koszt polisy może przecież uwzględniać istniejące na przykład na danym obszarze zabezpieczenia przed skutkami katastrof naturalnych. Więcej – taki rolniczy TUW może także motywować stworzenie odpowiedniego systemu antykryzysowego, bo w perspektywie będzie mieć niższe składki. Założenie własnego TUW-u dla grupy rolników nie jest bardzo skomplikowane, a przede wszystkim wcale nie musi przerastać ich możliwości finansowych.

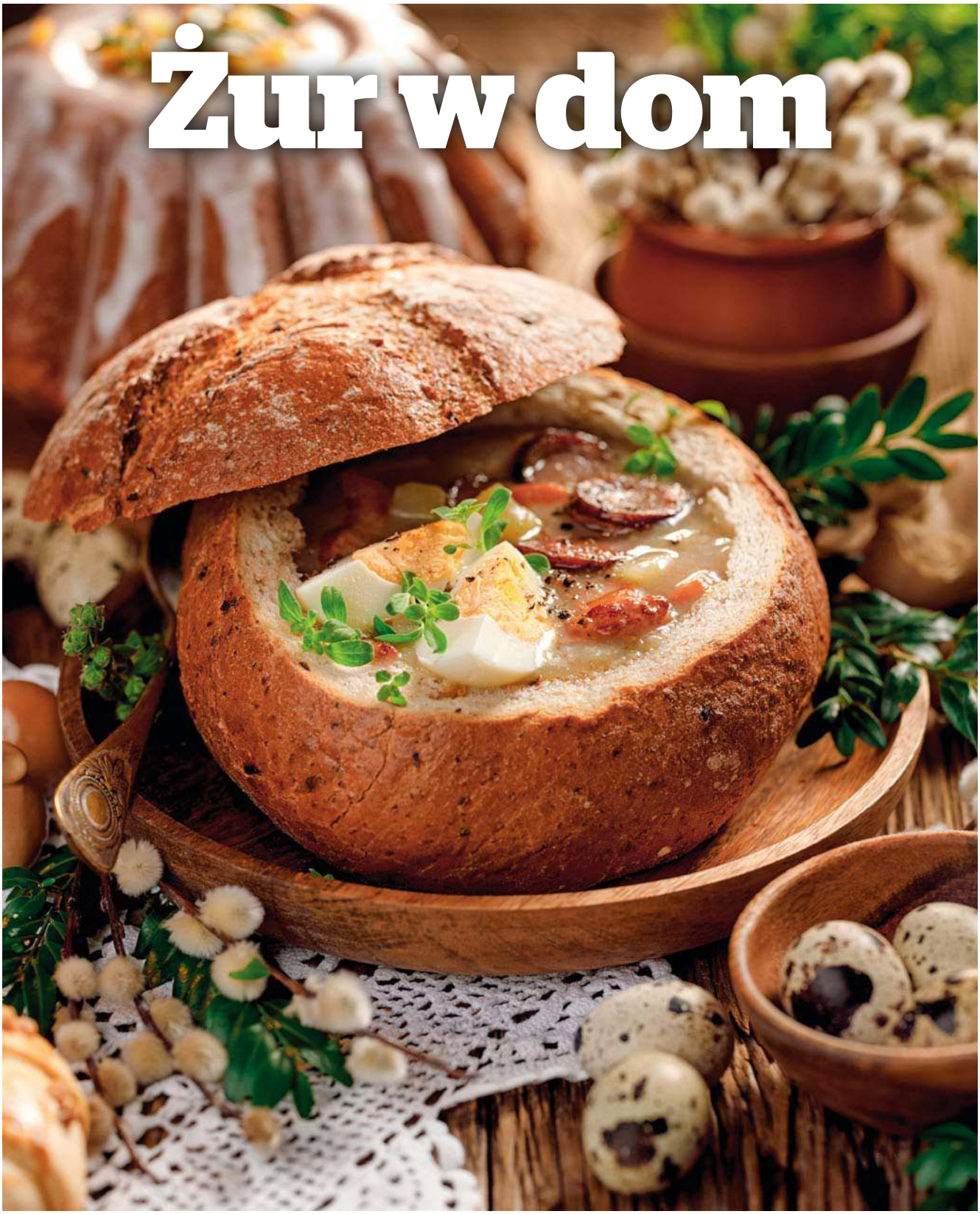
* Raport „Klimat ryzyka" przygotowany na zlecanie PIU przez Deloitte jest dostępny na www.piu.org.pl.



Jarosław Bierecki, prezes FWUW

eprasa.pl 17e0412b07

Żur w dom



Fot. Shutterstock (x4)

Czy wyobrażacie sobie, że najlepsza i najzdrowsza polska świąteczna zupa, podawana dziś na każdym stole w Wielką Niedzielę, w dawnych czasach była daniem znienawidzonym do tego stopnia, iż urządzano jej uroczysty pogrzeb?

Jak do tego doszło? Skąd tyle złych emocji wokół zdrowego jedzenia? Odpowiedź jest prosta – żur źle się kojarzył. Wszystko dlatego, że był daniem obowiązkowym w czasie postu.

Nasi przodkowie do kwestii zakazów i nakazów kościelnych podchodzili poważnie i sześć tygodni przed Wielkanocą – od Środy Popielcowej, kiedy posypywali głowę popiołem, do Wielkiego Czwartku – odmawiali sobie przyjemności, pokutowali za grzechy i przygotowywali się duchowo na uroczyste Zmartwychwstanie Pańskie. Nie było w tym czasie hucznych imprez ani kulinarnych orgii. Żadnych kotletów, pasztetów, kiełbas, ba, w wielu regionach rezygnowano nawet z omasty. Tylko sucha kasza, groch na sypko, kwaszona kapusta, brukiew, kartofle, czarny chleb.

POSTNA DIETA

Dziś wiele osób przechodzi na taką dietę świadomie, żeby nie jeść tuczonego na skalę przemysłową drobiu, mięsa ani białej jak śnieg, oczyszczonej z wszelkich wartościowych składników mąki, a karierę robią naturalne kiszonki, bogate w bakterie probiotyczne. Niektórzy poszczą też regularnie wiosną dla zdrowia, żeby przepucować jelita, pozbyć się z organizmu toksyn i odżyć po zimie, ale dawniej była to ciężka kara za grzechy karnawału.

Symbolem tej udręki był właśnie żur, zupa z kiszonej mąki żytniej. I jeszcze chudy solony śledź, bo w jego towarzystwie często tę zupę jadano. Nienawiść przenosiła się nawet na gliniany garnek, w którym przechowywano żur – uroczyście i z wielkim hukiem go rozbijano.

Wypraszanie zupy z domu odbywało się w Wielki Piątek. Dla młodzieży we dworach była to niezła atrakcja, trzeba było tylko znaleźć nowicjusza ofiarę. Najpierw śledzia, który „przez siedem niedziel prześladował poszczące żołądki" przywiązywano sznurkiem do długiej gałęzi. On szedł na czele procesji. Potem żur „wynosili z kuchni jako już dłużej niepotrzebny, co było sidłem dla zwiedzenia jakiego prostaka. Namówili go, żeby garnek z żurem w kawale sieci wziął na plecy i niósł go tak, albo na głowie trzymając kwidem do pogrzebu; za niosącym frant jeden szedł z rydlem, mający dół kopać żurowi i w nim go pochować. Gdy się wyprowadzili z kuchni na dziedziniec, ów, co szedł z rydlem, uderzył w garnek, a żur natychmiast oblał niosącego i sprawił śmiech asystującym temu zmyślonemu pogrzebowi żurowemu i patrzącym na niego" – tak ten zwyczaj wspominał Jędrzej Kitowicz w „Opisie obyczajów za panowania Augusta III". Na końcu grabarz zakopywał ofiary gdzieś w polu, a wszyscy zacierali ręce, bo była to zapowiedź wielkiego obżarstwa, które miało się zacząć następnego dnia.

NA KWAŚNO

Polewka z kiszonej mąki nieprzypadkowo robiła karierę na przednówku. Była wprawdzie zupą postną, ale zdrową, na prawdziwym zakwasie, a ten dostarczał cennych witamin, których brakowało po zimie. Podobnie działała kwaszona kapusta, którą udeptywano jesienią w beczkach w każdym dworze. Kapuśniak z żurkiem ratowały ludziom życie – witaminy C w tabletkach przecież nie znano.



Polska jest jednym z nielicznych krajów na świecie, gdzie zjemy żur w niemal każdej restauracji. Smak może być nieco inny, bo w różnych regionach kwaszono różne rodzaje mąki – pszenną, żytnią, owsianą – ale zasada gotowania żuru, białego barszczu, zalewajki jest wszędzie podobna. Co ciekawe, najstarszy zachowany przepis na biały barszcz, pochodzący z XVI w. (choć zupę jadano podobno już 300 lat wcześniej), bardzo się różni od dzisiejszych. Robiono go z gotowanych w wodzie roślin: barszczu zwyczajnego, komosy i lebiody. Kwaśny smak powstawał, gdy do wody dodano zakwas z mąki żytniej, wykorzystywano też owoce berberysu, porzeczki, żurawiny czy agrest lub wodę z kapusty kwaszonej. Taką zupę nazywano w różnych regionach Polski albo żurem, albo białym barszczem. Łemkowie o swojej mówili kiesełycia, a zakwas robili z otrąb owsianych i mąki jęczmiennej z kminkiem. Podawali go z ziemniakami. W Beskidzie Niskim jadano ją codziennie, zwłaszcza zimą, bo owies rozgrzewał i dodawał sił.

W niektórych regionach mączną polewkę zabielano mlekiem, ale nie to różniło barszczu białego od żuru. Barszcz nastawiano na mące pszennej razowej, a żur – na żytniej, dzięki czemu był ostrzejszy i kwaśniejszy.

NAJLEPSZY DOMOWY

W XIX w. zakwas pyrkał chyba w każdym domu, nawet tym najbiedniejszym, bo zupa do drogich nie należy, zwłaszcza w wersji light, czyli bez kiełbasy czy wędzonki. Nikomu by nawet nie przyszło do głowy, żeby go szukać po sklepach. Każda gospodyni miała swoją kaflową kuchnię, a w rogu na blasze kamienny gar. W nim

chodził zakwas. Gotowano na nim żur i pieczono chleb, bo spulchniał ciasto i nadawał mu charakterystyczny, lekko kwaskowaty smak.

Pamiętam jeszcze z dzieciństwa, że przed Wielkanocą (ale nie tylko, bo wszyscy lubili kwaśne, orzeźwiające smaki) w glinianym garnku w kącie blachy dojrzewał żur. Robiłyśmy go z babcią albo mamą z żytniej mąki zalanej letnią wodą, dodawałyśmy skórkę razowca, listek laurowy, kilka kulek ziela angielskiego, dwa czy trzy ząbki czosnku. Wszystko przykrywałyśmy lnianą ściereczką. Z kamionki zawsze wystawała drewniana łyżka. Każda z nas wiedziała, że kilka razy dziennie trzeba było zamieszać w garze. Zakwas musiał mieć ciepło, a w rogu kuchennej blachy nie gotował się, lecz powolutku dojrzewał.

Dziś kuchnia kaflowa jest rzadkością, co nie znaczy, że nie uda się zrobić zakwasu. I na mące żytniej, i na pszennej razowej lub orkiszowej, podobno najzdrowszej, którą można teraz kupić bez problemu. Jeśli brakuje ci czasu, możesz też nabyć suszony zakwas, np. plenus natura czy na stronie brovin.pl.

JAK SAMEMU KARMIĆ ZAKWAS

Wyhodujesz go w pięć dni. Potrzeba tylko mąki żytniej lub pszennej, najlepiej z pełnego przemiału, oraz letniej wody. Nastawiamy na wieczór. Trzy czubate łyżki mąki (ok. 100 g) mieszamy z taką samą ilością letniej wody. Papka powinna mieć konsystencję jogurtu, odstawiamy ją w ciepłe miejsce (może to być lekko nagrzany piekarnik albo wolnowar), słoik okrywamy lnianą ściereczką. Teraz do akcji wkraczają drożdże, które są w powietrzu. Rano mieszamy drewnianą łyżką. Wieczorem karmimy po raz pierwszy: wsypujemy do słoika półtorej łyżki mąki i tyle samo letniej wody. Znów mieszamy i odstawiamy w ciepłe miejsce. Tak przez pięć dni – zakwas wtedy dojrzeje (bąbelkuje) i będzie gotowy do zupy lub pieczenia. Część zawsze zachowuj w słoiku – to będzie starter na kolejny zakwas.





A MOŻE KISEŁYCIA

Na jeden litr bierzemy pół słoika płatków owsianych, dwa ząbki czosnku, zalewamy ciepłą wodą do 3/4 objętości, dodajemy skórkę porządnego chleba na zakwasie. Słoik zakręcamy lekko, żeby w czasie fermentacji nie rozsadziły go gazy. Odstawiamy na trzy dni.

Dwa–cztery listki laurowe, kilka ziaren ziela angielskiego, łyżeczkę kminku wrzucamy do litra wrzątku. Po kilkunastu minutach przelewamy zakwas do wrzątku, przecieramy, suche płatki wyrzucamy. Gotujemy, podajemy z ziemniakami i smażoną cebulką.

NAJLEPSZY ŻUREK

Podsmażamy na patelni cienkie paseczki boczku, na tłuszcz wrzucamy pokrojoną w kostkę cebulę, podsmażamy, aż się zeszkli, i wlewamy do garnka z dwoma litrami gorącego bulionu warzywnego albo wywaru, w którym gotowała się biała kiełbasa (ten drugi wariant jest zdecydowanie lepszy, trzeba tylko mieć zaufanego dostawcę kiełbasy, która nie została naszpikowana chemią). Wrzucamy dwa–trzy suszone podgrzybki, które dają głębię smaku. Po kilku minutach dodajemy zakwas – około pół litra, najlepiej partiami, żeby zupa nie wyszła za ostra, rozgnieciony ząbek czosnku, dwie łyżki chrzanu, trzy listki bobkowe, pięć kulek ziela angielskiego oraz majeranek. Żurek zostawiamy na kilka minut na niewielkim ogniu, potem zdejmujemy, lekko przestudzamy – teraz można dodać śmietanę. Podajemy z ugotowanym na twardo jajkiem i białą kiełbasą w plastrach.

Ja do takiego żurku lubię dodać dwie kromki żytniego chleba – ma lepszy smak i gęstość.

Anna Monicka

Ciągle się obracam wokół pamięci

Jeśli dzięki „Szóstce” ludzie choć trochę się otworzą, zmienią nastawienie do przeszczepów, to naprawdę będę uważała, że mój zawód ma dodatkowy, ważny sens poza tym artystycznym

Z Gabrielą Muskałą, aktorką, scenarzystką, dramatopisarką, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jak to jest spędzać święta na Wawelu?

Gabriela Muskała: Jeśli ma się niewiele lat, wydaje się to całkiem naturalne.

Kto mieszkał w tak niezwykłym miejscu?

Mój pradziadek Michał, który był mistrzem pozłotniczym. Po wojnie przyjechali z prababcią do Krakowa. Pradziadek odnawiał tam wiele zabytków, m.in. ołtarz Wita Stwosza. Miał pracownię na Zamku Królewskim i służbowe mieszkanie w kamienicy



Fot. Bartosz Krupa/East News


„Fuga", reż. Agnieszka Smoczyńska

na samym Wawelu. Przyjeżdżałyśmy do pradziadków na święta.

Z Kłodzka?

Z Ołdrzychowic Kłodzkich. Rodzice poznali się w Krakowie, tu kończyli medycynę, a potem wyjechali „na chwilę" do Kotliny Kłodzkiej. Mieszkają tam do dziś. Nasze dzieciństwo, moje i mojej siostry Moniki, upływało poza miejskim gwarem.

Usłyszałam, że w dzieciństwie w jakiś sposób została pani przygotowana do serialu „Szóstka", w którym bohaterów łączy tzw. łańcuchowy przeszczep nerki; że wróciły pewne doświadczenia. Jakie?

Mieszkałam z rodzicami w ośrodku zdrowia w Ołdrzychowicach Kłodzkich, gdzie spędziłam pierwsze 21 lat życia. Tata – kardiolog, pracował w Kłodzku, w szpitalu, a popołudniami był wiejskim lekarzem. Na górze było nasze mieszkanie, na dole tata przyjmował pacjentów. Codziennie ich spotykałam – gdy szłam do szkoły i gdy z niej wracałam. W letnie dni pacjenci czekali też na podwórku, w miejscu naszych zabaw. Napatrzyłam się na jakieś drobne skaleczenia, ale też na cięższe przypadki i większe dramaty. To mi się przydało na planie „Szóstki".

Rodzice lekarze, a pani z siostrą...?

Rzeczywiście nie było w naszej rodzinie tradycji artystycznych poza wspomnianym pradziadkiem. Trudno powiedzieć, skąd nam się to wzięło... Monika pisze, tłumaczy, ja jestem aktorką, która również pisze.

Stworzyłyście autorski duet. Sztuki podpisane pseudonimem Amanita Muskaria doczekały się też wystawień. Przypomnijmy je, proszę.

Monodram „Podróż do Buenos Aires" miał prapremierę 18 lat temu, „Daily Soup" było grane przez osiem sezonów w Teatrze Narodowym, „Cicha noc" zekranizowana w Teatrotece, a „Tożsamość Wila" od grudnia 2017 r. jest w repertuarze Teatru Ludowego w Krakowie. To był również mój debiut reżyserski.

Pamiętamy elektryzującą siostrzaną relację, którą stworzyły panie z Agatą Kuleszą w filmie „Moje córki krowy" w reżyserii Kingi Dębskiej. Amanita Muskaria też doświadcza takiej rodzinnej ekspresji?

Mamy zupełnie inne relacje. Kochamy się i zawsze się wspierałyśmy.

„Moje córki krowy" odwoływały się do autentycznych zdarzeń. Niesamowita jest też historia pradziadka z Wawelu. Zgadza się pani z tym, że życie pisze najlepsze scenariusze?

Na pewno bywa inspirujące. I trudno się od niego odciąć w twórczości.

Potrafi zaskoczyć nawet osobę piszącą scenariusze, jak podczas Orłów?

Bardzo mnie ucieszyły te trzy nominacje do nagród Polskiej Akademii Filmowej, w tym dwie aktorskie – za główną rolę w filmie „Fuga" w reżyserii Agnieszki Smoczyńskiej i drugoplanową w „7 uczuciach" Marka Koterskiego.

Role znakomite, tymczasem skrzydlatą statuetkę dostała pani w kategorii Odkrycie roku.

Za scenariusz do filmu „Fuga". Jestem z tego Orła dumna. To piękne zwieńczenie 13 ciężkich lat pracy nad tym projektem.

Czy aktorka musi pisać, by móc zagrać ciekawą, wielowymiarową rolę?

To nie był powód, dla którego zdecydowałam się siebie obsadzić. Po prostu zobaczyłam poza ciekawą historią do napisania bardzo intrygującą i niesamowicie dla mnie pociągającą rolę. Zresztą uważam, że w polskim kinie w ogóle dzieje się coraz ciekawiej, zwłaszcza dla kobiet, także tych po czterdziestce i pięćdziesiątce.

Bohaterka „Fugi" jest równie nieoczywista jak sam tytuł.

W tytule nie chodzi oczywiście o utwór muzyczny ani tym bardziej o wypełnienie między kafelkami [śmiech], ile o psychikę. Zaburzenie dotyczące bohaterki, która mnie zainspirowała do napisania tego scenariusza, nosi nazwę fugi dysocjacyjnej i w największym skrócie polega na tym, że ktoś, kto długo żyje w niezgodzie na otaczającą go rzeczywistość, a nie potrafi z tej rzeczywistości się wydostać, ucieka w psychiczny niebyt. Mózg resetuje mu pamięć, głównie tę biograficzną, i człowiek nawet nie wie, jak ma na imię. Co więcej, zmienia mu


„7 uczuć", reż. Marek Koterski


„Moje córki krowy", reż. Kinga Dębska

Fot. Mat. prasowe (x4)

się osobowość i powstaje nowa, często skrajnie różna od tej poprzedniej.

Ubiegły rok to z jednej strony dojrzała, choć pogubiona, bohaterka „Fugi", z drugiej – dziewczynka przenosząca w czas peerelowskiego dzieciństwa. Pierwsza przyszła wraz z medycznym przypadkiem, o którym się pani dowiedziała, a druga?

Jest scenariuszowym i reżyserskim darem od Marka Koterskiego, któremu będę dozgonnie za tę rolę wdzięczna.

Plejada aktorska została ubrana w szkolne mundurki, ale to pani skradła „7 uczuć".

Nie mogę tego słuchać [śmiech]. Bardzo cenię kolegów z innych ławek i uważam, że cała nasza klasa jest na piątkę z plusem.

Czy w postaci prymuski Weronki było coś z pani szkolnej pamięci?

Nie byłam kujonką, choć tata sporo od nas wymagał. Pamiętam, gdy trzeba było odrabiać lekcje, a ja chciałam rzucać w kąt torbę i biec: do żabek, muszek, koników polnych. I zwierząt z gospodarstwa mojej sąsiadki. Miejsce, w którym się wychowałyśmy, zapewniało wiele takich fantastycznych pokus. Jednak postać filmowej Weronki była tak dobrze napisana, że nie potrzebowałam zewnętrznych inspiracji. Wystarczyła mi ostatnia scena z ojcem.

Przypomnijmy: ostro karci córkę za... piątkę z minusem.

Ta scena zdefiniowała mi tę postać, pokazała, że Weronka zbudowana jest z ogromnego ciśnienia, jakie wywiera na niej ojciec. Ona nie może być dobra, ona musi być perfekcyjna. Zabawna z początku, okazuje się postacią tragiczną.

A jaka jest Beata z „Szóstki"?

Jak wielu chorych – i to mnie bardzo zaciekawiło w tej postaci, bo nie lubię bohaterów jednowymiarowych – naznaczona przez chorobę, staje się dla bliskich trochę nieznośna. Przeszczep nerki to dla niej dosłownie „być albo nie być". Bardzo chce jeszcze urodzić dziecko i wie, że ma na to niewiele czasu. Frustracja chorych często dotyka najbliższych. Dobrze szczerze o tym mówić. Tak jak o samym dawstwie narządów. Jeśli dzięki „Szóstce" ludzie choć trochę się otworzą, zmienią nastawienie do przeszczepów, to naprawdę będę uważała, że mój zawód ma dodatkowy, ważny sens poza tym artystycznym.

„Szóstka" trafiła już do telewidzów, a co się jeszcze aktorsko u pani dzieje?

Bardzo ważnym, wciąż świeżym doświadczeniem jest premiera „Jak być kochaną?" w Teatrze Narodowym (najbliższe spektakle odbędą się 14 i 15 maja). Sceniczną wersję opowiadania Kazimierza Brandysa, które stało się podstawą głośnego filmu Wojciecha J. Hasa z 1963 r., wyreżyserowała Lena Frankiewicz. Gram główną bohaterkę – Felicję. Kiedy przyszła do mnie ta propozycja, pomyślałam: znowu pamięć.


„Szóstka", serial TVN

Pamięć?

Ciągle się wokół niej obracam. Sztuki, które tworzymy z Moniką, dotyczą pamięci, a właściwie zapominania. „Fuga" też o tym opowiada, a tu przychodzi z zewnątrz projekt, którego głównym tematem znów jest pamięć. Tym razem to opowieść o kobiecie, którą bolesne wspomnienia drążą, osaczają od wielu lat, i od których bohaterka nie może się uwolnić.

Pamięci, tej pozytywnej, służyć mogą rodzinne spotkania. Są dla pani ważne?

Oczywiście. Spotykamy się, kiedy tylko możemy. Nie tylko w święta, które co roku spędzamy tradycyjnie w Kłodzku. Rodzice są na wszystkich moich premierach. Jeździmy też razem często na wakacje. Całą rodziną podróżowaliśmy m.in. po Argentynie.

Naprawdę?

To było 10 lat temu, rodzice byli troszkę młodsi, ale 70-latkowie przemieszczali się camperem bez problemów. Zwiedziliśmy w ten sposób pół Argentyny.

Jest co wspominać. A macie jakieś rodzinne zwyczaje świąteczne?

Mama zawsze dba o zachowanie tradycji. Także tych kulinarnych. Na Wielkanoc przygotowuje mazurki i inne dania, a my pomagamy. Ale święta to dla nas przede wszystkim święto rodzinnego spotkania. Wspólnie spędzony czas, w który wpisane jest to, że się wtedy nie pracuje, tylko jest się razem. Z najbliższymi. I to jest wspaniałe.

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Średniowieczny Sherlock w habicie

„Imię róży" Umberto Eco to jedna z ważnych dla mnie książek. Musiałem więc zerknąć na dwa pierwsze odcinki nakręconego według niej serialu, włoskiego, choć z międzynarodową obsadą, na Canal+. Jestem zaciekawiony, ale boję się rozczarowania.

Zaczynałem od sławnego filmu Jeana-Jacques'a Annauda z 1986 r. Nie znałem książki, a jednak wyczuwałem, że kino spłaszczyło wymowę. Dawało się zapamiętać Seana Connery'ego jako szlachetnego, ale zbyt jednowymiarowego franciszkanina Williama z Baskerville, benedyktyńskich zakonników jako galerię groteskowych indywiduów, Rona Perlmana jako zdeformowanego Salwatora i plakatowy, pseudorewolucyjny finał. Jak już wtedy podejrzewałem, inny od książkowego.

Zaraz potem poznałem powieść. Najbardziej fascynujące w tym tekście jest to, czego obraz filmowy raczej nie odda: próba opowiedzenia świata wyobraźni człowieka Średniowiecza. Temu służą długaśne opisy dzieł sztuki i wizje młodocianego Adso – narratora, pełne ówczesnych symboli. Także rytualny, tętniący powtarzalnymi metaforami, kościelny język. Przy całym narzekaniu na postmodernistyczną dezynwolturę Eco wobec prawd wiary wszystko to wydało mi się fascynujące.

Pisarz świetnie wybrał historyczny moment, kiedy skumulowały się napięcia cywilizacyjne epoki. Na początku XIV w. polityczna, ale też ideologiczna wojna niemieckiego cesarstwa z francuskim papiestwem nałożyła się na debatę o bogactwie i ubóstwie Kościoła, a tak naprawdę o istocie jego posłannictwa. Ta debata ma się tu odbyć w konkretnym włoskim klasztorze. Ale Eco poza ten spór wychodzi. Stawiając poprzez kryminalną fabułę pytanie o rolę tabu, zakazu. Na ile są one nierozłączne z doktryną chrześcijańską.

Po dwóch odcinkach mam wrażenie, że serial Giacomo Battiato, reżysera filmów o Janie Pawle II, jest poważniejszy od dzieła Annauda. Oddaje aurę tajemnicy otaczającej bibliotekę benedyktyńskiego klasztoru. Wydobywa smaczki wynikłe ze śledztwa prowadzonego przez Williama z Baskerville, kiedy zaczynają ginąć mnisi. Próbuje uchwycić zróżnicowaną galerię postaci w jednakowych habitach.

Zarazem... Nie marzę o oddaniu malowniczości wizji Adso, ale o choćby pogoni za przesłaniem. W książce od razu pojawia się Hubertyn, franciszkanin łączący żarliwość w obronie ubóstwa i uczciwości Kościoła z fanatyzmem obyczajowym. Eco umie wydobyć z tej postaci jej paradoksalność. Nie wiem, czy nawet jeśli wystąpi on później w serialu, nie zostanie spłaszczony. Wyraźnie zmierza się bowiem do konfrontacji dwóch postaw: światłego, elastycznego prekursora Odrodzenia Williama z okrutnym inkwizytorem Bernardem Gui. W książce to tylko jedna z wielu warstw rzeczywistości.

Po tych dwóch odcinkach można się też spodziewać rozbudowania wątku Dulcynianów, równościowej sekty błąkającej się w tle jako zagrożenie lub nadzieja. W powieści byli głównie wspomnieniem. Tu jakby nadal działali, niedaleko klasztoru. To jest zgodne z filmową manierą pokazywania Średniowiecza jako podszytego ponad miarę światopoglądowo-społeczną rewolucją. Eco był bardziej realistyczny. No i wystrzegał się dydaktycznego plakatu.



Sean Connery był Williamem charyzmatycznym, ale zbyt doskonałym. John Turturro, choćby z uwagi na wygląd, to bohater bardziej pokrętny, dwuznaczny. My, Polacy, zauważamy Piotra Adamczyka jako klasztornego zielarza. Ale trzeba przyznać, że cała galeria aktorów jest przednia. Sceptyczny, choć życzliwy, czekam, co dalej.

Piotr Zaremba

Autopromocja

Prenumerata

SIECI + wSIECI HISTORII

z prezentem



koszulka z kultowym powiedzeniem

Koszulki damskie w rozmiarach: **S, M, L**

Koszulki męskie w rozmiarach: **M, L, XL, XXL**

Zamawiając prenumeratę, podaj rodzaj i rozmiar koszulki, np. męska L

~~463,80 zł~~

40% TANIEJ

280 zł

PRENUMERATA ROCZNA

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**,
Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisz rodzaj oraz rozmiar koszulki (np. męska L) i pełne dane adresowe do wysyłki. Szczegóły w regulaminie promocji: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata i pod tel. 22 616 15 70

Oto sprawiedliwy

Życie Czapskiego wymagało nie tyle przypomnienia, ile innego niż dotąd opowiedzenia. W biografii pióra Erica Karpelesa usłyszymy wierne echo tonu, po który sięgał sam malarz

Malarz? Pamiętnikarz? Eseista? Król? Świadek wieku? W przypadku Józefa Czapskiego nie pojawia się, jak przy tylu innych polskich żywotach, niebezpieczeństwo zapomnienia. Istnieją przecież albumy, kolejne tomy korespondencji i esejów, kolejne wydania jego biografii pióra Wojciecha Karpińskiego, pawilon w Krakowie dokumentujący życie i dzieło Czapskiego ma szeroko otwarte podwoje, a „Zeszyty Literackie" najpierw śmieszyły, a z czasem wzruszały wiernością, z jaką w kolejnych numerach zawsze zamieszczały bodaj kilka listów z nieprzebranej spuścizny po wędrowcu. Można by wręcz westchnąć, że Czapski został ucukrowany i zredukowany do kilku popularnych wątków ze swojej biografii; obowiązkowy, obiegowy „świadek Katynia" czy „człowiek »Kultury«". Dla kolejnych roczników warszawiaków ciągnących do Maisons-Laffitte również po odzyskaniu niepodległości przygarbiony pielgrzym stawał się coraz bardziej „Józiem z pięterka", z którym należy zrobić sobie zdjęcie: jeszcze jedna z narodowych pamiątek. Wolność, jakiej perspektywę podsuwał swoimi wyborami, odwaga, której dał dowody, pokrywały się niechcianym werniksem.

„Prawie nic", biografia bardzo uczciwa w warstwie faktograficznej, nie jest więc odkrywaniem nieznanego, nie oferuje nam rewelacji, za pomocą których nieraz sprzedawane są nowe ujęcia wielkich życiorysów. Owszem, wędrujemy szlakiem, z którym oswoiły nas już liczne próby autorów mierzących się z nieobjętą biografią Czapskiego. Kosmopolityczne korzenie, „Europa w rodzinie", parantele Thunów i dwór w zapadłych w mszarach Pryłukach, smutnych, mitycznych i odległych. Petersburg/Piotrogród, a w nim Czapski,



Wojciech Stanisławski

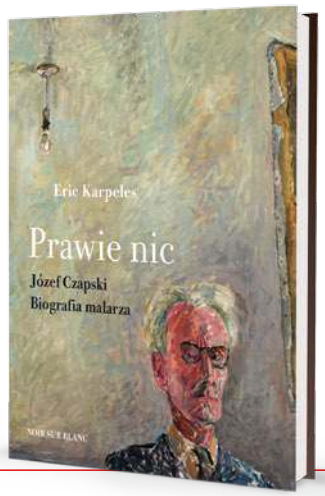
z praporszczyka pacyfista. Wojna roku dwudziestego i Virtuti, dwudziestolecie i bolesne wykluwanie się malarza, kochanka, katolika, niepewnego siebie w żadnej z ról ani orientacji. Paryż i Proust – i ten sam Proust w Griazowcu, na zgniłych deskach pryczy, z czarnym cieniem Katynia w tle. I dalej, przez Jangi-Jul, Palestynę, zdjęcie w koalicyjce u boku Andersa. Kto ciekaw, ten zna.

A mimo to właśnie ta warstwa opowieści może się stać najważniejszą przyczyną, dla której najnowsza biografia Czapskiego z dnia na dzień przyciąga coraz większą uwagę czytających. W świecie, w którym trwa bezustanna rywalizacja o pamięć, uwagę i współczucie, w sytuacji, w której co kilka miesięcy polską opinią publiczną wstrząsają echa zdumiewającej ignorancji lub niesprawiedliwości, z jaką traktowana jest nasza przeszłość, a z frazą „Polish death camps" zdołaliśmy się już właściwie, ze szczyptą rezygnacji, oswoić – książka Karpelesa okazuje się zarazem źródłem otuchy i szokiem. Więc można jeszcze w ten sposób pisać o polskim doświadczeniu wojny i komunizmu – nie tylko rzetelnie, lecz wręcz żarliwie?

Nowojorczyk z urodzenia, liberał z przekonań, esteta z upodobań, autor, którego do pochylenia się nad Polską nie skłaniają żadne parantele w rodzaju wspólnych przodków, żadne „pokrewieństwa z wyboru", dzięki którym polska sprawa zyskuje czasem adwokatów w kręgach integralnych antykomunistów lub tradycjonalistów katolickich, pisze wiernie i gniewnie o koszmarze września 1939, łagrów, a co więcej – Jałty. Przypomnienie, że „Polska straciła [w wojnie] 38 procent majątku narodowego, Francja – półtora, Wielka Brytania – osiem dziesiątych procent" to niby tylko materiał do infografiki – lecz jak piekielnie trudno dotrzeć z tą informacją do świadomości Zachodu! „Członek zwycięskiego sojuszu został potraktowany przez swoich sojuszników jak państwo wrogie, pozbawiony terytorium i wolności" – to podsumowanie Jałty, które wciąż spodziewamy się usłyszeć. Tym tonem – znajomym w swojej istocie, zdumiewającym, gdy dociera do nas w przekładzie z angielskiego – Karpeles opisuje ciągnące na wschód kolumny jeńców, umieranie dzieci w kazachskim stepie, ba – paryską lewicę lat 40. i 50., sawantów Stalina nie tyle zaślepionych, ile świadomie przemilczających świadectwa o gułagu. To, że podobne odrzucenie sowietyzmu i życzliwość dla „sprawy polskiej" budzą w nas, w trakcie lektury, zaskoczenie i niedowierzanie, jest dość wymowne.

A zarazem – byłoby fatalnym nieporozumieniem, gdyby polscy czytelnicy skupili się na poszukiwaniu w tej książce pocieszenia czy uznania, plasterka à la Moniza Clavier. Owszem, mamy do czynienia z tłem historycznym, w którym jesteśmy w stanie się odnaleźć. Świetne są sporządzane przez Karpelesa opisy dzieł

Czapskiego, w których odnajdujemy potoczystość Goncourtów czy Muratowa. Otrzymaliśmy biografię szczegółową, wolną od korektora czy pruderii, choć niekoniecznie „totalną". Oszczędnie zostały w niej potraktowane losy Czapskiego w latach 30., niemal nieobecny jest ważny dla niego w tamtych latach wątek serdecznych kontaktów z „białymi" emigrantami rosyjskimi, próżno byłoby szukać niektórych korespondentów czy przyjaźni. Mnóstwo w niej za to odkryć, których można było dokonać tylko za sprawą uważności: ot, choćby podpis właściciela na okładce ordynarnego sowieckiego zeszytu, brzmiący „J. Czapski/Bielańska 14" – „ostatni przedwojenny adres, polska boja pośród rosyjskiego sztormu". W „Prawie nic" nie to jest jednak najważniejsze.



Eric Karpeles, „Prawie nic. Józef Czapski. Biografia malarza", tłum. Marek Fedyszak, Noir sur Blanc, 2019

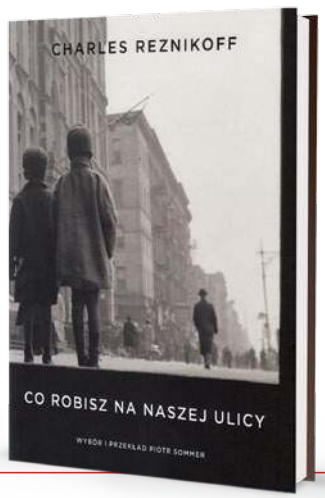
Karpeles, który dowiedział się o istnieniu polskiego malarza, badając recepcję Prousta, wyjątkowo dużo uwagi poświęca wysiłkowi, z jakim Czapski podjął próbę opowiedzenia o „siedmioksięgu" współwięźniom w Griazowcu. W sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia, pozbawiony bodaj pojedynczej strony oryginału, piszący ogryzkiem ołówka malarz dokonał wówczas rzeczy niewiarygodnej: wskrzesił z pamięci powieść, z którą mierzył się od piętnastu lat. Amerykański eseista na naszych oczach niejako powtarza tę figurę, niczym na obrazach dawnych mistrzów, gdzie świat odbijał się w zwierciadle lub w misie. „Prawie nic" napisane zostało językiem, który znamy ze „Swobody tajemnej" i „Wyrwanych stron", z listów i zapisów, z epigrafów, po które sięgali inni autorzy: wahającym się, niemal niepewnym, nieledwie zakłopotanym, lecz ostatecznie trafiającym w sedno, niepowtarzalnym językiem samego Czapskiego. Nie mamy przy tym do czynienia z parafrazą, z „nadpisywaniem" nowych treści starymi słowami, lecz raczej z głębokim rozpoznaniem na granicy utożsamienia. Czapski, wychudły major, docierający w swojej mission impossible poszukiwania zamordowanych kolegów do centrali NKWD rozpoznał się w Prouście – człowieku, który zrezygnował z życia w imię tworzenia. Karpeles, który ma w swojej biografii epizod kierowcy karetki pogotowia i wykładowcy Claremont College, odnalazł się w Czapskim.

Jednorożec

Rzadko piszę o wierszach, które się ukazują; nie wydaje mi się, żeby możliwe było napisać o nich coś więcej niż, jeśli są dobre, już w sobie zawierają, żeby potrzebne było zamienianie ich kilkoma pociągnięciami analitycznego pióra w „salamandrę objedzoną przez mrówki". Ale nie wspomnieć o Reznikoffie?

Sam nie troszczył się o sławę: swoje kolejne zbiorki wydawał na staroświeckiej maszynie drukarskiej zataszczonej do piwnicy rodzinnego domu lub powierzał niszowym wydawcom. Żył też ptasio, nie odwołując się ani do prawniczego wykształcenia, ani do talentu do języków i składania słów, wędrując między Brownsville a Brooklynem (niemal nie ruszał się poza Nowy Jork), utrzymując się z drobnych, uczciwych prac. Syn żydowskich emigrantów z carskiej Rosji, świadek amerykańskiego XX w., przez dekady znany garstce czytelników kwartalnika „Poetry".

Ale o tym wszystkim można nie wiedzieć, podobnie jako filiacjach Reznikoffa, jego miejscu na mapie anglosa-



Charles Reznikoff, „Co robisz na naszej ulicy", wybór i przekład Piotr Sommer, WBPiCAK, Poznań, 2019

skiego modernizmu, jego urzekających dziwactwach. I tak pozostanie największym nowojorskim perypatetykiem, wędrującym przez żydowskie, portorykańskie, ormiańskie dzielnice, spisującym głosy biednych ludzi i ulotne znaki: oświetlony prostokąt śniegu, jedyny znak Księżyca w podwórku studni kamienicy z początku wieku i „sztywne kreski gałązek/ rozmazane przez pąki" – znak kwietnia. I jakkolwiek nie uciekałby od metafor, nie angażował w krótkotrwały ruch obiektywistów, nakazujących sobie powściągliwość opisu – wszystko, co wychodziło spod jego pióra, było zapisem małych, splamionych sadzą cudów wielkomiejskiego świata. „Niech będą ucztą dla was, którzy o zimnym zmierzchu/ jedziecie mostem/ te plastry światła, budynki Manhattanu" – wołał. I zagadywał, jak w jednym z najbardziej znanych wierszy, który użyczył tytułu temu tomikowi: „Co robisz na naszej ulicy pośród samochodów/ koniu?/ Jak się miewają twoi krewni, centaur i jednorożec?".

Reznikoff, jednorożec wśród samochodów. Doskonały poeta chłodnej, słonecznej Paschy i Wielkanocy w Nowym Jorku – i w każdym innym mieście.

Adamski



Dyktatura algorytmów

DVD/VOD



Wielka Brytania tonie w oceanie montypythonowskiego absurdu, który obnaża smutną prawdę o kondycji polityków rządzących dawnym imperium. Wszystko, co się dzieje po referendalnej decyzji Brytyjczyków o wyjściu z UE, pokazuje, w jakim miejscu jest dziś kraj, nad którego imperium nie tak dawno nigdy nie zachodziło słońce. Przyczyn decyzji o wyjściu z Unii było wiele. Ten film pokazuje jedną z nich. Możliwe, że najważniejszą.

Algorytm. To on dziś rządzi światem. Jest jego policjantem, oskarżycielem i sędzią. Jest wszechobecny. Wciąż jest prymitywny i przez jakiś czas wizja z „Terminatora" i „Westworldu", gdzie sztuczna inteligencja wyrywa się spod kontroli jej kreatorów, nam nie grozi. Jednak to on nam towarzyszy podczas każdego wejścia do internetu czy korzystania ze smartfona. To on zbiera o nas informacje, o których nie śnił Orwell, pisząc „Rok 1984".

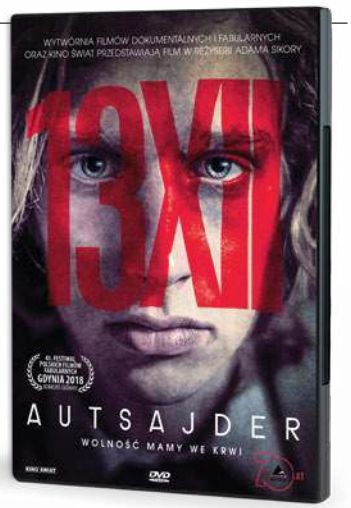
Algorytm kocha emocje. Szczególnie te najbardziej pierwotne. Plemienne. Wojenne. Wywołujące żądzę krwi i wroga. O tym jest „Brexit: The Uncivil War" Toby'ego Haynesa z Benedictem Cumberbatchem w roli demiurga Dominica Cummingsa. To on był mózgiem kampanii brexitowej. Ten polityczny strateg i wieczny outsider po niespodziewanym i populistycznym ruchu premiera Davida Camerona o zorganizowaniu referendum w sprawie wyjściu Wielkiej Brytanii z UE zrozumiał, że sukces eurosceptyków nadejdzie tylko dzięki rewolucyjnej strategii kampanijnej. Gdy wszyscy eurosceptyczni posłowie, ministrowie i niezmordowany przeciwnik UE Nigel Farage przygotowywali się do tradycyjnej kampanii referendalnej, Cummings lobbował za wykorzystaniem mediów społecznościowych. To on jest autorem chwytliwego sloganu „Vote leave, take back control" (Głosuj za odejściem, odzyskaj kontrolę). Również jego pomysłem był autobus z napisami obiecującymi przekazanie 350 mln funtów oddawanych tygodniowo na unijne składki (kwota była wzięta z sufitu) do Narodowego Funduszu Zdrowia. Nawiązał współpracę z Cambridge Analytica, dzięki czemu dotarł do 3 mln wyborców, których pomijali piarowcy głównych brytyjskich partii. Dzięki algorytmowi wynajęci przez Cummingsa spece zalali internet odpowiednio sprofilowanymi postami probrexitowymi. Było ich... 1,5 mld.

Cumberbatch jest znakomity w roli bezczelnego i pewnego siebie Cummingsa, choć jest to kolejna mutacja tej samej roli. Brytyjczyk kocha się wcielać w wybitnie inteligentnych, cynicznych autystyków („Sherlock", „Doktor Strange"). Łamanie czwartej ściany, szybki montaż, ironiczny humor – ten film ma to wszystko. Nie jest to wcale paszkwil na brexitowców. Film był nawet chwalony przez dyrektora wykonawczego kampanii na rzecz brexitu Matthew Elliotta. Istotne jest to, że film dotyka istoty buntu „milczącej większości". Takiej samej, która szokując samozwańczą liberalną arystokrację, głosowała na Trumpa, Salviniego czy Kaczyńskiego. A może syci i zadowoleni liberałowie przegrali znacznie wcześniej? „Oni zaczęli kampanię wyborczą 20 lat temu" – mówi w filmie załamany szef kampanii antybrexitowej, widząc wybuch furii oskarżanej pod naporem poprawności politycznej o rasizm białej Brytyjki. No właśnie...

„BREXIT", REŻ. TOBY HAYNES, DYSTR. BEST FILM. FILM DOSTĘPNY TEŻ NA HBO GO

DVD

Przesłuchanie



Gdyby nie powstało nigdy „Przesłuchanie" Ryszarda Bugajskiego, to „Autsajder" byłby filmem oryginalnym. Adam Sikora opowiada o przypadkowej ofierze komunizmu, tyle że osadza ją w latach 80. Franek (Łukasz Sikora) jest studentem ASP. Nie chce się angażować po żadnej ze stron konfliktu w mrocznym okresie stanu wojennego. Wszystko się zmienia, gdy kolega prosi go o przechowanie tajemniczej teczki. Chłopak trafia na przesłuchanie brutalnej SB, co prowadzi go do celi z działaczami „Solidarności". Franek musi zadać sobie pytanie o cenę neutralności politycznej. To samo pytanie zadawał Krzysztof Kieślowski w „Przypadku". Jest to dla świetnego operatora Adama Sikory (m.in. „Essential Killing" Skolimowskiego) bardzo osobisty i autobiograficzny film. Główną rolę gra jego syn. Komuniści są tu pokazani jako zwyrodnialcy, agenci SB realnie szkodzą, a komunizm ma jedną twarz. Cenię to spojrzenie, mimo jego wtórności.

„AUTSAJDER", REŻ. ADAM SIKORA, DYSTR. KINO ŚWIAT

Skala ocen: rewelacja, dobry, pozytywne zaskoczenie

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

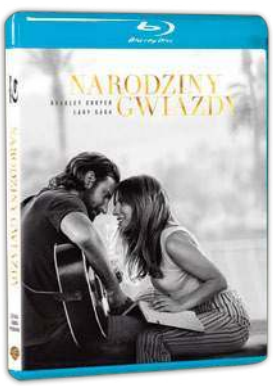
Zakochałem się w tym filmie

Trzy razy obejrzałem ten film. Za każdym razem podoba mi się bardziej. Już rozumiem, dlaczego Amerykanie tak bardzo kochają tę historię, ekranizując ją cztery razy (1937, 1954, 1976, 2018). Szkoda, że ten film nie dostał więcej Oscarów. Statuetka za porywające „Shallow" dla Lady Gagi to za mało, by docenić reżyserski debiut Bradleya Coopera. Jackson Maine (Bradley Cooper) to schodzący ze sceny gwiazdor southern rocka. Jak przystało na rockmana, pije od świtu do świtu. Do tego głuchnie. Daje coraz gorsze występy, co przeraża jego starszego brata (Sam Elliott). Pewnego dnia wpada w barze na występującą Ally (Lady Gaga). Dziewczyna daje fenomenalną interpretację piosenki Edith Piaf. Tak zaczyna się ich pełen prawdziwej miłości, ale i goryczy związek. Maine podczas jednego z koncertów zaprasza na scenę Ally, pozwalając jej pokazać nadprzeciętny talent przed setkami tysięcy widzów. Tak zaczyna się jej wielka kariera i jego powolne schodzenie ze sceny. Aż do niemal szekspirowskiego finału.

Kochamy tę historię, bo to uniwersalna i piękna opowieść o koszcie sławy. Cena,



jaką Maine i Ally muszą zapłacić za sukces, jest potworna. Stefani Germanotta gra w pewnym stopniu samą siebie. Dokonuje dekonstrukcji własnego wizerunku. To piekielnie utalentowana piosenkarka, która została przez pazernych kreatorów masowego gustu wepchnięta w kostium skandalizującej gwiazdeczki pop. Bawiąca się do tej pory aktorsko swoim wizerunkiem u Rodrigueza („Maczeta zabija", „Sin City") i w antologii „American Horror Story", Germanotta tworzy tutaj pełnokrwisty obraz kobiety. Czułej, kochającej, wybitnie utalentowanej i jednocześnie zakompleksionej oraz rozdartej wewnętrznie młodej dziewczyny, pod której stopami niespodziewanie rozwinął się czerwony dywan. Cooper nie mówi nam nic nowego o wiecznie nienasyconym potworze zwanym wódką. Gra to samo co Kris Kristofferson w wersji z 1976 r. Po wybitnej roli Jeffa Bridgesa jako autodestrukcyjnego pijaka i gwiazdy country w „Szalonym sercu" (2009) trudno było Cooperowi czymś zaskoczyć. Jest jednak przejmujący. Szczególnie w scenach odbudowywania naznaczonej piętnem dzieciństwa relacji z bratem (wielka rola Sama Elliotta). No i zachwyca na scenie, śpiewając samemu wszystkie southernrockowe utwory. Zresztą dziś chyba każdy zna jego elektryzujący emocjonalnie występ z Lady Gagą na Oscarach, gdzie skradli show, śpiewając razem „Shallow". Żadna inna piosenka w historii w jednym sezonie nie zdobyła wszystkich najważniejszych filmowo-muzycznych nagród (Grammy, Złoty Glob, Oscar)



„Narodziny gwiazdy" to nie jest film wybitny. Nie mówi nam wiele więcej niż świetna wersja z 1976 r., która Oscara za piosenkę przyniosła Barbrze Streisand. Jest to jednak film, który po prostu się świetnie ogląda i słucha. Dlatego kupcie wydanie Blu-ray. Koncertowe sceny przyprawiają o dreszcze.

„NARODZINY GWIAZDY", REŻ. BRADLEY COOPER, DYSTR. GALAPAGOS

Serial Bruce'a Lee

VOD

Chińskie gangi w San Francisco końca XIX w.? Imigranci szukający szczęścia w amerykańskim raju, którzy na lądzie spotykają się z przemocą i rasizmem miejscowych? Zatopiona w brudzie i błocie rodząca się metropolia, będąca czymś zupełnie innym od pocztówkowego wizerunku? Polityka mieszająca się z wpływami grup przestępczych? Czy to kolejna wersja wybitnego filmu Martina Scorsese „Gangi Nowego Jorku"? Nie. To „Warrior" oparty na pomyśle samego Bruce'a Lee. Pół wieku po śmierci mistrza powstał serial, który zapowiada się naprawdę przepysznie. Stoi za nim zresztą twórca „Banshee" Jonathan Tropper. Szkoda, że tej roli nie zagrał w latach 70. Bruce Lee, ale Andrew Koji jako mistrz karate Ah Sahm przykuwa do ekranu. Krwiste postacie, obrazowe odmalowanie powstającego San Francisco, piękna dla oka choreografia kung-fu i intrygujące granie schematami popkultury – pierwszy odcinek obiecuje bardzo mięsisty serial.



„WOJOWNIK" DOSTĘPNY NA HBO GO

Huawei jest technologicznym smokiem

Huawei plasuje się na drugim miejscu pod względem sprzedaży smartfonów na świecie, inwestuje potężne pieniądze w bezpieczeństwo i rozwój. Jest również liderem technologii 5G i sztucznej inteligencji



Zdjęcia: materiały prasowe

W ostatnim czasie w chińskim Shenzhen, gdzie znajduje się siedziba firmy, Guo Ping, rotating chairman Huawei, ogłosił wyniki finansowe firmy, które zaskoczyły nawet największych sceptyków, a to dopiero początek dobrych wiadomości.

GONITWA ZA POZYCJĄ LIDERA

Jeszcze parę lat temu przedstawicielom firmy Huawei nawet się nie śniło, aby zostać jednym z największych producentów smartfonów na świecie. Dzisiaj stało się to faktem. Chiński koncern powalił na kolana Apple'a, technologicznego giganta ze Stanów Zjednoczonych. W 2018 r. Huawei osiągnął przychód ze sprzedaży urządzeń mobilnych w wysokości 51 mld dolarów, co oznacza wzrost o ponad 45 proc. rok do roku. Chiński gigant ma ambicje, aby stać się liderem w sprzedaży smartfonów na całym świecie – przed nimi jest tylko Samsung. W fabryce Huawei maszyny we współpracy z ludźmi potrafią wyprodukować 2,4 tys. smartfonów na dobę. W 60 proc. pracę w fabryce wykonują maszyny, a w 40 proc. pracownicy. Przy takim tempie pracy są realne szanse, aby Huawei już niedługo był na pierwszym miejscu na świecie w sprzedaży smartfonów.

Chińczycy chlubią się tym, że w 2018 r. Huawei po raz pierwszy w historii firmy przekroczył próg 100 mld dolarów przychodu. Zarobili o jedną czwartą więcej niż rok wcześniej. W efekcie w ciągu ostatnich 10 lat przeznaczyli na badania technologiczne i rozwój ponad 71 mld dolarów. Huawei zajął również piąte miejsce na świecie w zestawieniu The 2018 EU Industrial R&D Investment Scoreboard. Według oficjalnych

eprasa.pl 17e0412b07



Z 180 tys. pracowników Huawei na całym świecie, około 30 tys. mieszka i pracuje na kampusie w Shenzhen, który ma dwa kilometry kwadratowe

danych Światowej Organizacji Własności Intelektualnej (WIPO) Chińczycy przodują w zgłaszaniu wniosków patentowych. W ostatnim roku złożyli ich aż 5405, zajmując pierwsze miejsce wśród wszystkich firm składających podania na całym świecie. Warto również zaznaczyć, że Huawei konsekwentnie rozwija biznes w chmurze – uruchomił w niej 160 usług i 140 rozwiązań. W obszarze cloud computingu współpracuje z ponad 6 tys. klientów na całym świecie – w 40 strefach czasowych w 23 regionach.

Chińczycy wiedzą, że – aby uczestniczyć w grze na rynku i powalczyć o pozycję lidera – trzeba mieć potężne inwestycje. Według EU Industrial R&D Investment Scoreboard Huawei zainwestował w poprzednim roku w badania i rozwój aż 11,33 mld euro – zajął piątą pozycję za Samsungiem (13,44 mln euro), Alphabetem (13,39 mld euro), Volkswagenem (13,14 mld euro) i Microsoftem (12,3 mld euro). Chińska firma ściśle współpracuje z Intelem, Samsungiem i Qualcommem, ponad 40 operatorami sieci komórkowych (m.in. T-Mobile, Orange, Vodafone) oraz z ponad 280 innowacyjnymi firmami z różnych branż (m.in. Philipsem, Audi, Microsoftem, Siemensem i Boschem). – Współpraca z tymi firmami jest dla nas kluczowa w rozwoju standardów naszych technologii – powiedział Tonny Bao, CEO Huawei Polska.

Polska znajduje się na drugim miejscu w Europie w rankingu państw o najszybszym rozwoju internetu mobilnego. W Polsce tkwi ogromny potencjał na rozwój i Huawei doskonale o tym wie – uruchomił centrum innowacji, centrum treningowe, a w tym roku planował otworzenie centrum badań i rozwoju oraz centrum wsparcia technicznego. W polskich oddziałach jest zatrudnionych 250 osób, które mają certyfikat ekspercki Huawei.

GRAJĄ W OTWARTE KARTY

W poprzednim roku prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump nie pozostawił suchej nitki na firmie Huawei. Podpisał rozporządzenie, które zabroniło amerykańskim podmiotom kupowania urządzeń Huawei i korzystania z ich technologii. „Zarzuty USA wobec naszego sprzętu nie są prawdziwe" – mocno zaznaczył wiceprezes do spraw public affairs Wakie Wu. Według niego Amerykanie uważają, że Trump wszedł na ścieżkę polityczną przeciwko chińskiemu gigantowi. Wyniki badań CNN mówią same za siebie – aż 40 proc. amerykańskiej społeczności uważa, że prezydent Trump podjął ideologiczną walkę przeciwko Huawei.

Trump twierdzi, że obecność chińskiej technologii w strukturach Stanów Zjednoczonych niesie ogromne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Zarzuca Chinom szpiegowanie na niekorzyść rządu USA, a dodatkowo uważa, że urządzenia Huawei są bardziej podatne na cyberataki. Prezydent USA zabronił również operatorom sieci komórkowych, aby miały w sprzedaży smartfony Huawei.

Co ciekawe, Amerykanie nie mają twardych dowodów, aby postawić jakiekolwiek zarzuty chińskiej firmie.

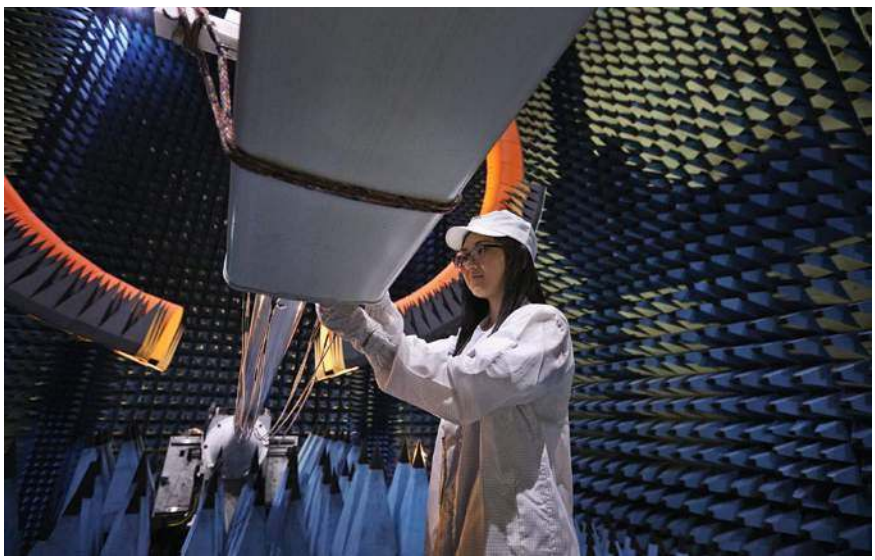
eprasa.pl 17e0412b07

CEO Huawei Polska Tonny Bao twierdzi, że nadszedł najwyższy czas, aby oddzielić politykę od gospodarki. – Podejrzenia amerykańskich władz w stosunku do nas mają mało wspólnego z obawą o technologię czy bezpieczeństwo – mówi Bao. – Prawda jest taka, że Amerykanie boją się, że chińska technologia 5G będzie potężniejsza i bezpieczniejsza od amerykańskiej – dodaje.

Nie od dziś wiadomo, że USA są liderem w świecie nowych technologii. Wszyscy znamy takie marki jak Google, Facebook, Netflix, Apple, Amazon i Microsoft – to technologiczni giganci z Ameryki. Prezydent USA Donald Trump zdaje sobie z tego doskonale sprawę, dlatego zawsze chce być numerem jeden w świecie zaawansowanych technologii. „Chcę technologii 5G, a nawet 6G w Stanach Zjednoczonych tak prędko, jak to możliwe" – napisał na Twitterze Trump. „Chcę, abyśmy zawsze byli liderem we wszystkim, co robimy. Chcę, aby USA były zawsze przed konkurencją, ale nie poprzez blokowanie bardziej zaawansowanych technologii" – dodał Trump.

Przedstawiciele Huawei wiedzą, że muszą ściślej przestrzegać wszystkich zasad, aby budować bezpieczne, godne zaufania i wysokiej jakości produkty. Podczas marcowej konferencji w chińskim mieście Shenzhen Guo Ping, rotating chairman, otwarcie się odniósł do zarzutów o współpracę z obcym wywiadem. – Jesteśmy najczęściej kontrolowaną firmą w branży technologicznej na świecie. Zrobimy wszystko, aby przetrwać wszystkie ataki – stanowczo mówi Ping. – Nigdy nic nie ukrywaliśmy. Jesteśmy gotowi podjąć współpracę z każdym krajem, aby udowodnić naszą niewinność. To, na czym nam najbardziej zależy, to 100-procentowa ochrona naszych użytkowników, baz danych i technologii. Będziemy dalej iść do przodu. Zrobimy wszystko, co możemy, aby przetrwać te wstrząsy – zastrzega Ping.

W ciągu pięciu lat Huawei zamierza zainwestować w rozwój oprogramowania 2 mld dolarów. Wszystko po to, aby konsumenci czuli się bezpieczniej. Chiński koncern otworzył nawet specjalne laboratoria, w których testuje technologiczne innowacje z zakresu



cyberbezpieczeństwa – placówki powstały w Chinach, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Kanadzie, a na początku marca nawet w Brukseli. – Bezpieczeństwo danych naszych klientów w Europie to najwyższy priorytet. Dlatego ściśle przestrzegamy rozporządzeń Unii Europejskiej, pamiętamy również o zaostrzonych zasadach RODO – powiedział Wu.

ŻYCIE W SCIENCE FICTION

Sieć 5G i sztuczna inteligencja (AI) to przyszłość – te dwie technologie sprawią, że stanie się ewolucja, a nie rewolucja. To naturalna kolej rzeczy, która będzie motorem napędowym rozwoju polskiej cyfryzacji.

– AI to bardzo gorący temat, który wzbudza wiele różnych emocji – powiedział starszy ekspert ds. planowania strategii w Huawei Eric Zhou. Technologia 5G wzniesie gospodarkę na wyższy poziom. Zyskają takie branże jak przemysł, rolnictwo, branże motoryzacyjna i medyczna, bankowość, edukacja.

Społeczność ma obawy o rozwój sztucznej inteligencji. – Ludzie boją się, że AI zastąpi ich lub będzie źródłem cywilizacyjnego zagrożenia. Wynika to z ich niewiedzy na temat AI – nie do końca rozumieją działania tej technologii – mówi Zhou.

Podobnie jest z siecią 5G – wiele osób boi się wdrażanie kolejnych nowych technologii właśnie przez niewiedzę. Należy więc podkreślić, że 5G to bardzo szybka przepustowość łącza internetowego, która zdecydowanie ograniczy opóźnienia w transmisji danych.

Według Tonnego Bao 5G jest kontynuacją 4G. Poprzednia generacja jest jak fundament domu, to początek, na którym jest budowana nowa technologia. Pytanie jest, ile to będzie wszystko kosztować, czy będziemy w stanie inwestować i w jakiej skali? Jakie będą z tego korzyści? Na te pytania z pewnością muszą odpowiedzieć polski rząd i szefowie operatorów komórkowych. Przedstawiciele Huawei podjęli pierwsze rozmowy z polskimi władzami w sprawie wdrożenia sieci 5G w Polsce. – Prowadzimy otwarty dialog z rządem, aby zrozumieć w pełni wymagania. Zaproponowaliśmy pełne wsparcie odnośnie do podniesienia standardów bezpieczeństwa – powiedział Jaap Meijer, szef cyberbezpieczeństwa Huawei Technologies.

Dla chińskiego giganta Polska jest ważnym graczem w Europie. W ciągu ostatnich 30 lat Huawei obsłużył ponad 38 mln Polaków. W Polsce zatrudnia 900 pracowników. Widać gołym okiem, że Huawei przyczynił się do technologicznego rozwoju Polski, a jeżeli polska władza uzna, że nie będą mogli wziąć udziału w przetargu na wdrożenie sieci 5G – stracimy na tym my, Polacy.

Michał Jędrzejkowski

eprasa.pl 17e0412b07

Hit tygodnia

Sony RX0 II



Firma Sony ogłosiła powiększenie oferty swoich popularnych aparatów kompaktowych o najmniejszy i najlżejszy na świecie kompakt klasy premium: RX0 II. Nowy aparat ma superminiaturową obudowę i jest odporny na wodę, pył, uderzenie i zmiażdżenie – tak jak jego poprzednik RX0 z 2019 r. Do nowości należą natomiast wewnętrzny zapis filmów 4K, nowe rozwiązania stabilizujące obraz przy nagrywaniu filmów oraz przystosowany do pracy pod wodą, odchylany o 180° w górę i 90° w dół ekran LCD. Sercem aparatu RX0 II jest 15,3-megapikselowy, jednocalowy procesor CMOS Exmor RS, który w połączeniu z zaawansowanym procesorem obrazu BIONZ X oferuje zakres czułości ISO: od 80 (tylko podczas fotografowania) do 12 800. Obiektyw to szerokokątny Zeiss Tessar T 24 mmi o jasności F4,0. Nowością w modelu RX0 II jest wbudowany elektroniczny stabilizator obrazu, zapewniający nieporuszony obraz filmowy nawet przy dokonywaniu nagrań z ręki. Wśród pozostałych funkcji filmowych aparatu warto wymienić nagrywanie w trybie Super Slow Motion, z szybkością do 1000 kl./s, reprodukcję sygnału 4K bez kompresji przez łącze HDMI oraz równoległe nagrywanie plików proxy. Minimalny czas otwarcia migawki to 1/32 000 s, tryb zaś zdjęć seryjnych – do 16 kl./s. Aparat jest przystosowany do bezprzewodowego sterowania. Użytkownicy aplikacji Sony Imaging Edge Mobile mogą sterować pięcioma aparatami. RX0 II w zestawie z uchwytem VCT-SGR1 i wspornikiem trafi do sprzedaży w Europie w maju 2019 r. **Zapowiedź**

Plusy i minusy

+ już nikogo nie dziwi, że Sony wyznacza trendy w dziedzinie filmowania i fotografowania
– na papierze wygląda dobrze, poczekajmy, jak aparat pojawi się na rynku, ale raczej nie powinno być niemiłych niespodzianek



Blaupunkt TX 01

Blaupunkt wprowadził na rynek smartfon, który jest idealnym połączeniem eleganckiego designu z parametrami technicznymi, które spełniają smartfonowe standardy XXI w. Smartfon pracuje w systemie Android 8.1. W środku znajduje się procesor 1.5 GHz Octa-Core, który pozwala na sprawne zarządzanie telefonem. Model posiada wejście na kartę Dual SIM, wyposażony jest w 4 GB pamięci RAM i 32 GB pamięci wewnętrznej z możliwością rozszerzenia do 128 GB za pomocą karty micro SD. Wyświetlacz Blaupunkta TX 01 to 5,5-calowa matryca Full HD. Telefon ma 153,7 mm wysokości, 76,8 mm szerokości i 8,3 mm grubości. Aparat tylny wyposażony został w matrycę 13 Mpx, a przedni – 8 Mpx. Bateria litowo-jonowa 3000 mAh zapewnia długi okres użytkowania po naładowaniu telefonu. W urządzeniu wejście do słuchawek typu Jack 3,5 mm. Smartfon TX 01 oferuje również dodatkowe funkcje, np. możliwość odblokowania ekranu przez czytnik linii papilarnych. W zestawie znajdują się przezroczyste etui oraz folia ochronna na ekran. **Cena: 829 zł**

Huawei FreeLace



Huawei FreeLace to bezprzewodowe słuchawki do noszenia na szyi, zaprezentowane 26 marca w Paryżu podczas światowej premiery smartfonów z serii P30. Słuchawki Huawei FreeLace zostały wyposażone w akumulator o pojemności 120 mAh. Ukryte w dousznej wkładce złącze USB typu C pozwala szybko naładować Huawei FreeLace poprzez podłączenie do dowolnego smartfona, tabletu lub komputera. Pięć minut ładowania zapewnia czas działania do czterech godzin, natomiast pełne ładowanie pozwala korzystać z urządzenia przez 18 godzin. Słuchawki wyposażone są w głośniki z 9,2 mm membraną dynamiczną, które zapewniają wysoką jakość dźwięku. Mikrofon słuchawek wyposażony jest w dodatkowy kanał wentylacyjny, co znacznie zmniejsza negatywny wpływ wiatru na rejestrację głosu. Huawei FreeLace będzie dostępny na polskim rynku w maju w trzech wariantach kolorystycznych: czarnym, pomarańczowym i zielonym. **Cena: 339 zł**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 17e0412b07



Hit tygodnia

Takie Audi tylko... w filmie!



Audi RSQ e-tron to fikcyjny, wirtualny samochód koncepcyjny, który pojawi się tylko... w filmie animowanym „Tajni i fajni" (ang. Spies in Disguise). Animowane audi wyposażono w hologramowy prędkościomierz, jest elektromobilne i w pełni autonomiczne – można by rzec, koncept wcale nie tak odległy od rzeczywistości. Audi RSQ e-tron został specjalnie zaprojektowany na potrzeby filmu, choć nie wiadomo, czy jest planowane jego pojawienie się w realu. „Audi i wytwórnia Twentieth Century Fox współpracują od lat. Cieszymy się, że teraz możemy rozwijać nasze relacje, wprowadzając Audi po raz pierwszy do świata filmu animowanego" – mówi Erin Williams, wiceprezes wytwórni ds. partnerstw marketingowych. „Międzynarodowa historia szpiegowska, pełna futurystycznych technik mogących ocalić świat, pasuje idealnie do marki Audi" – dodaje Giovanni Perosino, wiceszef działu komunikacji marketingowej w AUDI AG. To pierwszy taki projekt, w którym Audi przeniesie na ekran futurystyczną stylistykę i niemiecką myśl techniczną w dziedzinie mobilności.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Ciekawa informacja dla zwolenników jednośladów. Do Polski powraca marka MV Augusta, która przy okazji będzie miała nowego importera. MV Agusta (Motori Vincenzo Agusta) to obok Ducati jedna z najbardziej znanych włoskich marek. Założona w 1945 r. firma specjalizuje się w produkcji sportowych motocykli.

Elon Musk znów ma powody do zadowolenia. Jego firma produkująca auta elektryczne zanotowała kwartalny zysk netto – trzeci raz w historii. Przychód netto wyniósł 312 mln dol. Musk wyraził wdzięczność wszystkim właścicielom i sympatykom marki Tesla. „Bez was nie bylibyśmy tu, gdzie jesteśmy" – napisał na Twitterze. Zapewnił też, że firma osiągnie zysk również w IV kwartale. Tesla ma także zacząć przyjmować zamówienia na Model 3 w Europie i Chinach. Na Stary Kontynent pierwsze egzemplarze trafią na początku przyszłego roku.

Czy Wietnam kojarzy się z motoryzacją? Chyba niezbyt, ale to może się już niedługo zmienić. Podczas Międzynarodowego Salonu Samochodowego 2018 w Paryżu będzie można obejrzeć dwa modele (sedan i SUV) bliżej nieznanej firmy Vinfast. Wietnamczycy chcą zainwestować 3 mld dol., by w ciągu dwóch lat stworzyć całą infrastrukturę (fabryka, pracownicy itd.) i wprowadzić na rynek jeszcze w 2019 r. dwa pierwsze modele aut.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

42/0219/F

eprasa.pl 17e0412b07

Pracownicze Plany Kapitałowe

Oszczędzaj na bezpieczną przyszłość ze swoim Pracodawcą i Państwem

Pracownik

Ty **2%** + dobrowolna składka do **2%**

Pracodawca

Składka **1,5%** + dobrowolnie dodatkowo do **2,5%**

Państwo

250 zł na dobry początek
+ **240 zł** rocznie

Pracownicze Plany Kapitałowe



- Proste i wygodne oszczędzanie na przyszłość
- Środki w pełni prywatne i dziedziczone
- Do każdej wpłaconej złotówki dokładają się Pracodawca i Państwo

W sumie się opłaca

www.mojePPK.pl

PFR Polski Fundusz Rozwoju
Ministerstwo Finansów
KANCELARIA PREZESA RADY MINISTRÓW

eprasa.pl 17e0412b07

Razem wypełnimy lukę mieszkaniową



Fot. BGK | 23/0419/F

Z Włodzimierzem Koconem, wiceprezesem zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego, o sposobach na rozruszanie polskiego rynku mieszkaniowego rozmawia Anna Raciniewska

Jaka jest aktualna sytuacja rynku mieszkaniowego w Polsce? Tyle lat pracy, tyle środków zainwestowanych, a wciąż brakuje mieszkań...

Włodzimierz Kocon: Statystyczny deficyt mieszkań wskazany w Narodowym Programie Mieszkaniowym, przyjętym przez rząd we wrześniu 2016 r., to niemal 900 tys. Niedobór mieszkań szacowany jest nawet na 3 mln. To ogromne wyzwanie cywilizacyjne, stojące przed całą naszą gospodarką, całym naszym krajem. Musimy w bardzo krótkim czasie wypełnić tę lukę – to niezwykle trudne zadanie i trzeba sięgać po wszelkie sposoby, aby jak najszybciej każda polska rodzina mogła powiedzieć „mieszkam u siebie" – niekoniecznie na własność, ale również w formie najmu. Nie chodzi wyłącznie o brak mieszkań. Bardzo wiele lokali powinno być wyłączonych z użytkowania ze względu na ich stan techniczny. Na początku XXI w. mamy inne oczekiwania. Niestety wciąż są mieszkania zamieszkiwane przez duże rodziny np. bez łazienki, nawet wspólnej w korytarzu. Powinniśmy robić wszystko, żeby nie tylko te nowe budowane mieszkania spełniały standardy cywilizacyjne, lecz również przeznaczać środki na poprawę jakości wyposażenia mieszkań już istniejących.

Ta trudna sytuacja to długofalowa konsekwencja zniszczeń wojennych, zaniedbań PRL?

Nawet wcześniejsza. Kilkanaście procent polskich mieszkań to te wybudowane jeszcze przed I wojną światową – w takim standardzie, z takim wyposażeniem, jakie wtedy uznawano za akceptowalne. Okres międzywojenny przyniósł dużą poprawę, także dzięki ówczesnym działaniom Banku Gospodarstwa Krajowego. Finansowaliśmy osiedla m.in. na warszawskim Kole – do dziś uznawane za wzorcowe rozwiązanie architektoniczne i techniczne. One dziś wymagają pewnego dokapitalizowania, jednak mieszkańcy chwalą sobie i lokalizację, i otoczenie, i jakość budynków. W okresie powojennym

eprasa.pl 17e0412b07

popularne było tzw. dogęszczanie, to znaczy, że przedwojenne mieszkania zamieszkiwane przez jedną rodzinę, po wojnie wykorzystywane było ponad miarę. W PRL do połowy lat 60. niewiele się działo. Dziś budujemy 150–180 tys. mieszkań rocznie.

A jak wypadamy na tle innych krajów europejskich?

Wypadamy słabo. Najbardziej obiektywnym miernikiem jest liczba mieszkań na 1 tys. mieszkańców. U nas ten wskaźnik wynosi ok. 350 mieszkań, średnia unijna to ponad 480. W Niemczech to jest około 520. Aby dogonić choćby tę średnią unijną, potrzeba około 3 mln mieszkań, niezależnie, czy będą to mieszkania na własność, czy wynajmowane.

Formuła mieszkań na wynajem ma pomóc wypełnić lukę mieszkaniową?

Kupno mieszkania na własność z punktu widzenia przepływów finansowych oznacza konieczność posiadania na początek 20 proc. wkładu własnego oraz zaciągnięcia kredytu na 20–30 lat. To także przymus przywiązania do miejsca. Mobilność społeczeństwa jest w znaczący sposób ograniczana formułą posiadania mieszkania. Powinniśmy mieć możliwość przemieszczania się z miejsca na miejsce i zapuszczania swoich mniej lub bardziej tymczasowych korzeni w różnych miejscach. Tam, gdzie znajdziemy pracę odpowiadającą naszym aspiracjom. Taki system dobrze funkcjonuje w Europie. W Niemczech ponad 40 proc. mieszkań na rynku to mieszkania wynajmowane.

Narzędziem wspomagającym rozwój tego rynku jest system wsparcia dla najemców, aby mogli regularnie płacić czynsz. W Europie, a także u nas od 1 stycznia tego roku, istnieją dopłaty do czynszu w postaci programu Mieszkanie na Start. Umożliwi on wielu rodzinom samodzielny wynajem mieszkania, ma również wspomóc zdolność czynszową najsłabiej uposażonych Polaków.

Dla tych najgorzej sytuowanych przeznaczony jest również program budownictwa socjalnego, komunalnego?

Adresatem tego programu są osoby w najgorszej sytuacji, które z różnych powodów życiowych nie są w stanie pozwolić sobie na wynajem, a tym bardziej kupno mieszkania na rynku. W budownictwie socjalnym i komunalnym czynsze są niskie – kilka złotych za metr kwadratowy miesięcznie. Oferta ta kierowana jest do osób np. wychodzących z bezdomności, pozostających pod opieką ośrodków pomocy, długotrwale bezrobotnych. Oczekujących na tego typu mieszkania jest bardzo wielu. Bank Gospodarstwa Krajowego ma program wspierania budownictwa socjalnego i komunalnego. Jest to wsparcie bezzwrotne, dotacyjne, skierowane do gmin, spółek gminnych, organizacji użytku publicznego. Te dotacje mają wesprzeć budowę lub remont mieszkań chronionych, noclegowni, schronisk. W ostatniej edycji wnioski złożyło 61 podmiotów, a wsparcie wyniosło ponad 140 mln zł. Rezultatem tych wypłat będzie budowa 1,8 tys. lokali. Wartość tych inwestycji to prawie 400 mln zł. Może się wydawać, że w skali kraju są to niewielkie liczby. Warto pamiętać, że od początku tego programu wybudowano 19 tys. mieszkań, kolejnych 6 tys. jest w budowie. Widzimy więc, że dzięki takim programom zmniejsza się deficyt mieszkaniowy.

Program Społecznego Budownictwa Czynszowego ma z kolei służyć średniozamożnym?

Ten program jest kierowany do zbyt zamożnych, aby mogli się ubiegać o mieszkania socjalne i komunalne, ale z drugiej strony niemających wystarczającej zdolności kredytowej, aby kupić mieszkanie. Poziom czynszów jest w tym programie wyższy – średnio 14 zł za metr kwadratowy miesięcznie. Mieszkania z tego programu budują spółki gminne, spółdzielnie oraz najbardziej aktywne towarzystwa budownictwa czynszowego. W ciągu 2,5 roku działania programu powstało prawie 4 tys. mieszkań o wartości 800 mln zł. W tym programie BGK oferuje wsparcie w formie taniego kredytu, bez marży banku, którą pokrywa budżet państwa. Bank Gospodarstwa Krajowego ma zabezpieczone środki na ten cel, warto więc, by inwestorzy korzystali z taniego finansowania, którego koszt przekłada się bezpośrednio na wysokość czynszu. To korzyść dla przyszłego najemcy, który zapłaci czynsz o połowę niższy niż na rynku komercyjnym.

Program SBC rozwija się i dostosowuje do aktualnych potrzeb rynku...

Pracujemy nad nim cały czas. Ściśle współpracujemy z rządem i parlamentem, aby na bieżąco przekazywać i sugerować modyfikacje programów rządowych, które realizujemy. Chcemy efektywniej wykorzystywać środki, jakimi dysponujemy, i skuteczniej realizować politykę gospodarczą państwa. Jedną z kluczowych zmian wprowadzonych w zeszłym roku jest możliwość łączenia kredytu preferencyjnego z dotacją bezzwrotną z Funduszu Dopłat – nawet do 20 proc. Już dziś mamy pierwszych pięć wniosków, które łączą te instrumenty. Ważnym udogodnieniem dla inwestorów jest zniesienie obowiązku załączania do wniosku o kredyt prawomocnego pozwolenia na budowę. Dziś wystarczy koncepcja architektoniczna, kosztorys, co oznacza, że wnioskodawca nie musi ponosić kosztów, zanim bank nie da mu przyrzeczenia finansowania na inwestycję.

Czy te programy pomogą wypełnić lukę?

Jeżeli mielibyśmy przełożyć wiosenną edycję naboru wniosków na cały 2019 r., to jest szansa, że z kredytów preferencyjnych zostanie zbudowanych ponad 2 tys. mieszkań. Kolejne 2 tys. szacujemy w programie budownictwa socjalnego i komunalnego. To razem daje już 4–5 tys. mieszkań w tym roku. Jeżeli uwzględnimy to, że nad zmniejszeniem deficytu pracują także inni uczestnicy na rynku mieszkaniowym: deweloperzy, osoby indywidualne, fundusze inwestycyjne zarządzane przez PFR Nieruchomości – to można myśleć o realnym dojściu do średniej unijnej w perspektywie 10–12 lat.

eprasa.pl 17e0412b07



Samorządy wymagają zmian

Ranking Finansowy Samorządu Terytorialnego w Polsce za 2018 r., wiele godzin debat i dyskusji oraz kolejne pomysły na rozwój miast i samorządów to efekty V Europejskiego Kongresu Samorządów, który odbył się w ubiegłym tygodniu w Krakowie

Dobra oświata i dobra kultura to jest sprawa nas wszystkich – samorządowców, tych, którzy tworzą kulturę, i tych, którzy tworzą oświatę, a więc i nauczycieli. Także rodziców, bo dobra szkoła to przecież rodzice i uczniowie. To wreszcie samorządy i państwo, które zawsze będzie wspierało dobre rozwiązania – powiedziała wicepremier Beata Szydło, przewodnicząca Komitetu Społecznego Rady Ministrów podczas gali kończącej pierwszy dzień kongresu. W trakcie gali premier Szydło wręczyła nagrody przyznawane przez kongres samorządowcom, którzy osiągnęli wysokie noty w Rankingu Finansowym Samorządu Terytorialnego w Polsce za 2018 r. – Nagrodzonym gratuluję i życzę, żeby mieszkańcy byli z was dumni, abyście w kolejnych latach osiągali takie rezultaty.

Zwycięzcą rankingu w gronie gmin wiejskich została Dobra Szczecińska (woj. zachodniopomorskie), a za nią uplasowały się Michałowice (woj. mazowieckie) i Kleszczów (woj. łódzkie). W gronie gmin miejsko-wiejskich najlepsze rezultaty uzyskały Konstancin-Jeziorna (woj. mazowieckie) i Łomianki (również woj. mazowieckie) oraz Rzgów (woj. łódzkie). Wśród gmin miejskich najlepsze były Podkowa Leśna (woj. mazowieckie), Puszczykowo (woj. wielkopolskie) i Józefów (woj. mazowieckie). W grupie dużych miast na prawach powiatu najwyższą ocenę otrzymała Warszawa, a po niej Sopot i Siemianowice Śląskie, zaś w gronie powiatów wygrały poznański, wrocławski i pruszkowski.

Ranking obejmował siedem kryteriów, wśród których znalazły się m.in. udział dochodów własnych w dochodach ogółem czy stosunek nadwyżki operacyjnej do dochodów ogółem.

W trakcie panelu dyskusyjnego, na którym prezentowano ranking, spe-

Fot. Fratria | 17/0319/F

eprasa.pl 17e0412b07

cjaliści od samorządów przyznali, że obecnie stan finansów samorządów jest zadowalający.

– Ostatnio prowadziliśmy analizy, z których wynika, że w zdecydowanej większości samorządów sytuacja jest dobra – powiedziała Grażyna Wróblewska, prezes Regionalnej Izby Obrachunkowej w Poznaniu. – Procent jednostek w trudnej sytuacji jest niewielki, są wprawdzie też jednostki w postępowaniu naprawczym, jednak o tym, że samorządy finansowo mają się dobrze, świadczy to, że jest niewiele zgłoszeń dotyczących złej sytuacji finansowej – dodała.

Jednak dobra sytuacja finansowa, kiedy dochody wystarczają na pokrycie wydatków, to za mało. Konieczne jest wypracowanie nadwyżki, dzięki której będą możliwe inwestycje.

– Samorządom wystarczy teraz pieniędzy na bieżące finansowanie, ale już nie na inwestycje. Jest dobra koniunktura, rosną przychody z udziału w podatkach i z podatków lokalnych i to zaspokaja potrzeby związane z bieżącym finansowaniem – powiedział Krzysztof Surówka, prorektor ds. kształcenia i studentów na krakowskim Uniwersytecie Ekonomicznym. – Jednak nie mają pieniędzy na inwestycje. Inwestycje rozwojowe były prowadzone z długu, ale teraz to zadłużenie nie rośnie. Wydawałoby się, że teraz jest najlepszy moment, aby sięgać do pieniędzy unijnych, ale do tego trzeba wkładu własnego. Pytanie, czy nadwyżki samorządów wystarczy na ten wkład własny – dodał.

A tymczasem przed samorządami, zwłaszcza miejskimi, będzie coraz więcej spraw do rozwiązania. Jedną z prognoz, o której sporo mówiono w trakcie V Europejskiego Kongresu Samorządów, jest ta, według której do 2050 r. ludność Ziemi wzrośnie do 9 mld osób, a 70 proc. populacji będzie mieszkać w miastach. Ten rozrost, choć może nie tak duży jak w tej prognozie, będzie stawiał przed miastami wielkie wyzwania.

– Jedno z wyzwań, jakie staną przed miastami, będzie obejmować przyciągnięcie inwestorów, którzy stworzą miejsca pracy – mówił Adam Hamryszczak, wiceminister infrastruktury i rozwoju podczas V EKS.

Ale miasta będą musiały także rywalizować o pracowników, a więc oferować im takie warunki, aby chcieli w nich zamieszkać. To oznacza inwestycje w infrastrukturę, np. związaną z komunikacją. Co ciekawe, przynajmniej na razie wysiłki na rzecz zbiorowego transportu przynoszą niewystarczające skutki.

– Dzisiaj miasta korzystają z dużych środków na zintegrowany transport. Modernizujemy sieć transportową, zmieniamy przebieg sieci komunikacyjnej, przybywa nam nowych pojazdów – mówił Krzysztof Żuk, prezydent Lublina.

Ale pozostaje pytanie, w co i jak inwestować. Tu odpowiedź wcale nie jest taka prosta. – Nie jest łatwo powiedzieć, co właściwie jest smart. Niedawno wiele samorządów inwestowało w systemy inteligentnego kierowania ruchem, gdzie na tablicach wyświetlało się, czy są korki oraz jakie są czasy przejazdów. Tymczasem teraz wszyscy to mają w sposób znacznie lepszy i wygodniejszy w swoich komórkach – mówił Lucjusz Nadbereźny, prezydent Stalowej Woli. – Myślę, że dobrze jest pokorniej popatrzeć na nasze możliwości i skupić się na tym, co będzie ponadczasowe. A więc na ekologii, jakości życia, możliwościach spędzania wolnego czasu – dodał.

Całkiem możliwe, że system samorządowy oraz zasady określające relacje między samorządami a rządem, jakie powstały blisko trzy dekady temu, wyczerpały swoje możliwości. Zygmunt Berdychowski, przewodniczący Rady Programowej Forum Ekonomicznego, zwrócił uwagę na konieczność ponownego ułożenia relacji pomiędzy państwem a samorządem, czemu także ma służyć EKS. Berdychowski zaznaczył również, że konieczne są zmiany w funkcjonowaniu samorządów zarówno w Polsce, jak i w Europie.

– Trzeba przebudować i zadania samorządów, i ich finansowanie. Widać już, że wyczerpują się możliwości systemu, który kiedyś był tworzony jako tymczasowy. Widać także problemy, związane np. z ustawami o samorządzie, choćby to, że w ślad za wzmocnieniem pozycji burmistrzów czy prezydentów, wybieranych w wyborach samorządowych, nie poszły zmiany w prerogatywach rady, więc mamy słabą radę i mocnego burmistrza – mówił Berdychowski.

Emocje budzi na przykład to, czy państwo powinno w ogóle ingerować w samorządy. – Czym mniej regulacji i angażowania się w samorząd, tym lepiej. Czym bardziej będziemy regulować takie sprawy, zaczynając od smart cities, przez smog, po gospodarkę odpadami, tym gorzej. Czym mniej ingerencji w samorząd, tym lepiej – mówił Grzegorz Napieralski, senator SLD.

Z kolei w innej debacie Ireneusz Merchel, prezes PKP PLK, prosił samorząd jednego z województw, aby wskazał, jakiej chciałby sieci kolejowej na swoim terenie. – Mamy z 13 samorządami ustalone takie priorytety na bieżącą perspektywę finansową, z dwoma rozmawiamy i jesteśmy blisko załatwienia wszystkich spraw, ale z jednym jest problem – mówił.

Samorządowcy zwracali też uwagę na to, że działania rządu często mają wpływ na sytuację samorządów. – Choćby kwestia zwolnienia z PIT osób do 26. roku życia, spadek podatku o 1 pkt proc. i wzrost kosztów uzyskania przychodu oznacza, że Kraków straci 210–220 mln zł. O tyle będzie mniej na inwestycje – mówił Jacek Majchrowski, prezydent Krakowa.

Ale jednocześnie w trakcie V EKS w Krakowie udało się przynajmniej kilkakrotnie pokazać, że bez współpracy z rządem nie uda się rozwiązać wielu problemów, jakie stoją przed samorządami. Obecnym na kongresie szefom resortów – Andrzejowi Adamczykowi, ministrowi infrastruktury, i Łukaszowi Szumowskiemu, ministrowi zdrowia, udało się kilkakrotnie przekonać, że inwestycje – od kolejowych, drogowych i transportowych, przez budowę Portu „Solidarność", po ochronę zdrowia – to zadania wspólne państwa i władz lokalnych.

Europejskiemu Kongresowi Samorządów, który odbył się w dniach 8–9 kwietnia, towarzyszyło ponad 80 wydarzeń – debat, paneli, wywiadów, dyskusji, prelekcji i warsztatów. Portale wPolityce.pl, wGospodarce.pl oraz „Gazeta Bankowa" i tygodnik „Sieci" objęły wydarzenie patronatem medialnym. Kongres relacjonowany był też na antenie telewizji wPolsce.pl.

eprasa.pl 17e0412b07



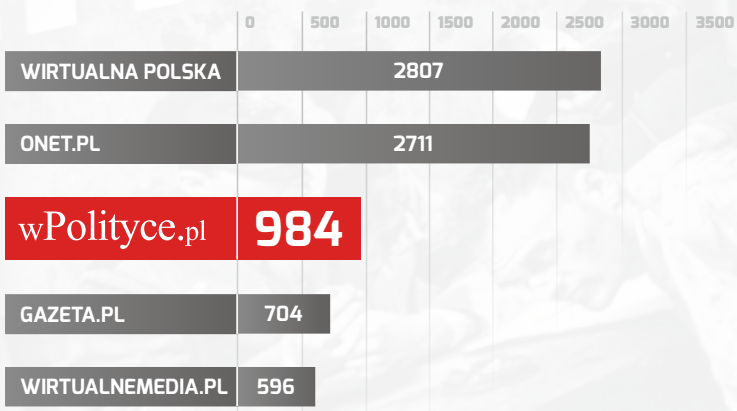
Najbardziej opiniotwórcze tygodniki i dwutygodniki



NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZE MEDIA W POLSCE

Najbardziej opiniotwórcze portale internetowe





ŹRÓDŁO: IMM, LUTY 2019

eprasa.pl 17e0412b07



Czas na wydolność serca

Polskie statystyki dotyczące niewydolności serca są alarmujące: tylko połowa pacjentów ma w dzisiejszym systemie leczenia szansę na pięcioletnie przeżycie. Aż 11 proc. chorych umiera w pierwszym roku po hospitalizacji. Dzięki nowemu modelowi leczenia, który właśnie pilotażowo zostaje wprowadzony dla pierwszych 5 tys. z niemal miliona pacjentów, istnieje ogromna szansa na znaczną poprawę długości i jakości życia chorych na niewydolność serca

Niewydolność serca to stan, w którym chore serce nie jest w stanie prawidłowo pompować krwi ani dostarczyć organizmowi odpowiedniej ilości tlenu w stosunku do aktualnych potrzeb. Przyczyną może być zawał serca, nadciśnienie tętnicze, choroba zastawek serca, choroby wrodzone. Ta choroba dotyka osoby w podeszłym wieku, jednak coraz częściej pacjentami stają się również osoby młode.

Niewydolność serca jest chorobą przewlekłą, w istotnym stopniu wpływającą na codzienne życie chorych i ich rodzin. Jakość życia pacjentów jest bardzo niska, co wiąże się z izolacją społeczną, często występującą depresją, brakiem możliwości podjęcia czy kontynuacji pracy.

Wydatki związane z postępowaniem w chorobie pochłaniają ok. 1,73 mld zł rocznie. W tym koszty hospitalizacji stanowią 94 proc. tego budżetu – wśród krajów europejskich zajmujemy pierwsze miejsce pod względem hospitalizacji. Jednocześnie Polska znajduje się na 30. miejscu (na 34 kraje) pod względem śmiertelności z powodu chorób sercowo-naczyniowych.

– Opieka szpitalna jest na bardzo wysokim poziomie. Trzeba zawalczyć o opiekę ambulatoryjną. Po wyjściu ze szpitala pacjent jest najczęściej pozostawiony sam sobie. Tymczasem kompleksowa opieka ma zapewnić mu pełen cykl działań i zagwarantować terminy ich wykonania, dać dostęp do nowoczesnych terapii, także farmakologicznych – których skuteczność obserwujemy w całej Europie. Wszystko po to, aby to, co zainwestowano w pacjenta w leczeniu szpitalnym, miało dalszy efekt wydłużenia i poprawy jakości jego życia – przekonywała podczas kwietniowego spotkania ekspertów i organizacji pacjenckich „Czas na wydolność serca" prof. dr hab. n. med. Jadwiga Nessler, kierownik Kliniki Choroby Wieńcowej i Niewydolności Serca z Pododdziałem Intensywnego Nadzoru Kardiologicznego w Krakowskim Szpitalu Specjalistycznym im. Jana Pawła II.

Zdaniem organizacji pacjenckich krokiem milowym w działaniu na rzecz wsparcia chorych na niewydolność serca jest program Kompleksowej Opieki nad Osobami z Niewydolnością Serca skierowany do pierwszych 5 tys. polskich pacjentów.

– Pilotaż programu wystartował w wybranych ośrodkach w kraju. Pacjenci i klinicyści liczą, że docelowo za jakieś dwa lata obejmie swoim zasięgiem kolejne regiony i placówki – mówiła Beata Ambroziewicz, prezes Polskiej Unii Organizacji Pacjentów.

Pilotaż pokaże, że warto inwestować w edukację personelu medycznego – a w efekcie i pacjentów. Aby system działał sprawnie, potrzebna jest również szybka diagnostyka, pozwalająca wskazać pacjentów potrzebujących natychmiastowej pomocy.

– Tak naprawdę na każdym SOR-ze pacjent powinien mieć dostęp do dwóch badań: echa serca i markera NT/Pro BNP – które od razu wyłowią pacjenta zagrożonego niewydolnością serca. Bardzo ważny jest również dostęp do nowoczesnych procedur i nowoczesnej farmakoterapii. Dziś – podobnie jak w całej Europie – niewydolność serca leczymy czterema grupami leków poprawiających stan pacjenta. Niestety dostęp do jednej z grup jest w Polsce bardzo ograniczony z braku refundacji. Tymczasem, jak pokazują badania, zastosowanie tego leczenia w efekcie przyniosłoby radykalne zmniejszenie kosztów. Dziwi więc, że brakuje w budżecie środków na metody, które mogłyby zrewolucjonizować wydatkowanie pieniędzy – mówiła prof. n. med. Agnieszka Pawlak, kardiolog z Centralnego Szpitala Klinicznego MSWiA w Warszawie.

Po wyjściu ze szpitala pacjentowi potrzebny będzie dostęp do sprawnego leczenia ambulatoryjnego – o jego zdrowiu może zadecydować dostępność do szybkiego terminu wizyty kontrolnej czy rehabilitacji kardiologicznej.

Podczas konferencji prasowej organizacje pacjentów przekazały najważniejsze postulaty dotyczące refundacji nowego leku.

Anna Raciniewska

Fot. Shutterstock

Autopromocja

eprasa.pl 17e0412b07



NIE TYLKO NA WIELKANOC JAJO W ROLI GŁÓWNEJ

Ab ovo

Zacznijmy od początku, czyli ab ovo. Nawet jeśli pierwsza była kura, wszystko i tak zaczęło się od jajka. Czyż nie? Jajko to kwintesencja. Mikrokosmos. Zwłaszcza w nadchodzące święta Wielkiejnocy. Zyskuje wtedy na znaczeniu. Symbolicznie i kulinarnie. Można powiedzieć, bryluje. W formie najprostszej i wzbogaconej przez rodzinne przepisy.

Jak smakuje jajko? Każdy wie, ale czy na pewno? Dwie krakowianki, matka i córka, Kasia i Zosia Pilitowskie napisały o jajku książkę, a właściwie uczyniły z jajka punkt wyjścia. Od prostych, chociaż często zaskakujących przepisów, do związanych z jajkiem kulinarnych wspomnień, gawęd i anegdot – własnych i przywoływanych przez przyjaciół.

Jajko w „Jajku" przedstawione zostało na wiele sposobów. Można zaryzykować stwierdzenie, że – odpowiednio też plastycznie i zdjęciowo pokazane – znalazło się w świetle reflektorów. Niczym gwiazda, ale w krakowskim, kameralnym stylu. Wśród niespiesznych, rozciągniętych na cały dzień śniadań, jako pretekst do spotkań i rozmów. Do delektowania się. Także dosłownie. Na przykład jajecznicą z kardamonem.

Jajko codzienne odnalazło się znakomicie w szakszuce, fritacie ze szpinakiem i ziemniakami, tortilli, tostach z cie-



cierzycą w pomidorach, placuszkach chlebowych z serem feta, omlecie masala, mace braj (na słodko i na słono), libańskim zielonym omlecie, picie z pastą uzupełnioną groszkiem i pieczonymi pomidorami, ale też w gryczanych blinach z jajecznicą i w plackach z kiszonej, gotowanej lub surowej kapusty, wymieszanej z ciastem naleśnikowym. To ostatnie połączenie było tradycją kuchni łemkowskiej.

Dzięki książce pań Pilitowskich do jajka: na miękko, „pół na pół", na twardo, w koszulce, w szklance, sadzonego, pieczonego en cocotte, usmażonego... możemy również dodać jajko po turecku (czyli sadzone, ułożone na warstwie jogurtu zmieszanego z drobno posiekanym ząbkiem czosnku i solą; polane rozgrzaną oliwą z dodatkiem mięty, papryki, chili i pieprzu), albo jajko... waniliowe.

Jak uzyskać charakterystyczny smak? Trzeba wstawić jajka na 24 godziny do lodówki zamknięte w szczelnym pojemniku z przeciętą na pół laską wanilii (zapach i posmak przenikną przez skorupki). Ugotowane na miękko jemy, dodając kilka kropli sosu karmelowego i maczając w żółtku pociętą w słupki i opieczoną w tosterze chałkę lub bułkę maślaną. Zaskakujące? Ale ponoć pyszne.

Jajko może też być składnikiem, np. „uszu słonia", irańskich ciasteczek przypominających nasze faworki, choć pachnących baśniowo za sprawą róży, kardamonu i cynamonu.

Skoro jednak wkraczamy w czas kulinarnych przygotowań do Wielkiejnocy, warto przywołać tradycyjne świąteczne przepisy, np. jaja faszerowane. Masa wzbogacona szczypiorkiem, pietruszką, koperkiem, kwaśną śmietaną, bułką tartą, solą i świeżo mielonym pieprzem, i wypełniająca skorupkowe łódeczki to ozdoba niejednego wielkanocnego stołu.

Z kolei patentem na nadanie żurkowi zapachu wędzonki, niekoniecznie przez wrzucenie do niego mięsa, jest użycie wędzonej śliwki. Autorki „Jajka" rozpływają się nad małopolską odmianą – suską sechlońską – regionalnym produktem z gminy Iwkowa (posiadającym certyfikat UE). „Lekko słodka, z dymnym posmakiem i aromatem wędzenia". „Można ją przechowywać kilka miesięcy w lodówce i dodawać do barszczu, kiszonej kapusty na bigos, kartoflanki i żurku. Zapachną wędzonką, aż miło!" – zapewniają.

Ale na świątecznym stole może się też pojawić jajo w zupełnie nowej wersji (przepis obok). Kolorystycznie wpasowiujące się między chrzan a ćwikłę. Zaskoczenie gości murowane.

Jolanta Gajda-Zadworna

Różowe jajka kiszone

Składniki: 6 jajek, 150 ml octu jabłkowego, 150 ml czerwonego octu winnego, 200 ml wody, 1 łyżka ziaren kolendry, 1 łyżeczka ziaren gorczycy, 10 ziaren ziela angielskiego, 10 ziaren pieprzu, 1 łyżka soli, 1 łyżka cukru, 10 g estragonu, 1 upieczony burak, obrany i pokrojony w cienkie plasterki.

Wykonanie: Przygotuj słoik na kiszonkę. Wyparz go razem z pokrywką. Oba octy, wodę, przyprawy, sól i cukier wlej do rondelka. Zagotuj i odstaw na bok. Jajka włóż do zimnej wody i zagotuj. Kiedy woda zacznie wrzeć, gotuj 8 min. Zdejmij z ognia, odcedź i zalej zimną wodą. Jak najszybciej je obierz, tak aby były jeszcze ciepłe. Włóż do słoika plasterki buraka, estragon i jajka, po czym wlej octową zalewę. Dobrze zakręć słoik i ostudź przed wstawieniem do lodówki. Po trzech dniach jajka są gotowe do jedzenia. Możesz je trzymać w lodówce przez trzy miesiące.



Fot. Shutterstock, Mateusz Torbus

eprasa.pl 17e0412b07



SŁODKO-SŁONY

Nie marnuj

ANNA MONICKA

Święta to czas jedzenia i wyrzucania. Nie tylko resztek, także żywności. Kupujemy jej za dużo, a potem nie dajemy rady zjeść. Na liście są chleb, owoce, warzywa, wędliny, w sumie na osobę rocznie 235 kg – tak wynika z badań przeprowadzonych na zlecenie Polskich Banków Żywności. To szokujące dane, zwłaszcza że ponad połowę jedzenia wyrzuca się w gospodarstwach domowych. A więc to robota każdego z nas. Mamy piąte miejsce wśród europejskich marnotrawców.

Brak szacunku do jedzenia nie świadczy o nas dobrze. Warto nad tym popracować. Po pierwsze – mniej kupować. Po drugie – wykorzystywać produkty, które uchodzą za resztki. W książce Moniki Mrozowskiej „Ekonomiczna ekologiczna kuchnia" znalazłam na przykład genialny przepis na pasztet z wygotowanej włoszczyzny. Przy każdym przepisie autorka skrupulatnie wylicza, ile danie kosztuje. W przypadku brytfanki pasztetu jest to 4,50 zł. Już choćby z tego powodu warto spróbować. Przytaczam przepis, bo jest tak łatwy, że uda się każdemu.

Bierzemy więc warzywa z zupy, 200 gramów soczewicy, 4 łyżki sosu sojowego, 6 łyżek oliwy, przyprawy (oregano, ziele angielskie, rozmaryn, czarny pieprz) i starte nasiona lnu lub domową tartą bułkę do wysypania foremki. Soczewicę gotujemy z sosem sojowym w wodzie (w proporcjach 1:2), na małym ogniu, aż całą wchłonie, miksujemy ją na grubo z warzywami, dodajemy 4 łyżki oliwy, przyprawy, mieszamy.

Formę smarujemy oliwą, wysypujemy lnem lub bułką, wkładamy pasztet i pieczemy w piekarniku rozgrzanym do 180 stopni 50 minut (góra i dół), a potem jeszcze 10 min na termoobiegu. To wszystko, danie musi ostygnąć. Podajemy je na ciepło lub zimno, z różnymi sosami, dokładnie tak jak pasztet z mięsa.

Jeśli został wam po świętach podsuszony chleb, możecie zrobić grzanki (przepis także znajdziecie w książce) – wystarczy kromki namoczyć w mleku z jajkiem i usmażyć na patelni, a potem przełożyć je pasztetem i sałatką z rukoli – zwykła kanapka zamienia się w mgnieniu oka w danie obiadowe, i to całkiem niezłe.

Fot. Shutterstock, Biblioteka Narodowa

WILCZYM OKIEM

Historia jednej kiełbasy



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Od masarza czy kijaka? Takie pytanie zadawał sobie niejeden mieszczanin z grodu Kraka przed zakupem wielkanocnej kiełbasy. Historia podkrakowskich kijaków obfituje w dramatyczne momenty i chwile chwały. W czasach, kiedy każdego rzemieślnika niezrzeszonego w cechu nazywano partaczem, kijacy zajmowali się nielegalną, z punktu widzenia krakowskich rzeźników, produkcją i sprzedażą wyrobów mięsnych, zadając kłam współczesnemu znaczeniu słowa „partacz". Wędlina od kijaków była bardzo dobra i tańsza niż „oficjalna". Zgodnie z prawem monopolu cechów kijacy byli zwalczani. Według tradycji dopiero Kazimierz Wielki zezwolił na oficjalną sprzedaż ich wyrobów. Niestety mogli robić to wyłącznie w soboty, i to tylko przez kilka miesięcy w roku: od św. Bartłomieja (24 sierpnia) do Trzech Króli. Plac, na którym się to odbywało, po dziś dzień na pamiątkę tego przywileju nazywa się Wolnica.

Miejskie obyczaje nie dotyczyły dworu królewskiego. Stefan Batory uczynił ich oficjalnymi dostawcami mięsa na swój dwór. Decyzję tę utrzymał Zygmunt III Waza. Królewskie rekomendacje nic jednak nie znaczyły dla niezadowolonych krakowskich rzeźników cechowych. W 1716 r. doszło do tumultu. Czy w potyczce pomiędzy przedstawicielami grodzkiego cechu a kijakami użyto rzeźniczych narzędzi? Być może. W wyniku tej konfrontacji życie postradało kilka osób.

Łukasz Gołębiowski, polski etnograf z przełomu XVIII i XIX w., tak opisywał strój kijaka: „Sukmanę granatową z wypustką karmazynową, przy tem zielony pas i czapkę kształtniejszą w zimie barankiem obszytą...". Atrybutem kijaka był kij. Na nim wieszano i noszono pęta kiełbas. Nie był to jednak zwykły kijaszak, lecz potężny, rzeźbiony drąg, często z osadzonym na końcu ostrzem. Indywidualnie wykończony kij stanowił potwierdzenie przynależności do grupy, ale także rodzaj dowodu osobistego podkrakowskiego rzeźnika. Zastawiając go, mógł dokonać zakupów wołów na kredyt.

Kijacy doczekali się w połowie XIX w. uwolnienia zawodów z mocy cechów. Wtedy podkrakowskie masarstwo z prawego brzegu Wisły rozkwitło. Tradycja przetrwała II wojnę światową, a zniszczyła ją dopiero socjalistyczna, planowa gospodarka. Ale nawet dziś nazwa „kiełbasa kijacka" kojarzy się z czymś szczególnym.

eprasa.pl 17e0412b07

Upadek i powstanie



Kultura to szukanie treści i relacji, cywilizacja to cyzelowanie formy i egoizmu. Kultura to budowanie systemu wartości, cywilizacja to zastępowanie wartości wygodami. Kultura to być, cywilizacja to mieć

Cywilizacyjne starcie staje się coraz gwałtowniejsze. Kultura oparta na trwałych relacjach dających człowiekowi poczucie bezpieczeństwa i podmiotowość, a więc prawdziwą wolność, ma zostać zastąpiona przez „kulturę płynności", braku relacji z czymkolwiek i kimkolwiek. Bo rzekomo samotność wyzwala.

Zadziwiające jak wielu – zdawałoby się – inteligentnych ludzi nie widzi, że samotność osłabia. Nie rozumie różnicy między kulturą a antykulturą, nazywając ją cywilizacją i postępem. Oswald Spengler twierdził, że cywilizacja jest finalnym etapem kultury, formalnie najbardziej zaawansowanym, ale duchowo najuboższym, już schyłkowym. Innymi słowy, dopóki wzrasta, rozwija się i kwitnie, jest kulturą, gdy przestaje być twórcza, wyczerpuje się, staje się cywilizacją. Wedle innych teorii każda cywilizacja ma okres wzrostu, załamania i rozpadu. Dlaczego i kiedy przestaje kwitnąć, rozwijać się, załamuje się i upada? Gdy staje się pusta. Kultura to szukanie treści i relacji, cywilizacja to cyzelowanie formy i egoizmu. Kultura to budowanie systemu wartości, cywilizacja to zastępowanie wartości wygodami. Kultura to być, cywilizacja to mieć.

Europejska kultura weszła w cywilizacyjną fazę schyłkową – zastępowania systemu wartości rankingami, produktami i markami, zastępowania międzyludzkich relacji usługami. Wielkie koncerny, mając na swych usługach liberałów, chcą świata egoistów, bo egoista kupuje więcej. Ale – co zadziwiające – mają sprzymierzeńców w lewicy, która, pozorując troskę o prawa człowieka, walczy o władzę nad nim. Pozbawiając go oparcia, odbiera mu, co najcenniejsze. Staje się więc aksjologicznie pusta. Ślepa i zacietrzewiona w swej ślepocie lub cyniczna jak liberałowie, trudno rzec, co gorsze.

Owszem, przytomni polscy lewicowcy (niewielu jest takich, ale są) doceniają „największy transfer socjalny", jakiego w III RP dokonuje rząd PiS. Ale ich partie karnie stają – jeśli jeszcze nie teraz, to planując przyszłą koalicję – w armii hiperliberałów całkowicie posłusznych Berlinowi i międzynarodowym koncernom. By za wszelką cenę odebrać władzę tym, którzy dokonują „największego transferu socjalnego" i oddać ją wesołkom, którzy znowu zepchną miliony Polaków do śmietnika historii.

Wykluczeni, słabi, ubodzy – muszą iść na przemiał, bo europejska lewica ma inne priorytety. Lewica zwalcza chrześcijaństwo, patriotyzm, rodzinę. Chce, by Kościół nie odgrywał żadnej roli w życiu publicznym ani społecznym. Chce, by ludzie nie odczuwali żadnej więzi z krajem, w którym mieszkają, z kulturą, w której wyrośli, żadnej więzi z ludźmi, którzy mówią tym samym językiem i cenią ten sam system wartości, wokół którego zbudowali swoje państwo. Lewica walczy, by nikt nie miał korzeni, byśmy czuli niechęć do rodziny, bo to opresja i nuda. Byśmy zamiast rodziny wybierali brak rodziny, wtedy będziemy wolni. Jak płatki śniegu na wietrze. Lewica jak pożyteczny idiota wykonuje dla liberałów mokrą robotę, walcząc o naszą samotność, słabość i brak bezpieczeństwa.

Oświeceniowi masoni chcieli chrześcijaństwo zepchnąć na margines, Europę urządzić po swojemu. Chrześcijaństwo okazało się jednak zbyt silne, więc dziś architekci nowego świata uznali, że trzeba Europę zniszczyć. By stała się zaoranym polem, na którym siać można i sadzić można całkiem nowe społeczne „projekty". Nowego sowieckiego człowieka. Którym można centralnie i dowolnie sterować. Liberałowie i koncerny – by kupował, brał kredyty i znowu kupował. Lewica – by jedyne oparcie widział w jej instytucjach i był całkowicie sterowalny.

Jeśli chrześcijaństwo wycofa się do katakumb, wkroczy najżywotniejszy z cywilizacyjnych żywiołów – islam. Zajmie, już zajmuje, próżnię, którą od kilku wieków zaciekle i cierpliwie wyrąbuje oświeceniowo-masońska obsesja elity, dając miejsce kulturze o sześć wieków od chrześcijaństwa młodszej i w swej bezwzględności dynamiczniejszej. Zacietrzewiona w zwalczaniu chrześcijaństwa lewica znajdzie się w systemie, w którym kobieta będzie pozbawiona wszelkich praw, niemuzułmanie będą półniewolnikami, a homoseksualizm będzie karany śmiercią. O to walczy lewica. Wydaje się, że dopiero w brukselskich, berlińskich i sztokholmskich kalifatach zrozumie, że wolność, miłość bliźniego, szacunek dla życia i prawa człowieka zawdzięczała chrześcijaństwu.

Europa, jaką znamy, upada. Na Zachodzie. Jej chrześcijańska część przetrwa i powstanie wzmocniona. W Polsce. Zwłaszcza w Wielkim Tygodniu nie mam żadnych wątpliwości.

Maciej Pawlicki

61/0319/F

eprasa.pl 17e0412b07

TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” POLECA

TY MASZ DOM, A ONI?

AKCJA DOM

„Rzeczą godną pochwały jest powrót wielu osób i rodzin oraz odbudowa domów w Dolinie Niniwy” – kard. Pietro Parolin – Sekretarz Stanu Stolicy Apostolskiej

Aby tak się stało, potrzeba również Twojej pomocy.

I Ty możesz się włączyć w BUDOWĘ DOMÓW

w Dolinie Niniwy, w dwóch miastach Iraku: BARTELLA i BASZIKA

POMÓŻ I WPŁAĆ:

Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów
Tytuł przelewu: Akcja DOM
Numer konta PLN:
65 1140 2004 0000 3602 7608 3791

Archiwum ks. Mariusza Boguszewskiego/PKWP

Więcej informacji na:
www.fundacja.niedziela.pl

niedziela

Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów

POMOC KOŚCIOŁOWI W POTRZEBIE

maika MŁODZIEŻOWA AGENCJA INFORMACYJNA

eprasa.pl 17e0412b07

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Likwidacja jako program


www.wojciechreszczynski.pl

Po zapowiedzi likwidacji IPN i CBA pojawiła się zapowiedź likwidacji TVP. Oto prawdziwy antypolski, antynarodowy i antykonstytucyjny program totalnej opozycji

Pseudoelity III RP wielokrotnie próbowały ukraść telewizję publiczną. Tak wielki majątek narodowy rozpalał biznesową wyobraźnię właścicieli i producentów z branży oraz ich cichych, politycznych mocodawców, których interesy kwitły tym szybciej, im gorzej się miał „moloch z Woronicza". Beneficjentami ubożenia się mediów publicznych były oczywiście dwie prywatne stacje komercyjne – TVN i Polsat – oraz rosnące jak grzyby po deszczu zagraniczne cyfrowe i kablowe kanały telewizyjne.

Gdy za rządów PO i PSL Telewizja Polska za pomocą tzw. outsourcingu pozbywała się swoich pracowników, stacje te mogły wybierać sobie najlepszych fachowców. Wydzielanie z firmy matki olbrzymiej grupy ludzi do wykonywania różnych zadań pod szyldem innej, nowej firmy, ale na zlecenie firmy matki, nie miało być interesem dla TVP. Nie chodziło o usprawnienia, oszczędności, lecz o przygotowanie szybkiego i skutecznego sposobu pozbycia się pracowników TVP mogących sprawiać problemy różnym prywatyzacyjnym pomysłom partyjnych działaczy z PO. Nie chodziło o to, aby TVP miała się dobrze, tylko coraz gorzej, dlatego nieprzypadkowo Donald Tusk wzywał do niepłacenia „haraczu", czyli abonamentu radiowo-telewizyjnego, w oczywisty sposób łamiąc kilka polskich przepisów, w tym karne. Już wtedy godzono się z myśleniem, że po co nam publiczna telewizja, skoro mamy Polsat i TVN oraz tyle innych zagranicznych kanałów. Po latach tę mentalnie niewolniczą i cyniczną, a przede wszystkim wrogą Polsce strategię w doskonały sposób ośmieszył premier Mateusz Morawiecki na konwencji PiS w Przysusze, w 2017 r. „Po co Polsce Centralny Port Komunikacyjny, skoro jest taki we Frankfurcie, po co nam LOT, skoro jest Lufthansa, po co nam Giełda Papierów Wartościowych w Warszawie, skoro jest giełda w Londynie, po co złotówka, skoro jest waluta euro".

Za rządów zjednoczonej prawicy TVP odbudowała swoją pozycję i to ona zaczyna dziś skutecznie przyciągać do siebie widzów. Stała się też na tyle otwarta, że możliwa jest obiektywna ocena rzeczywistości i krytyka obecnej totalnej opozycji. Przedstawiciele opozycji, choć bojkotują telewizję, są obecni, w mniejszości, w Radzie Programowej TVP SA. 9 kwietnia br. przegrali głosowanie. Rada Programowa TVP, organ ustawowy i statutowy powoływany przez Radę Mediów Narodowych w celu doradzania i opiniowania programowej działalności TVP, przyjęła większością głosów stanowisko w sprawie postulatu likwidacji telewizji publicznej, postulatu zgłoszonego przez członków Koalicji Europejskiej. Dawny pomysł likwidacji mediów publicznych powrócił jako oficjalny punkt programu Koalicji Europejskiej. Ich przekonanie o jesiennym wyborczym sukcesie do parlamentu jest tak wielkie, że powołano nawet specjalny zespół fachowców do realizacji likwidacji TVP. Domyślam się, że także likwidacji wszystkich mediów publicznych w Polsce.

Słusznie Rada Programowa TVP zauważa, że „trudno dostrzec związek między wyborami do organu europejskiego a kształtem wewnętrznego rynku medialnego w Polsce". Rada przypomina, że „istnienie mediów publicznych wynika z zapisów Konstytucji RP (art. 213 i 215) oraz z Ustawy o radiofonii i telewizji". Wreszcie i słusznie Rada Programowa TVP „wzywa do obrony konstytucji i praw Rzeczypospolitej". To ostatnie wezwanie ma szczególnie wymowny charakter. Wszak to właśnie opozycja staje w obronie konstytucji. Tak „zafiksowała" się na obronie tejże konstytucji, tyle pozamawiała koszulek z napisem „konstytucja", że nie zdążyła jeszcze przeczytać jej podstawowych artykułów. Dlatego Rada Programowa TVP przypomina „obrońcom" konstytucji, że „likwidując telewizję publiczną, likwiduje się też konstytucyjne prawo obywateli do informacji, różnorodności poglądów i wolności wyboru".

Zapowiedź Koalicji Europejskiej, którą tworzy szeroki front walki z PiS, trzeba traktować poważnie. Widzieliśmy, jak za PO likwidowano naszą zdolność obronną i potencjał Wojska Polskiego. Jak w interesie Niemiec likwidowano polskie stocznie i jak w interesie Rosji pogodzono się z dochodzeniem prawdy o katastrofie smoleńskiej. Jak likwidowano polskie górnictwo, posterunki policji, dworce PKS i PKP. Jak wypchano Polaków z kraju w poszukiwaniu godnej pracy i płacy. Jak wyprzedawano ziemię cudzoziemcom, jak szykowano wielką grabież polskich lasów, jak handlowano polskimi interesami w Brukseli i jak donoszono na Polskę unijnym urzędnikom. Lumpenelity III RP nie uznają państwa polskiego za własne, o ile nim nie rządzą. Po zapowiedzi likwidacji IPN i CBA pojawiła się zapowiedź likwidacji TVP. Oto prawdziwy antypolski, antynarodowy i antykonstytucyjny program totalnej opozycji.

eprasa.pl 17e0412b07

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Dezintegracja pozytywna

Czasami sprawy tak się wikłają, że trudno je rozplątywać nitka po nitce. Czasami na węzeł musi spaść miecz. III RP wytworzyła mikroświat polityki i głównych aktorów okupujących polityczną scenę. Ciągle te same twarze i to samo mało znaczące pustosłowie. Do tej pory wystarczało, aby do politycznej rozmowy wpleść akcenty emocjonalne i napuścić na siebie wyznawców różnych diagnoz. Polski świat polityki sprawia wrażenie, jakby wyborcy byli mu zupełnie niepotrzebni. To światek buraczano-narcystyczny. Poi się własnym upojeniem i karmi nas pustymi kaloriami „przekazów dnia".



Witold Gadowski

Polski światek polityczny sprawia wrażenie na tyle fasadowego, że jego aktorzy nie dbają ani o sens, ani o jakiekolwiek zakorzenienie wypowiadanych przez siebie agresywnych bzdur. Sprytni gracze, a jest ich ledwie kilku, tak podzielili racje, pozy i banały, że powstało wrażenie, iż PO i PiS zabierają całe powietrze. Poza nimi nie ma żadnego sensownego życia politycznego.

Życie uczy nas jednak, że nie ma sytuacji bez wyjścia, a ilekroć tak definiujemy własne położenie, to potem ze zdziwieniem przecieramy oczy. Potem – gdy wyłoni się szerszy kontekst i czas odpowiednio rozłoży akcenty.

Kiedy widzisz wokół siebie same ściany, usiądź spokojnie i spójrz w górę...

Polski psychiatra i psycholog Kazimierz Dąbrowski stworzył w XX w. teorię „dezintegracji pozytywnej". Polega ona na tym, że czasem trzeba własny stan zrównoważenia doprowadzić do destrukcji, aby psychiczne puzzle mogły się potem ułożyć w dużo bardziej doskonałą konstrukcję. Tak przechodzimy od niedojrzałości i młodzieńczych miraży do coraz lepszego ułożenia wewnętrznego. Gdyby takie myślenie zastosować do dzisiejszego światka polityki polskiej, to należałoby dążyć do zdestruowania jego pochopnej mozaiki i starać się ułożyć z tych samych fragmentów (może nieco wzbogaconych o nowe) dużo doskonalszą i lepiej dostosowaną do realiów konstrukcję. Pozytywna dezintegracja polskiej polityki wcale nie jest taka zła, stwarza nadzieję na powiew świeżego powietrza i jednocześnie daje nadzieję na to, że naród będzie miał dużo doskonalsze narzędzia.

Dezintegracja pozytywna dzisiejszej polskiej polityki może przynieść jedynie dobre owoce. To, co dziś kulawe i odbierające entuzjazm, może się nagle objawić jako fascynujące i projektujące ciekawą przyszłość.

Czy można sobie tak swobodnie żonglować teoriami pomiędzy różnymi dziedzinami humanistyki? Można. Bo kto mi zabroni?

Takie będą Rzeczypospolite...

Za komuny darmowe studia należało odpracować (przez trzy lata!) w dowolnym państwowym przedsiębiorstwie. Z dyplomem inżyniera nie mogłem od razu zostać muzykiem, z konieczności podjąłem więc pracę nauczyciela przedmiotów zawodowych w Technikum Budowy Okrętów. W szkole spodobało mi się, złapałem świetny kontakt z młodzieżą (to były zupełnie inne dzieciaki niż teraz), poczułem niespodzianie misję Siłaczki. Dodatkowo w weekendy grałem koncerty, a w długie, dwumiesięczne wakacje ruszałem w regularne trasy koncertowe. Dyrekcja doceniła mnie; mogłem przedłużyć umowę i dziś miałbym niezłą, nauczycielską emeryturę.



Lech Makowiecki

Wybrałem wolny zawód, w którym prawdopodobnie będę pracował aż do śmierci, bo minimalne świadczenia ZUS nie wystarczą mi na podstawowe opłaty. Ale nie żałuję – czuję się spełniony i mam satysfakcję z tego, co robię. I o to właśnie chodzi – każdy ma prawo wyboru i musi się liczyć z dobrymi i złymi tego konsekwencjami.

Nauczyciele powinni negocjować swe pensje, niezadowoleni mogą nawet odejść z zawodu. Na całym świecie tak się właśnie dzieje: to rynek reguluje popyt i podaż. Najgorsze jest to, że selekcja negatywna w tej profesji jest wyjątkowo widoczna. Kto ma dziś uczyć złych nauczycieli?

Jako początkujący pedagog miałem na lekcjach niezapowiedziane wizytacje, po których – na dyrektorskim dywaniku – omawialiśmy popełniane przeze mnie błędy. I to dawało efekty! Moi wychowankowie porobili przeróżne kariery; jest wśród nich i kanclerz uniwersytetu, i biskup, i znany zawodnik/trener piłki ręcznej... Wielu dziękuje mi, że nauczyłem ich nie tylko konstrukcji kadłuba okrętu.

Dziś dominują roszczenia, a poziomem nauczania nikt się nie przejmuje. System sam się degeneruje...

PS Uważam, że ostatnie strajki mają charakter stricte polityczny (ZNP jest lewicowy do szpiku kości). I nie ustaną, dopóki postkomuna nie obali tego rządu. A potem? Potem będzie jeszcze gorzej. Stracą wszyscy: i nauczyciele, i uczniowie...

eprasa.pl 17e0412b07

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Szkoła rozbitków



Aleksander Nalaskowski

Tym razem mieliśmy przesłać do redakcji teksty do wtorku. Zwykle jest to termin o dwa dni dłuższy. Nie wiem jeszcze zatem, jak potoczą się losy egzaminów gimnazjalnych, chociaż jestem tym zainteresowany nie tylko zawodowo, lecz i rodzinnie. Egzamin ma bowiem zdawać jedna z moich wnuczek. To pilna, spokojna dziewczynka, ustawicznie zaczytana w książkach. Widzę w niej całą grupę takich jak ona. Niewinnych, uczciwych i traktujących szkołę serio. To dziewczynki, którym nie w głowie bieganie po galeriach handlowych, malowanie pazurków czy wpinanie kolczyków, gdzie tylko się da. To takie stworzonka, które zadławiłyby się, mówiąc brzydki wyraz. Dzieciaki, które wiedzą, że na takie sprawy jak seks, komfort całkowitej samodzielności czy niezależność muszą jeszcze odrobinę poczekać.

Zastanawiam się, czy to jest właśnie ta płciowość, która tak bardzo uwiera rewolucjonistów i wszelkich LGBTQWERTY + ? Czy to jest ten typ i kształt wychowania, który trzeba koniecznie popsuć, zniszczyć, wyszydzić i nazwać kołtunerią, moherem, parafiańszczyzną i zacofaniem? W ten sposób właśnie, sącząc takim dzieciakom do głowy hasła „Bądź sobą", „Nie słuchaj zgredów", „Kochaj siebie, jaką jesteś", „Carpe diem", „Kościół jest dla frajerów", podważa się nie tylko zaufanie do pewnych norm i przekonań, lecz nade wszystko do rodziny wychowującej dziecko. A sprowadzenie dziecka na grunt nieufności do otoczenia, zwłaszcza otaczających go najbliższych dorosłych, jest pospolitą zbrodnią i staje się porównywalne z odebraniem rozbitkowi tratwy.

W to właśnie działanie wpisuje się również strajk nauczycieli. Notabene ZNP podle nadużywa określenia „strajk szkolny", budując zupełnie kłamliwą konotację ze strajkiem z Wrześni (1901–1902), podczas którego dzieciaki wystąpiły w obronie polszczyzny na lekcjach religii. Broniarzowy związek, a właściwie już opozycyjna partia polityczna, podle kradnie tę tradycję, kreując się na bohaterów. Dlaczego zetenpowski strajk jest szkodliwy? Ano dlatego, że u części młodych ludzi (nie mam złudzeń, że u wszystkich) podważa fundamentalne zaufanie do instytucji państwa. Dla nich bowiem zaufanie codzienne to szkoła. Dla nich też szkoła jest instytucją stabilności społecznej. Głównie (a może już tylko?) dla takich jak moja wnuczka i jej koleżanki. Strajkujący pedagog szkolny, nauczyciel przestaje w jakiś sposób być autorytetem, godnym zaufania dorosłym, latarnią morską, drogowskazem. Niebezpiecznie zbliża się do obrazu kapryśnego geszefciarza. Usługodawcy, od którego autorytetu oczekiwać nie trzeba, bo nie można. Sam bowiem sobie przyprawia gombrowiczowską gębę i upupia przy okazji szkołę.

Szkoła jest dla dzieciaków (jasne, że nie wszystkich) państwem, tą podstawową Polską, która ma ich nie zawodzić, ma o nich dbać

Szkoła jest dla dzieciaków (jasne, że nie wszystkich) państwem, tą podstawową Polską, która ma ich nie zawodzić, ma o nich dbać. Taki podprogowy przekaz tej sytuacji jest dość koszmarny. Dla mnie skupia się on w postaci szkoły na jednym z naszych osiedli. Szkoła istnieje w tym miejscu od niemal 300 lat. W 1906 r. uczniowie ogłosili strajk szkolny z tych samych powodów co dzieci wrześnieńskie. Trwał on niemal pół roku. Pruscy okupanci Torunia gnębili i szykanowali dzieciaki, na rodziców nałożono kary pieniężne, ale strajkujących nie złamano. Można powiedzieć, że za przyczyną grzywien rodzice finansowo dołożyli się do walki z germanizacją. Na najstarszej części budynku wisi tablica upamiętniająca tamte wydarzenia. Szkoła nosi imię bohaterki narodowej, bohaterki II wojny światowej, osoby prześladowanej niemal cały okres komuny, wyrzucanej z pracy „za przeszłość", skazanej na 10 lat więzienia za bohaterstwo. Niezłomnej. Placówka jeszcze niedawno borykała się z ogromnymi trudnościami. Mała, ciasna, ze stromymi schodami i nie tylko bez sali gimnastycznej, lecz nawet boiska z prawdziwego zdarzenia, z najwyższym trudem radziła sobie z naborami. Była skazana na rozwiązanie. Wówczas mieszkańcy osiedla się porozumieli (a to chyba osiedle statystycznie lokujące się w mieście w czołówce wykształcenia) i zaczęli gremialnie posyłać dzieci do tej szkoły. Dzisiaj szkoła kwitnie, ma znakomitą opinię i jest kochana przez dzieciaki. Dzisiaj szkoła strajkuje... Mój Boże! Wszyscy, tylko nie oni! Są szkoły, którym taki strajk po prostu i najzwyczajniej nie przystoi. Jak się on ma do tych tablic na froncie? Coś tu jest fałszywego. Albo owe tablice, albo slogany o misji i tradycji. Tego naprawdę nie da się pogodzić bez lepkiej hipokryzji. Ale przecież ci bohaterowie byli tak dawno...

Ta i inne szkoły nauczają również religii. Nauczają o tym, że gdybym nie miał miłości, byłbym jak miedź brzęcząca albo cymbał brzmiący. Zatem brzmią i są miłosiernymi Samarytanami. A zaufanie? Wystawiono na aukcję. Cena wywoławcza – tysiąc złotych.

48/0319/F

eprasa.pl 17e0412b07

PRZEZ ŚWIETLIK

Pustyni na święta



Wiktor Świetlik

Pan Jezus modlił się na pustyni i pościł przez 40 dni. Mnie, małego grzesznika, stać było zaledwie na 20 dni postu. Zrezygnowałem z mięsa, alkoholu, jeden papieros dziennie. I tak o jednego za dużo. Myślę, że w tym wszystkim brakuje jednak nam, szczególnie przed świętami Wielkiejnocy, innego elementu, który mógłby pozwolić na solidniejszy post – pustyni. I niech nikt mi nie pisze o tym, że mamy największą pustynię w Europie. Pustynia Błędowska tyle ma wspólnego z pustynią, ile niemieckie lub francuskie zagajniki z naszą puszczą.

Pustynia jest jednak – stwierdzam – kluczowa do tego, żeby odróżnić to, co ważne, od papki i jazgotu, który nieustannie nas bombarduje z lewa, prawa, z góry i dołu. Nie dziwię się, że siły postępu à la Tusk i mody à la Biedroń z taką zajadłością atakują polską wieś. Tam jest trochę ciszej. Nie ma dyskusji w tramwaju, manifestacji na ulicy. Wystarczy odejść od komputera i już nie ma celebrytek popierających „strajk nauczycieli", faktycznie będący strajkiem mniej niż połowy nauczycieli, którzy kompletnie przechodzą do swojego strajkowego nieporządku nad faktem, że ten rząd zaoferował im więcej niż którykolwiek poprzedni. Swoją drogą mam poważne wątpliwości, czy to wystarczy. Podwyżki bez reformy to wlewanie wody do dziurawego dzbana. Polska szkoła nie uczy dobrze i wymaga radykalnej zmiany. Nie tylko dla uczniów, lecz i tych nauczycieli, którzy są dobrzy i ambitni, mają misję. To duża część. Znam takich z publicznej szkoły, do której chodzą moje córki, znałem takich z moich szkół, gdzie przekonałem się, że nie miejsce w ogólnopolskich rankingach, ale trafienie na tego właśnie, a nie innego belfra jest kluczowe w życiu. Powinni uczyć więcej za dużo lepsze pieniądze. Tylko to wymaga zabawy na miarę Margaret Thatcher. Tak wiem, przed wyborami byłoby to samobójstwo, a pan Broniarz już się chyba widzi w ministerialnym fotelu u premiera Schetyny, ale kiedyś to po prostu trzeba zrobić.

Szkoła to wycinek. Według legendy Diderot miał w ostatnich słowach stwierdzić: „Przecież to mnie nie zabije!". Żona radziła mu wcześniej, żeby przestał się wreszcie obżerać. Tak jest trochę ze sporą ilością informacji, które przyswajamy. Na pustyni nie ma ani jedzenia, ani tych informacji. Ale widzicie gdzieś pustynię? Znajomy ksiądz powtarza, że takiej pustyni, wyciszenia trzeba poszukać w sobie, a nie na mapie. Na razie idzie mi kiepsko, ale może te święta będą ku temu okazją.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA

Dobrze **poukładane**

STEFCZYK FINANSE

FINANSE

Sprawdź, ile możliwości czeka na Ciebie w placówce

- rachunki płatnicze
- doładowania energetyczne
- lokaty
- leasing
- pożyczki
- opłaty domowe
- ubezpieczenia
- fundusze inwestycyjne
- przelewy zagraniczne

Usługi dostępne w STEFCZYK FINANSE dzięki współpracy z:

KASA STEFCZYKA · WesternUnion WU · SALTUS UBEZPIECZENIA · STEFCZYK LEASING · moje rachunki · paysafecard pay cash. pay safe.

eprasa.pl 17e0412b07



Szkoła bez klamek i szkoła bez krzyża

Właśnie trwa Wielki Tydzień, czas nawrócenia – jeszcze nie jest za późno

JAN POSPIESZALSKI

Pisząc ten tekst, nie wiem jeszcze, jak zakończy się strajk ZNP. Nie wiadomo, czy we wszystkich szkołach udało się przeprowadzić egzamin.

Protestujący, próbując paraliżować egzaminy, pokazali uczniom raczej brzydszą część ciała pedagogicznego. Pikantnym przykładem jest jedna ze szkół na Mazowszu, w której związkowcy, by uniemożliwić innym nauczycielom prowadzenie zajęć, w przeddzień strajku, wieczorem, zamknęli drzwi do klas i zdemontowali wszystkie klamki. Błąkających się po holu uczniów pani od matematyki zaprosiła do domu, gdzie przeprowadziła zajęcia z przedmiotu. Nauczycielka, która zamienia swój dom w szkołę, by ochronić uczniów przed konfliktem, w jaki wpychają ich dorośli, przywodzi mi na myśl te niezwykłe kobiety – siłaczki, jak Celina z Chludzińskich Borzęcka (późniejsza założycielka Zgromadzenia Sióstr Zmartwychwstanek; po powstaniu styczniowym, w czasach szalejącej rusyfikacji, ryzykując zsyłkę i więzienie, organizowały konspiracyjne nauczanie w języku polskim).

Ale jest jeszcze jeden, mniej odległy przykład. To strajk w obronie krzyży w Miętnem, którego cichą bohaterką była polonistka Bogusława Kozaj-Gora. Protest w Miętnem przypomniałem na tych łamach („ZNP... tam, gdzie stało ZOMO", „Sieci" nr 10). Zimą 1984 r. z polecenia Kiszczaka zlikwidowano jedną ze zdobyczy „Solidarności" – ze szkół zniknęły krzyże. W marcu w Zespole Szkół Rolniczych w Miętnem, po wielu tygodniach protestu, uczniowie zdecydowali się na strajk okupacyjny. 7 marca wysłano na nich ZOMO i WSW, a wieczorem do szkoły wkroczył prokurator z zamiarem wręczenia biletów do wojska pełnoletnim, strajkującym chłopakom. Wtedy uczniowie opuścili szkołę, w dramatycznym, czterokilometrowym marszu próbowali dotrzeć do kościoła do Garwolina, ale zostali zatrzymani przez kolumnę ZOMO. Zawrócili, chroniąc się w szkole, a rankiem zakomunikowano im, że szkoła została rozwiązana. Warunkiem ponownego przyjęcia do szkoły było podpisanie zgody na szkołę bez krzyża. Większość (85 proc.) uczniów odmówiła. Ich postawa i wizja pustej szkoły sprawiły, że po miesięcznych negocjacjach komuniści wyrazili zgodę na powrót krzyża. Zastanawiałem się nad fenomenem zwycięskiej walki uczniów. Co sprawiło, że w momencie konfrontacji z aparatem PRL, w chwili próby, zachowali się godniej niż niejeden dziennikarz, artysta, reżyser, ksiądz czy elektryk? Przecież to była ta sama wojna, na froncie której za pół roku zginie ks. Jerzy Popiełuszko. Jednym z fundamentów ich postawy była spójna formacja, jaką otrzymali w domu i w szkole; to, że mieli szczęście spotkać nauczycieli, którzy stali się wzorem i poparli ich walkę o krzyż.

Sześcioro nauczycieli, ryzykując utratę pracy i represje, opowiedziało się po stronie strajkujących, m.in. Stanisława Makara, Bogusława Szeląg i młoda polonistka Bogusia Kozaj-Gora. Dla tej ostatniej praca w Zespole Szkół Rolniczych w Miętnem była pedagogicznym debiutem. Absolwentka polonistyki z Lublina, z głową pełną ideałów „Solidarności", poświęciła się bez reszty pracy z wychowankami. Zorganizowała kółko turystyczne, wyciągała dzieciaki na rajdy, obozy wędrowne, biwaki. Wieczory przy ognisku były okazją do korepetycji z historii, lekcji o ofiarach Katynia, o antykomunistycznym podziemiu i uwięzieniu prymasa Wyszyńskiego. Na wyprawach były oczywiście gitary i nauka piosenek oazowych. Przed rozejściem się do namiotów dzień wieńczyły modlitwa i Apel Jasnogórski. Z chwilą zawiązania kółka turystycznego przez młodą polonistkę wszyscy uczniowie poprosili o wykreślenie ich z listy komunistycznego ZMW, zapisując się do grupy pani Bogusi (przynależność do organizacji młodzieżowej w tamtych latach była obowiązkowa).

Choć krzyż do szkoły wrócił, Bogusława Kozaj-Gora straciła pracę. Dopiero po 1989 r. mogła powrócić do szkoły w Miętnem. Wspomnienie obrony krzyża w dniu 35. rocznicy adresuję strajkującym nauczycielom. Właśnie trwa Wielki Tydzień, czas nawrócenia – jeszcze nie jest za późno.

eprasa.pl 17e0412b07

Przedwyborcze manewry



Jerzy Jachowicz

Czy uda się uratować małżeństwo Zuzanny? Czy do końca kadencji przetrwa koło poselskie Zwierciadło Życia? Oba te pytania są nierozerwalnie z sobą związane. Zuzanna odeszła z koła i... od męża. W ten oto sposób życie polityczne kraju, tempo jego rozwoju i kierunek, jaki przybierze, przeplatają się z rozpaczliwymi próbami znalezienia osobistego szczęścia. Czy tylko o szczęście osobiste rzecz się cała rozbija, czy może na dnie coś Zuzannę pcha do kariery politycznej? Niczym męczące widma, dramatyczne pytania krążą po kuluarach konwencji. Podczas przerw w debatach gorąco o zdradzie Zuzanny dyskutują jej koledzy jeszcze do niedawna czteroosobowego koła. Obecnie zredukowanego do minimum – trójki posłów. Również podczas obrad plenarnych jej koledzy skupiają swoje myśli na znalezieniu odpowiedzi na te palące kwestie. Niestety tracą tym samym wiele cennych wątków, poruszanych przez mówców, choćby o aktualnej sprawie: „Podwyżka pensji szefów central związkowych – gwarancją skutecznej organizacji strajków na tle płacowym".

Sprawa odejścia Zuzanny z koła i rozbicia rodziny była całkowitym zaskoczeniem, choć mąż Jerzy mówi, że problem nabrzmiewał kilka dni. Zuzanna ostatnio niechętnie dzieliła się z nim informacjami, jak spędzała kolejne dni przed rozstaniem (I z kim? Oto pytanie!). A nawet unikała jego wzroku. Pełnego wiary w drugiego człowieka.

Ledwo powstało ugrupowanie Roberta Biedronia Wiosna, zauważył pewne rozdrażnienie Zuzanny. Myślał, że wynika to z jej niechęci do nowego tworu politycznego, zabarwionego kolorem tęczy. Tymczasem dwa dni później oznajmiła, że zmienia partię polityczną, gdzie znalazła szczęście. I szanse na europarlament. „W obu przypadkach zostałam jedynką" – zdążyła powiedzieć, zatrzaskując za sobą drzwi.

Komitet wyborczy Wiosny potwierdził, że Zuzanna startuje w Koszalinie z pierwszego miejsca. Prywatnie jej partnerem został Roman Wklęsły, wcześniej Renata Wypukła, przemieniona w mężczyznę po operacyjnej korekcie, tzw. mastektomii.

Czy Jerzy nie powinien porzucić nadziei na powrót Zuzanny?

CO MNIE SMUCI

Smutna uroczystość



Katarzyna Łaniewska

Po raz pierwszy od kilkunastu lat przypomniano sobie, że jeszcze żyję, i zaproszono mnie w progi mojego Związku Artystów Scen Polskich.

W 1955 r. skończywszy Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Warszawie, zostałam zaangażowana do Teatru Polskiego i jakieś pół roku później wstąpiłam do naszego związku. W PRL nosił on nazwę SPATiF – Stowarzyszenie Polskich Artystów Teatru i Filmu. Związek ma się czym szczycić – powstał równo 100 lat temu, w 1919 r. W związku z jubileuszem odbyła się uroczystość uhonorowania działaczy ZASP za ich działalność. Wręczono nam statuetki. Dziękuję, że sobie o nas przypomniano. Działaliśmy w różnych komisjach. To była praca społeczna. Wyjaśniam: za swoją pracę nie dostawaliśmy wynagrodzenia. Ba, nawet nie dopominaliśmy się tego. Teraz społeczna praca jest w ZASP za pieniądze. Dla mnie to był zaszczyt być przewodniczącą oddziału warszawskiego i pracować w komisji socjalnej. Przez 17 lat pracowałam też na rzecz Domu Aktora Weterana w Skolimowie – jedynego tak wspaniałego domu, który wtedy rozkwitał i się rozbudowywał, powstał dom pracy twórczej. Mam nadzieję, że tak pozostanie, choć coraz mniej aktorów stać na pobyt w tym domu za swoje emerytury.

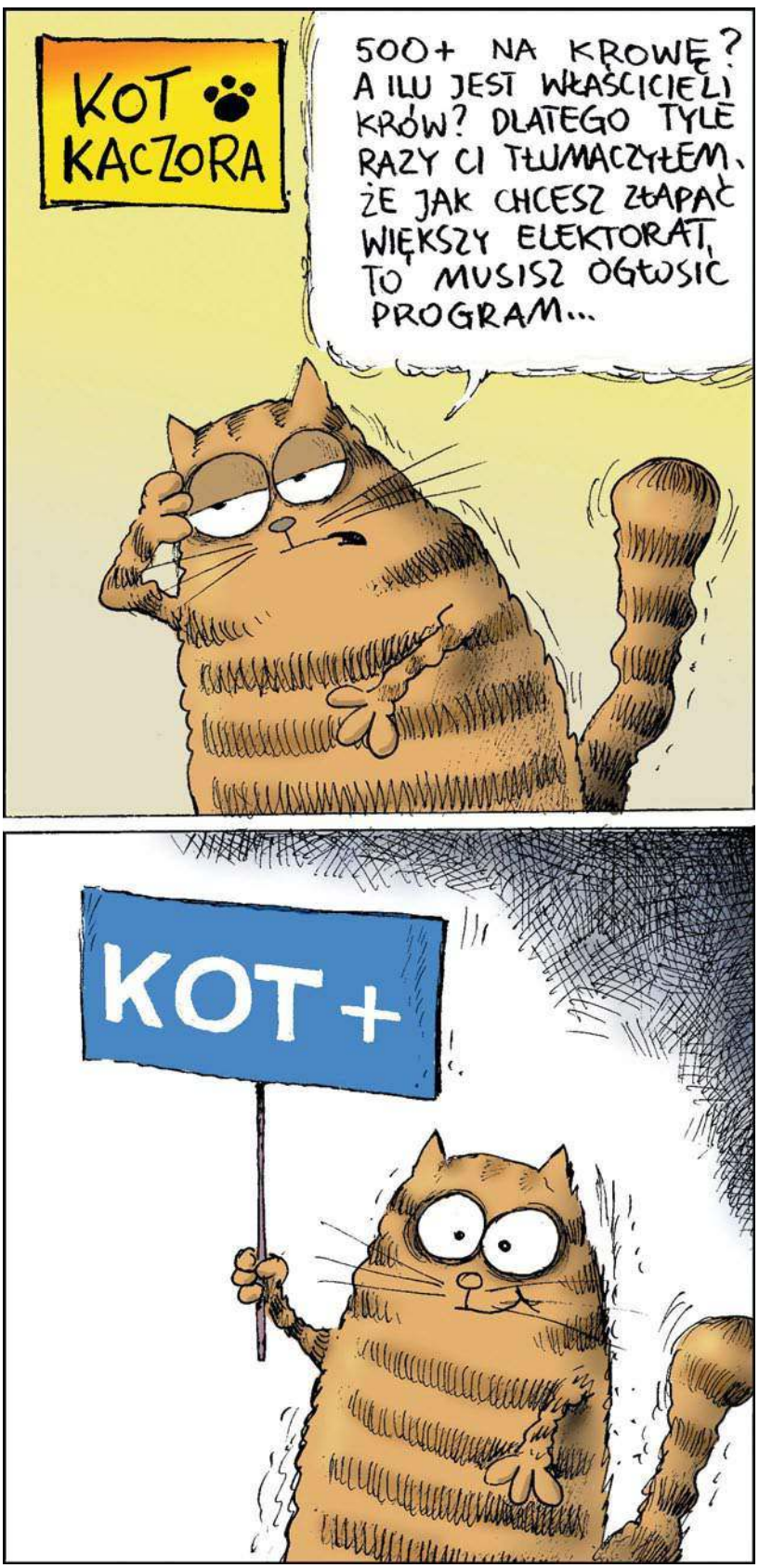
Jeden z prezesów ZASP, Kazimierz Kaczor, wprowadził tzw. repartycje – tantiemy z powtórek naszych wystąpień. Zaczynało się od niczego – jednego komputera i telewizora. Teraz się wszystko rozrosło, w pewnym momencie pękło i zrobiła się afera. Nie będę dziś o tym pisać. Za dużo by opowiadać, wielu kolegów zostało skrzywdzonych.

Dojście do władzy w stowarzyszeniu innego znakomitego aktora (talentu nikt mu nie odmówi) spowodowało, że ZASP dalej podupadał. Smutno mi było siedzieć na tej sali, choć zostałam odznaczona. Szkoda, że nie było tam młodych ludzi. Tych ludzi podobno w związku nie ma. Kiedyś związek był tym, który dbał o poziom, o język, o repertuar. Był liczącą się instytucją. Teraz został margines. Powinniśmy przeprosić tych, którzy 100 lat temu go zakładali z nadzieją na lepszy los. Młodzi pytają, co mi dawał ten związek? No właśnie – może i nic nie dawał, ale to jemu dawali. Sięgam pamięcią do wspaniałych twórców – oni znajdowali czas i ZASP tętnił życiem, także dzięki historycznemu klubowi na dole.

To spotkanie to było moje rozliczenie ze związkiem i pracą dla niego.

eprasa.pl 17e0412b07

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Techniki życzeniowe

Rozwój technologiczny zrewolucjonizował składanie życzeń świątecznych



Ryszard Makowski

Na początku lat 90. ubiegłego wieku byłoby nie do pomyślenia, żeby dostać życzenia via SMS lub wiadomość e-mail. Przyczyna tego stanu rzeczy była niezwykle prozaiczna. Ani telefonia komórkowa, ani internet nie były w powszechnym użyciu. Niewiarygodne, nieprawdaż? Nawet w książkach fantastyczno-naukowych takie innowacje stanowiły rzadko spotykany rarytas. Nie zauważyliśmy, kiedy nowe sposoby porozumiewania stały się nagminnym atrybutem codzienności. I tu dochodzimy do wpływu nowoczesnych gadżetów na współczesny obyczaj. I okazuje się, że ten obyczaj nie nadąża za wszechobecną ekspansją multimediów.

Otóż wiele osób uważa takie elektroniczne życzenia za zwyczajnie nieeleganckie. Ktoś otwiera sobie w komórze książkę telefoniczną, wklepuje: „Wesołego Alleluja i szczodrego zajączka życzy Kazek", i obsługuje w ten sposób 354 numery. W tym informację PKP i urząd skarbowy. Jeśli chodzi o maile, to niektórzy, chyba z braku wiedzy, wysyłają tak, że widać adresy pozostałych szczęśliwców.

Niegdyś był piękny zwyczaj pisania kartek wielkanocnych. Było trochę zachodu, ale ile satysfakcji, gdy się przylepiło ostatni znaczek. Oczywiście nie ma to jak życzenia składane osobiście lub zgodne z bon tonem telefoniczne. Do form kulturalnych można zaliczyć życzenia na łamach tygodnika, dlatego korzystając z okazji, życzę wszystkim czytelnikom łask od zmartwychwstałego Jezusa Chrystusa i nietracenia wiary w lepszą Polskę.

eprasa.pl 17e0412b07

***Zawistowski prezentuje:* Rozkrok**



Wycinki z przeszłości

Kwietniowy numer „Płomyka" z 1929 r. zawierał między innymi taki list od czytelników: „Kiedyśmy się zaczęli polewać wodą na »Dyngus«, to Ciocia Marysia kazała nam wziąć kubły, dzbanki i sikawki z wodą i ustawiła nas do fotografji. Po jednej stronie stałem ja i Bartek, a po drugiej stronie za krzakiem stał Andrzej, Ryś i Dzidka. Gdy Ciocia Marysia powiedziała, że już fotografia skończona, to dopiero wszystką wodę, co który miał, chlust na siebie! Ryś stał pierwszy, to Bartek oblał go całego. To dopiero było krzyku i śmiechu! Leszek Malicki z Karskich".

Reprodukujemy obok tamto zdjęcie. Może ktoś z czytelników „Sieci" kojarzy tę rodzinę? Jak potoczyły się losy tych uroczych dzieciaków?

(mk)



Pod wielkanocną chorągiewką



Leszek Długosz

Z listów i z pism pozostałych po Niej wybieram te drobiazgi i pod wspólną chorągiewką łączę je z moim drobiazgiem. Zajmowała się moim wychowaniem, ukształtowaniem od dzieciństwa przez 20 lat. Nie wiem, czy spotkałem w życiu postać bardziej wspaniałomyślną, wykształconą i utalentowaną. W młodości zamożna panna „Europejka", z czasem uboga, pogodna staruszka, wyzbyta nie tylko dóbr, lecz i ambicjonalnych potrzeb oraz uznania. Wolna, dla świata niewidoczna – „przezroczysta". To Jej zawdzięczam najwięcej w moim spostrzeganiu świata.

Głosy wielkanocne – Leszek Długosz

Ścichły organy i ludzkie pienia
Ustało kołatanie
Zamarła cisza
– Ziemi i Nieba nastało milczenie...
I moment –
Głos ten o świtaniu
Zew – Gloria Dnia Trzeciego
Dzwony napełniające Ziemię i Niebo
I serca ludzi...

Gwiazdko zawilca przybyła w lesie
Na świat w to rano
– Widokiem świata oniemiała
Eskadro tarniny ponad parowem wzlatująca
– Dołączajcie...
Dołączajcie pospołu do radości Alleluja
Bez granic i poza granicami

Bowiem jak to jest powiedziane
– Ten który jest Zmartwychwstający
Z martwych
I dla nas wstaje
Dziś oto
Dnia Trzeciego Rano
– Dziś oto dla nas...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 17e0412b07

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Bądź sobą!

Czyż prawdziwej genialności nie niosą z sobą słowa: „Bądź sobą. Wybierz Jezusa Chrystusa!”?

Gdy w latach 70. XX w. do naszej ojczyzny przywędrował z Zachodu napój Pepsi, studenci mawiali: „Pepsi piją lepsi”. Niby żart, ale uchwycił ważną ludzką potrzebę wyróżnienia się. Dziś w Polsce mało komu (jeśli w ogóle komukolwiek) wystarczy pepsi, by podtrzymać jego dobre samopoczucie, nie mówiąc już o poczuciu społecznej wyższości.

POMYSŁ GENIUSZA?

W latach 90. stulecia już minionego Zygmunt Bauman, nieżyjący już, wybitny socjolog (acz tak po ludzku... postać bardzo kontrowersyjna) zwrócił uwagę na paradoks popularnej ongiś reklamy: „Bądź sobą. Wybierz pepsi”. Zdaniem Baumana rzecz wymyślił jakiś geniusz, który zalecał: „Wybierz solidny, popularny symbol, staniesz się sobą. Za pomocą pepsi możesz wytworzyć sobie solidną tożsamość”.

Chodzi raczej o geniusza złowrogiego. Geniusza manipulacji odwołującego się do uniwersalnej, bardzo głębokiej ludzkiej potrzeby poczucia ciągłości swojej osoby w czasie oraz posiadania istotnej tożsamości. Tego żaden człowiek nie jest w stanie do końca wytworzyć sobie sam. Musi zatem sięgnąć po coś, co jest na zewnątrz jednostki ludzkiej, po coś obecnego w ludzkiej kulturze.

A w dzisiejszej kulturze konsumpcyjnej bez liku jest superłatwych rozwiązań, za pomocą których niestraszne nam nawet najtrudniejsze problemy.

W AURZE CHOINKI

Nie brak też rozwiązań w klimacie skomercjalizowanych świąt Bożego Narodzenia. To święta na wskroś radosne i chętnie obchodzone bez względu na duchowe zaangażowanie – nawet osoby niewierzące lubią czuć blask Bożego Narodzenia. Pamiętacie reklamy coca-coli wpisujące się w klimat tych świąt?

Jakże inaczej jest ze świętami Wielkiejnocy. Są osoby, które wręcz ich nie lubią. A przecież to święta niosące jasność największą. Tyle że współczesny świat zupełnie nie sprzyja poszukiwaniom sensu w cierpieniu, nadawaniu cierpieniom sensu głębszego, metafizycznego. Może tu tkwi źródło odrzucania chrześcijaństwa przez ludzi Zachodu, który zaniechał Miłości rozumianej nie jako cnota ludzka, ale Boska.

Miejsce Wielkiego Postu, który przygotowuje do Wielkiego Tygodnia, do Wielkiego Piątku i wreszcie do Zmartwychwstania, nawet w życiu chrześcijańskim coraz częściej zajmują powierzchowne namiastki nastawione na doczesność: rozmaite treningi oraz zabiegi ciała i duszy mające przynieść doraźny i indywidualny sukces.



PRAGNĄ MÓC WIERZYĆ?

Pod koniec lat 70. kardynał Josef Ratzinger pytał: „Czy w gruncie rzeczy wyzyskany, sponiewierany, skrzywdzony człowiek, nie pragnie tego samego, co jego brat zdemoralizowany przez komfort, seks, narkotyki, mianowicie, aby móc wierzyć?”.

W pierwszej chwili pojawia się odruch, by dopytać – w co? Tymczasem Ratzinger idzie dalej: „Gdyby człowiek umiał nadać życiu choćby tylko jednego, jedynego swego brata, swego bliźniego, prawdziwy sens przez swoją miłość, to jego własne życie nabrałoby nieskończonej wartości. Tak pozostanie już zawsze, że ludzie będą żyli miłością, jaką spotykają na swej drodze, miłością, która daje sens”. I dodał: „Żadna rewolucja i żadne reformy nigdy nie sprawiają, że taki dar miłości stanie się darem zbytecznym”.

WYBIERZ

Potrzeba miłości – kochania i bycia kochanym – to najbardziej uniwersalna i najgłębsza z potrzeb ludzkich.

Ale skoro pragnąc być sobą, człowiek zawsze „wybiera” z repertuaru możliwości, jakie daje mu ta kultura, w której żyje, to nasza polska tradycja oferuje coś znacznie bardziej genialnego od najbardziej elitarnego nawet napoju i modnej – z konieczności zawsze przelotnej – aury tworzonej przez marketing. Oferuje odpowiedź, która przeszła długi test historyczny na wielu kontynentach. Coś, co miliardom ludzi pozwala być sobą od ponad dwóch tysięcy lat.

Czyż prawdziwej genialności nie niosą z sobą słowa: „Bądź sobą. Wybierz Jezusa Chrystusa!”?

Może warto – nawet jeśli ktoś cierpi na deficyt łaski wiary – być z tymi, którzy uwierzyli w Syna Bożego i każdą niedzielę choć przez godzinę są razem. Nie tylko przy wielkanocnym śniadaniu.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 17e0412b07

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



HOŁDYŃSKA • JAKUBOWSKA • ŁOSIEWICZ • BAREŁKOWSKI • BIEDROŃ • FIJOŁEK • KARNOWSKI • KARNOWSKI • MAJEWSKI • OTOKA-FRĄCKIEWICZ • PYZA • WIKŁO • WOLNY

OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange™ — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

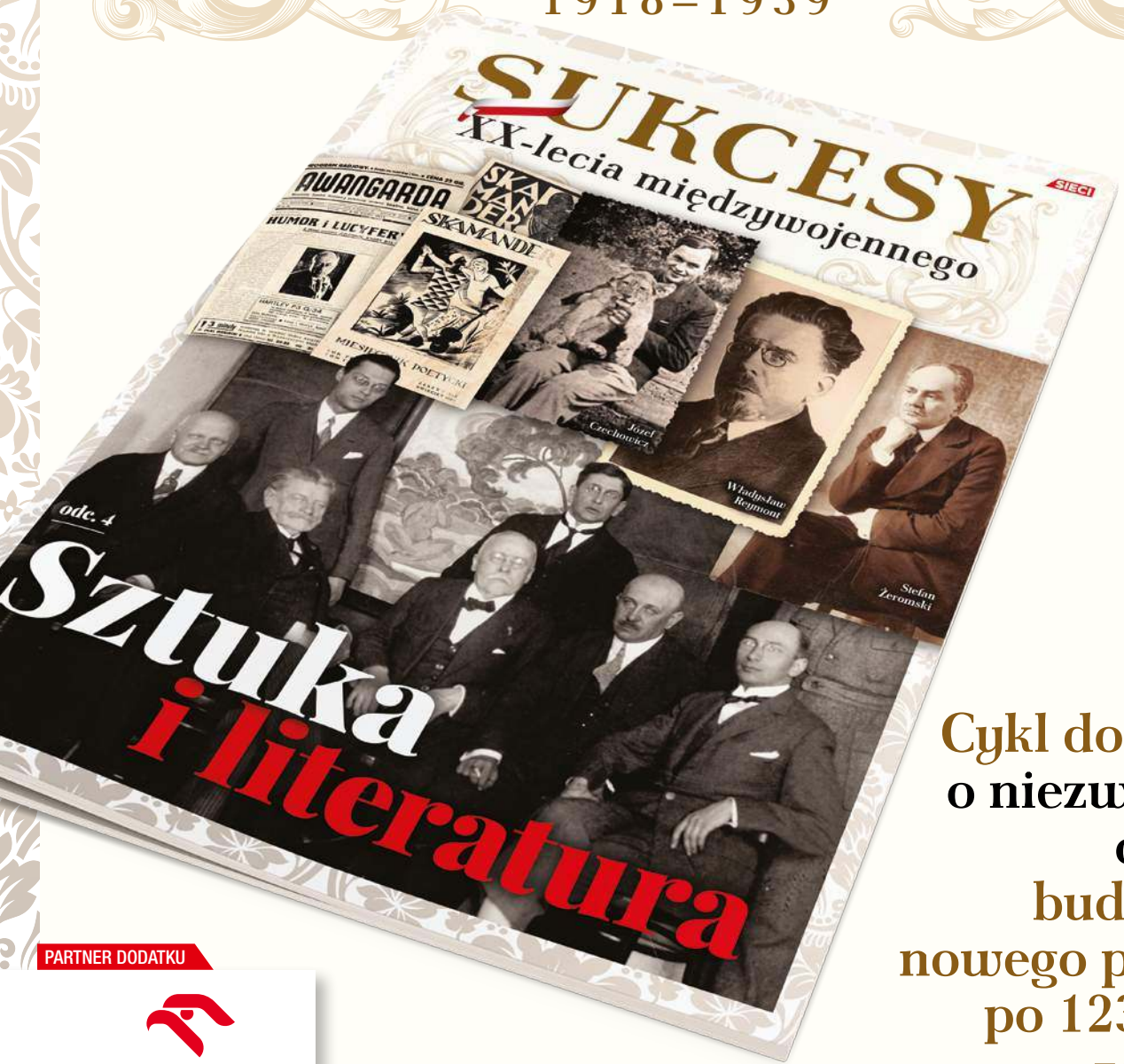
VECTRA — NA POZYCJI **825**

Już 23 kwietnia SIECI

i raz w miesiącu
do końca roku

SUKCESY
XX-lecia międzywojennego

1918–1939



Cykl dodatków
o niezwykłych
czasach
budowania
nowego państwa
po 123 latach
zaborów

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl/17e0412b07